

Rafał Bukowski

**BUKOWSCY**  
herbu **Jastrzębiec**  
z **Bukowca Małego**



"Dworek śniatyniecki" – reprodukcja akwareli Stanisława Tarnowskiego.

Źródło: [Stanisław Tarnowski \(Biały\) \[Public domain\]](#).

**Wydanie piąte**  
poprawione i uzupełnione

Kamień na Kaszubach, kwiecień 2024

## Nota od Wydawcy



Wydanie piąte opracowano na podstawie wydania czwartego z roku 2023, opublikowanego w wersji elektronicznej. Zawiera nowe informacje umieszczone na stronie 26.

Wydanie obecne zmieniono i poprawiono za zgodą autora oraz dostosowano do przepisów Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/WE (ogólne rozporządzenie o ochronie danych) oraz ustawy z dnia 10 maja 2018 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. poz. 1000).

ISBN 978-83-955317-0-6

## Przedmowa do wydania czwartego

Po zakończeniu opracowania poprzedniej wersji „Genealogii Bukowskich herbu Jastrzębiec z Bukowca Małego” motto tam zamieszczone: „Z przeszłości rodzi się teraźniejszość i przyszłość” nie przestawało mnie mobilizować do dalszego poszukiwania i poznawania historii naszych przodków.

Ze względu na wiek – mam ponad osiemdziesiąt lat – nie odwiedzam już osobiście archiwów. Korzystam z dobrodziejstw postępującej digitalizacji zasobów archiwalnych. Odkryte ostatnio przeze mnie w ten sposób dokumenty spowodowały konieczność rewizji niektórych zdarzeń opisanych w poprzednich wydaniach.

W ten sposób powstało IV wydanie „Genealogii Bukowskich herbu Jastrzębiec z Bukowca Małego”. Mam nadzieję, graniczącą z pewnością, że obecne wydanie jest ostatnim opracowanym przeze mnie. Nie oznacza to oczywiście, że wiemy wszystko o naszych przodkach. Tyle jeszcze tajemnic rodzinnych nie znamy.

Zachęcam młodych do ich odkrywania.

Ja niebawem przekroczę granicę i przejdę do tych, o których pisząc w genealogii, starałem się ocalić od zapomnienia.

Autorka wspomnień „Wakacje w Baninie” załączonych do niniejszego opracowania, Maria Sarnawska, zmarła w lipcu 2019 roku, kilka miesięcy przed setną rocznicą swoich urodzin.

Rafał Bukowski

Kamień na Kaszubach

Luty 2023

## Spis treści

<b>Przedmowa do wydania czwartego</b> .....	3
<b>Wstęp do poprzedniego wydania</b> .....	5
<b>Część pierwsza</b> .....	6
<b>Rafał Bukowski Genealogia rodu Bukowskich herbu Jastrzębiec z Bukowca Małego</b> .....	6
1. Bukowscy .....	7
2. Bukowscy z Bukowca .....	11
3. Bukowscy z Łanięt.....	19
4. Rodzeństwo Bukowskich z Głuchowa .....	29
5. Sumariusz.....	70
6. Kopie dokumentów archiwalnych .....	71
7. Źródła archiwalne i bibliografia .....	79
8. Zjazd Rodzeństwa Bukowskich w 1935 r.....	80
9. Kasa Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich .....	86
10. Zjazd Potomków Rodzeństwa Bukowskich w dniach 18 i 19 września 2010 r. w Konstancinie...92	
<b>Maria Sarnawska Wspomnienia z wakacji w Baninie</b> .....	97
1. Wprowadzenie .....	98
2. Pierwszy pobyt w Baninie.....	99
3. Życie codzienne w majątku .....	100
4. Wujostwo Morawieccy.....	106
5. Życie codzienne w majątku cd. ....	107
6. Pisklaki, myszki, małe puchacze i Wojtek .....	108
7. Małpa i jej właścicielka, różnica zdań i sejf wuja Stefana.....	111
8. Jacek.....	115
9. Zakończenie .....	117
<b>Część trzecia</b> .....	118
<b>Rafał Bukowski 211 Pułk Ułanów w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r.</b> .....	118
1. Wstęp.....	119
2. Szlak bojowy 211 Pułku Ułanów.....	120
3. Zakończenie .....	124
<b>Część czwarta</b> .....	125
<b>Rafał Bukowski Drzewo genealogiczne Bukowskich herbu Jastrzębiec</b> .....	125
<b>Nota o autorze</b> .....	127
<b>Dwa łyki Afryki</b> .....	128
<b>Spis ilustracji</b> .....	130

## Wstęp do poprzedniego wydania

Motto: „*Z przeszłości rodzi się terażniejszość i przyszłość*”

Helena z Jaczynowskich Roth: „Czasy, miejsca, ludzie...”

Nazywam się Rafał Bukowski. Ojciec mój, Mieczysław, związany był z rolnictwem i zarządzał, jak mój dziadek Adam, majątkami ziemskimi. Na tym kończyła się moja wiedza o przodkach. Nie znałem miejsca urodzenia dziadka, nie znałem imienia mojego pradziadka. Z taką nieznajomością przeszłości rodu przystąpiłem do poszukiwania przodków i opracowania genealogii.

Z zamiarem jej opracowania nosiłem się od dawna. We wrześniu 2007 roku odnalazłem w Radzyminie pod Warszawą grób mojego dziadka Adama, pochowanego tam w 1922 roku. To zdarzenie zmobilizowało mnie ostatecznie.

Od tego momentu wiele czasu spędziłem w archiwach państwowych i kościelnych szukając dokumentów dotyczących moich przodków, którego rezultatem była zakończona w kwietniu 2016 genealogia Bukowskich herbu Jastrzębiec. W opracowaniu tym zastosowałem metodę retrogresywną, polegającą na poszukiwaniu przodków poruszając się wstecz z pokolenia na pokolenie. Tą metodą doszedłem od ojca mego, Mieczysława, do protoplasty rodu, Michała, żyjącego sześćset lat temu.

Mama moja, Anna, przechowała wiele dokumentów związanych z moim ojcem i ze stryjem Stefanem, który był moim ojcem chrzestnym. Nie uległy zniszczeniu podczas burzliwych lat drugiej wojny światowej i przetrwały do dzisiaj. Zachowały się wszystkie świadectwa pracy Mieczysława, w postaci listów polecających wystawionych przez właścicieli majątków, w których był on administratorem. Większość archiwalnych dokumentów rodzinnych mojej mamy wykorzystałem przy opracowaniu genealogii rodu, bezpośrednio do opracowania tekstu lub jako załączniki.

Genealogię sporządziłem w trzech częściach, każda następna powstawała po odszukaniu kolejnych dokumentów archiwalnych odsłaniających nowe fakty. Powstała w ten sposób genealogia nie jest opracowaniem uporządkowanym, opisy poszczególnych osób w każdej części powtarzają się lub uzupełniają. Opracowanie jest nie tylko genealogią rodu, ale także kroniką meandrów jej powstawania. Czytającemu stwarza to trudności w zrozumieniu koligacji rodzinnych, wiele wątków może być niejasnych.

W związku z tym, korzystając z tamtego opracowania, przygotowałem teraz nową wersję w układzie chronologicznym, zaczynając od naszego protoplasty Michała żyjącego na przełomie XIV i XV wieku, a kończąc na jego potomkach w XX wieku.

Żonie mojej, Jolancie Flis-Bukowskiej, dziękuję za współpracę i komputerową edycję opracowania.

Rafał

Sopot, maj 2017 roku



*Rys. 1. Dworek Dziewiętnia. Fragment litografii Napoleona Ordy.  
Źródło: Napoleon Orda „Album widoków historycznych Polski”, Warszawa 1880.*

## **Część pierwsza**

# **Rafał Bukowski Genealogia rodu Bukowskich herbu Jastrzębiec z Bukowca Małego**

**Kamień na Kaszubach, luty 2023**

## 1. Bukowscy

Rody Bukowskich pieczętują się następującymi herbami: Bończa, Grzymała, Jastrzębiec, Orla, Ossorya i Poraj.

**Bukowscy herbu Bończa** wzięli nazwisko od wsi Bukowo, w powiecie wąsowskim. Jeden z potomków właścicieli Bukowa, Tomasz, był dziedzicem wsi Chyliny-Wity w powiecie łomżyńskim w połowie XIX w. i otrzymał legitymację szlachecką z Heroldii w 1851 roku. Do Bukowskich z tej linii należała również wieś Rzeczków w pow. opoczyńskim. Bukowscy h. Bończa posiadali w Koronie trzy folwarki na ziemi wąsowskiej, pięć na ziemi łomżyńskiej i dwa na ostrołęckiej. Na Litwie posiadłości mieli w powiatach wileńskim i kowieńskim.

Bukowscy z ziemi kowieńskiej, w liczbie 51 osób, uzyskali legitymacje szlacheckie i zostali zapisani do ksiąg szlachty Cesarstwa Rosyjskiego.

**Bukowscy herbu Grzymała** pochodzą z ziemi poznańskiej. Walenty, dziedzic wsi Gąsowa, uzyskał potwierdzenie szlachectwa w 1854 roku w Wielkim Księstwie Poznańskim.

**Bukowscy herbu Jastrzębiec** wywodzą się ze wsi Bukowiec Wielki i Mały w województwie płockim. Adam Boniecki w „Herbarzu Polskim” pisze, że w 1578 roku oba Bukowce były w posiadaniu Jana, Wojciecha, Macieja, Andrzeja syna Szymona i Andrzeja syna Daćboga. Z czasem rodzina i tak już liczna dalej się powiększała, a Bukowce, pomimo tego, że dwa, stawały się za ciasne i drogą koligacji z rodzinami właścicieli okolicznych folwarków, czy też drogą kupna, Bukowscy stawali się współwłaścicielami innych folwarków. Pod koniec XVIII wieku Bukowscy byli współwłaścicielami siedemnastu folwarków w powiecie mławskim, woj. płockie. Brak dowodów na to, że wszyscy oni byli herbu Jastrzębiec. Zważywszy jednak na bliskie sąsiedztwo tych folwarków (zaznaczone na mapie nr 1) znajdujących się w promieniu 10 km, którego punktem centralnym jest Bukowiec, można przyjąć, nie popełniając błędu, że wszyscy Bukowscy wówczas tam żyjący pieczętowali się herbem Jastrzębiec. Do naszych czasów, na jednej z posesji w parafii Janowo, zachował się duży kamień polny z wyrytym na nim herbem rodu Jastrzębiec.

Po upadku powstania listopadowego w Królestwie Polskim zarządzona została tak zwana akcja legitymacyjna, której przeprowadzenie zlecono powołanej w 1836 r. przez władze carskie w tym celu komisji, zwanej Heroldią. Odtąd formalnie szlachcicem mógł być uznany tylko ten, kto potrafił swoje szlachectwo odpowiednio przed Heroldią udokumentować. To wiązało się z dużymi kosztami. Na koszty te składały się wydatki związane ze sporządzaniem załączników dowodowych, doradztwo i opieka prawna, wyjazdy do miast gubernialnych oraz na końcu postępowanie w samej Heroldii. Na takie wydatki nie każdy szlachcic mógł sobie pozwolić. W wyniku akcji legitymacyjnej zatwierdzono szlachectwo zaledwie 25 tysiącom rodzin, wiele szlachty nie przeszło przez to sito. Szlachta w Polsce przedrozbiorowej cieszyła się licznymi przywilejami, a władzy carskiej chodziło o ograniczenie liczby osób zaliczających się do stanu szlacheckiego, zdegradowanie i pozbawienie praw. W tym celu Heroldia wprowadziła szereg przepisów, które utrudniały przeprowadzenie udowodnienia pochodzenia szlacheckiego. Jednym z tych przepisów był taki, że prawo do legitymacji szlacheckiej miał tylko właściciel całego folwarku. Ten przepis pozbawił prawa do legitymacji szlacheckiej prawie wszystkich Bukowskich herbu Jastrzębiec, gdyż byli oni właścicielami tylko części, niekiedy 1/8 folwarku. Przez sito przepisów Heroldii udało się przejść tylko potomkom Antoniego Bukowskiego herbu Jastrzębiec, który w połowie XVIII wieku uzyskał tytuł ziemski miecznika czernihowskiego. Zgodnie z przepisami

Heroldii, prawo do starania się o legitymację szlachecką mieli potomkowie szlachty piastującej tytuły ziemskie.

Lokalizację folwarków własności Bukowskich herbu Jastrzębiec na przełomie XVIII i XIX wieku pokazano na mapie nr 1 i 2.

**Bukowscy herbu Orla** zostali zapisani do ksiąg szlachty guberni kowieńskiej, wileńskiej oraz grodzieńskiej. Herbarz Uruskiego wymienia Walentego, komornika radziejowskiego z roku 1620, Pawła z województwa rawskiego z roku 1670, Macieja z 1648 roku, oraz Stanisława i Pawła, którzy podpisali elekcję Augusta II w roku 1697.

**Bukowscy herbu Ossorya.** Rodzina z małopolski, wzięła nazwisko od majątku Bukowe. Z rodziny tej pochodzą hrabiowie i senatorowie. Protoplastą tej rodziny jest Jerzy, dziedzic dóbr Bukowe, o którym informacja pochodzi z roku 1440.

Senatorowie w tej rodzinie to:

- Jerzy, kasztelan sanocki z 1752 roku, oraz
- Antoni, też kasztelan sanocki, który przejął tę godność w 1757 roku po ustąpieniu ze stanowiska Jerzego.

Tytuły hrabiowskie otrzymali od cesarza Józefa II w 1783 roku:

- Michał, podstoli w 1750 r., podczaszy 1758 r., stolnik sanocki, poseł na sejm,
- Franciszek, starosta iskrzyński, poseł na sejm 1764 r., miecznik 1761 r., cześnik 1765 r., podstoli 1766 r., podczaszy 1768 r., dziedzic dóbr Koniuszków.

W posiadaniu Bukowskich h. Ossorya były między innymi dobra Błonie i wieś Swoszowice w woj. sandomierskim, dobra Klucze w pow. olkuskim, oraz dobra Wronowice w woj. lubelskim.

**Bukowscy herbu Poraj** w 1852 roku, razem 25 osób, otrzymali legitymacje szlacheckie w Cesarstwie Rosyjskim i zostali zapisani do ksiąg szlachty guberni kowieńskiej.

Obecnie w Polsce żyje około 15 tysięcy osób noszących nazwisko Bukowski/ska.



Mapa nr 1

Koniec XVIII w.

Folwarki – własność / współwłasność BUKOWSKICH herbu Jastrzębiec



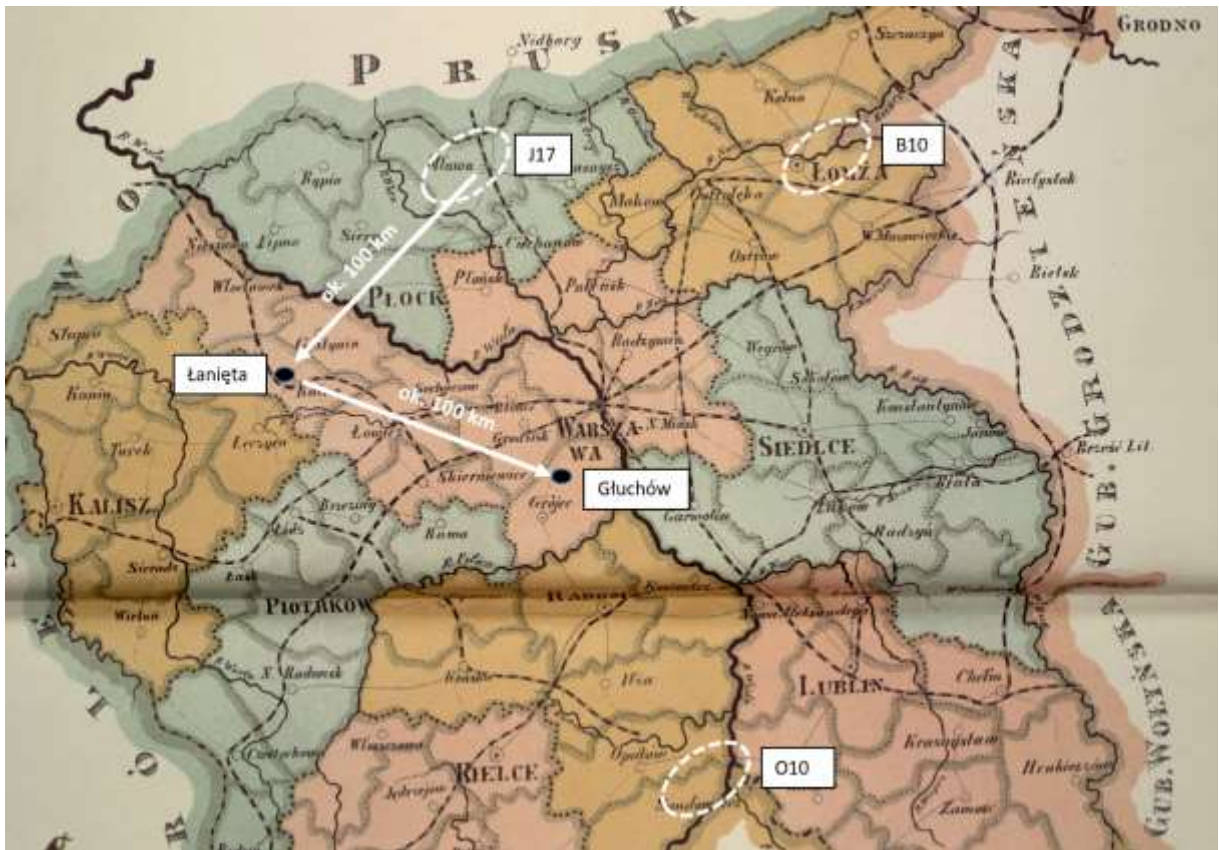
Rys. 2. Folwarki – własność / współwłasność BUKOWSKICH herbu Jastrzębiec. Koniec XVIII w. (Mapa nr 1).

Folwarki Bukowskich zaznaczono czarnym polem i podkreśleniem nazwy. Lokalizacje pięciu folwarków, które nie zostały pokazane na tej mapie oznaczono czarnym polem i cyframi rzymskimi (dodano legendę). Dwa folwarki: Dąbrusk i Poluby są poza zasięgiem tej mapy. Mapa zaadaptowana na potrzeby niniejszej publikacji pochodzi z: J. M. Bazewicz „Atlas geograficzny ilustrowany Królestwa Polskiego”, Warszawa: Wydawnictwo J. M. Bazewicza, 1907. Źródło: [polona.pl](http://polona.pl).

Mapa nr 2

Początek XIX w.

Majątki ziemskie BUKOWSKICH



Rys. 3. Majątki ziemskie BUKOWSKICH. Początek XIX w. (Mapa nr 2).

Objaśnienie oznaczeń na mapie:

rejon lokalizacji i liczba folwarków własności Bukowskich

- J17 herbu Jastrzębiec
- B10 herbu Bończa
- O10 herbu Ossorya

Oznaczenia naniesiono na mapę pochodzącą z J. M. Bazewicz „Atlas geograficzny ilustrowany Królestwa Polskiego”, Warszawa: Wydawnictwo J. M. Bazewicza, 1907. Źródło: [polona.pl](http://polona.pl).

## 2. Bukowscy z Bukowca

### Michał (ok. 1375 – ok. 1425)

Protoplastą Bukowskich z Bukowca herbu Jastrzębiec jest Michał żyjący na przełomie XIV i XV wieku, przypuszczalnie w latach 1375 – 1425.

W tym czasie żyli protoplaści takich rodów, jak Piłsudskich herbu Kościesza, Radziwiłłów herbu Trzy Trąby, czy Bukowskich herbu Ossorya.

Protoplastą rodu Piłsudskich jest książę Ginet, który podpisał akt unii horodelskiej w 1413 roku dającej rycerstwu litewskiemu te same prawa, jakie miała szlachta polska. Wnuk księcia Bartłomiej nabył majątek Piłsudy koło Rosienia na Żmudzi i jego potomkowie przyjęli nazwisko Piłsudscy. Z tej linii pochodzi Marszałek Józef Piłsudski.

Protoplastą rodu Radziwiłłów jest Ostyk (Ościk), który zmarł około 1444 roku. Synowi jego nadano imię Radziwiłł. Imię to stało się później nazwiskiem całej książęcej dynastii.

Bukowscy herbu Ossorya pochodzą od Jerzego, dziedzica dóbr Bukowe w sandomierskim, a informacja o nim pochodzi z roku 1440.

Najstarsza informacja o naszym protoplaście, właścicielu Bukowca, pochodzi z roku 1418. Dokument ten znajduje się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. O istnieniu tego dokumentu dowiedziałem się ze strony internetowej Instytutu Historii PAN w Warszawie dotyczącej Bukowca Wielkiego. Język dokumentu to łacina, a napisany jest kaligrafią średniowieczną, trudną współcześnie do odczytania. Trudu tego, z powodzeniem, podjął się ksiądz Jan Edling.

W dokumencie tym, między innymi, podano dwukrotnie informację dotyczącą naszego protoplasty Michała z Bukowca.

W pierwszej mowa jest o tym, że: *„Michał z Bukowca świadczył w zastępstwie Przywoja ze Szczepkowa. Tenże szlachcic wobec nas, jawnie, publicznie połowę spadku Wyszyn, Śmichnie, swojej synowej w Grzybowie przyznał, która tam o tyle jest prawnym spadkobiercą, o ile jest nim sam Przywój”*.

W drugiej informacji, bardzo krótkiej, podano jedynie: *„Item Michael de Bukowecz contra Mroczkonem de Cruszewe misit”*, co oznacza, że: *„Tenże Michał z Bukowca przeciw Mroczkowi z Kruszewia wystąpił”*. (...) *„Zdarzenie miało miejsce w Wyszynach, nazajutrz po Nawiedzeniu Błogosławionej Maryi Pełnej Chwały w roku Pańskim 1418”*. (Przypis autora: czyli 3 lipca 1418 roku.)

Kruszewia nie było i nie ma na terenie Poboża, jest natomiast koło Płońsk. Odległość między Bukowcem a Kruszewiem wynosi około 82 km. Zastanawiające jest, że w średniowieczu procesowały się osoby mieszkające tak daleko od siebie. W tamtych czasach spory prowadzono zwykle o gruszę na miedzy lub mur graniczny. Wytlumaczenie jest jedno. Michał urodził się i mieszkał jakiś czas w Kruszewiu.

Chlebowski w Słowniku Geograficznym, w tomie IV, na str. 437 tak opisuje tę miejscowość: *„Korzybie-Kruszewie wieś pow. płoński, gmina Sarbiewo, parafia Baboszewo, odległa o 8 wiorst od Płońsk, 7 domów, 65 mieszkańców, 189 mórg gruntu, 1 morga nieużytków”*. Opis dotyczy wsi z końca XIX wieku. W średniowieczu wieś nazywała się Kruszewie. Na współczesnych mapach wieś ma nazwę Korzybie.

Kiedy zbliżała się wielka wojna z Zakonem Krzyżackim, Michał postanowił wziąć w niej udział. Kim był Michał wyruszający na wojnę?

Ks. T. Żebrowski w swoim opracowaniu „Kasztelania Grzebska w średniowieczu”, włączonym do książki „Rola szlachty mazowieckiej w kształtowaniu polskiego krajobrazu kulturowego”, pisze na str. 101 „*Jedynie Bukowiec, a prawdopodobnie i Pokrzywnica zostały osadzone przez szlachtę z Korzybia (pow. Płońsk) herbu Awdaniec*”.

Korzybie, wówczas Kruszewie, rzeczywiście było własnością Awdańców, ale Michał nie był dziedzicem tego folwarku. Nie było i nie ma Bukowskich herbu Awdaniec.

Moja interpretacja zdarzeń jest następująca.

Michał wyruszając na wojnę był włodyką, czyli, według słownika staropolskiego, już nie chłopem, bo rycerzem, a nie szlachcicem, bo bez ziemi. Zwerbować go mógł rycerz-szlachcic z najbliższego sąsiedztwa. Do parafii Baboszewo należało Kruszewie i między innymi Mystkowo nad rzeką Dobrzycą. Rzeka Dobrzyca była granicą terenu, o powierzchni około 400 kilometrów kwadratowych, sięgającego od niej szerokim zagonem po obu stronach gościńca przez Drobin do Sierpca, na którym znajdowało się, w tamtych czasach, kilkadziesiąt folwarków należących do rycerzy herbu Boleścic. Boleścic to średniowieczna nazwa herbu Jastrzębiec.

Rycerz z Mystkowa pochodził z tego terenu, więc był herbu Boleścic. Jako ciężkozbrojny kopijnik, zwerbował Michała i jeszcze jednego chętnego do udziału w wojnie i uzbroił ich w kusze. Trzech zbrojnych: kopijnik i dwóch konnych strzelców posługujących się kuszami, stanowiło najmniejszą jednostkę organizacyjną i taktyczną jazdy rycerskiej, nazywaną pocztą lub kopia. Kopia, w której służył Michał, pochodziła z ziemi płockiej i została włączona do chorągwi księcia płockiego Siemowita IV. Polskie herby stały się oznaką wyróżniającą oddział wojskowy, w którym rycerz służył. Włączenie do oddziału bojowego było równoznaczne z nadaniem herbu. Michałowi nadano wówczas herb Boleścic.

15 lipca 1410 r. doszło do największej w średniowieczu bitwy z Zakonem Krzyżackim pod Grunwaldem. Michał wziął w niej udział i za zasługi otrzymał od księcia płockiego Siemowita IV nadanie w ilości 20 włók (320 ha) ziemi Bukowca.

Ponieważ nie zachował się do naszych czasów dokument nadania ziemi, nie znam jego treści. Mogę tylko przypuszczać, że oprócz nadania ziemi, Michał, drogą adopcji, został przyjęty do stanu szlacheckiego. Spełniał bowiem warunki, aby być szlachcicem. Otrzymał herb, gdy został przyjęty do oddziału bojowego przed bitwą pod Grunwaldem oraz nadano mu ziemię za zasługi w tej bitwie. Miał więc herb i ziemię.

Dla ludzi spoza stanu szlacheckiego istniały trzy sposoby uzyskania prawa przyjęcia do tego stanu: nobilitacja, indygent i adopcja.

Nobilitacja, czyli nadanie herbu i uznanie za szlachcica, dokonywał do 1578 sam król, później król pod kontrolą sejmu, na koniec, od 1601 roku, sejm. Indygent był przypuszczeniem przez króla i sejm do stanu szlacheckiego szlachcica z zagranicy. Adopcją było uznanie nieszlachcica za członka swego rodu przez szlachcica. Najczęściej adoptowano przyjaciół, zasłużonych w służbie pracowników lub towarzyszy broni.

Adopcji tej mógł dokonać towarzysz broni Michała, jego dowódca, kopijnik z Mystkowa, herbu Boleścic. Potomkowie tego rycerza po XVI wieku będą nosić nazwisko Mystkowski herbu Jastrzębiec, które wymienione będzie w „Herbarzu szlachty polskiej” Sławomira Górczyńskiego, wydanym w 1994 roku, w spisie nazwisk, na str. 70.



Dzięki nadaniu ziemi przez księcia płockiego i adopcji, Michał stał się dziedzicem Bukowca herbu Boleścic, którego potomkowie po XVI wieku będą nosić nazwisko Bukowski herbu Jastrzębiec, które znajdzie się w Herbarzu, w spisie nazwisk na str. 69.

Michał już jako dziedzic Bukowca dochodził swoich spraw spornych z Mroczkim z Kruszewia, o czym mówi wspomniany dokument z roku 1418. Kopia tego dokumentu została włączona do opracowania, jest w rozdziale szóstym.

Bukowiec znajduje się na Pobożu, na północno-zachodnim Mazowszu i oddalony jest o 3,0 km od Janowca Kościelnego, 17 km na południowy wschód od Nidzicy i 22 km na północny wschód od Mławy.

Nie jest znana data powstania osady o nazwie Bukowiec. Trudno jest też określić etymologię nazwy. Najstarsze nazwy miejscowości to: Bubawecz, Bubwycz, Bukawecz, Bukowyecz, wreszcie Bukowiec.

W dobie kształtowania się państwowości, we wczesnym średniowieczu (X wiek do początku XII wieku), na północnym Mazowszu, gdzie powstała, między innymi, osada na miejscu dzisiejszego Bukowca, dominowała wolna ludność rolnicza zakładająca swoje osady, zależna tylko od władcy, czyli księcia. Po napaściach Prusów na te osady, około 1120 roku, zostały one wyludnione i zarosły puszcza. Ich ponowne zasiedlenie rozpoczęło się w połowie XIV wieku, po ustanowieniu granicy Mazowsza z Zakonem Krzyżackim w 1343 roku. W tym czasie zapewne powstała osada Bukowiec.

Przez Bukowiec, od najdawniejszych czasów, przebiega droga z Mławy do Janowa położonego nad rzeką Orzyc. W środku Bukowca, od tej drogi, znajduje się odgałęzienie prowadzące drogę przez Pokrzywnicę Wielką do Janowca Kościelnego. Droga do Janowca Kościelnego dzieli Bukowiec na dwie części. Ta część znajdująca się przed odgałęzieniem, część południowa, z czasem nazwana została Bukowcem Wielkim, a część północna, za odgałęzieniem drogi, Bukowcem Małym.

Kiedy ten podział w nazewnictwie nastąpił, nie udało mi się ustalić. Zawsze jednak, administracyjnie, Bukowiec Wielki i Mały stanowiły niepodzielną całość.

Nadawanie ziemi na prawie rycerskim przez księcia mazowieckiego zostało wstrzymane w 1384 roku na ziemi zawskrzeńskiej, na której znajdował się Bukowiec, z powodu przekazania tej ziemi w zastaw Zakonowi Krzyżackiemu. Ziemia zawskrzeńska powróciła do Mazowsza na mocy pierwszego pokoju toruńskiego w 1411 roku. W tym czasie, można przyjąć, nadany został Bukowiec pierwszemu właścicielowi.

Najstarsza wzmianka o Bukowcu pochodzi z roku 1413, z relacji delegata cesarza Zygmunta Luksemburczyka, Benedykta z Makra. Donosił on cesarzowi w sprawie napałów krzyżackich na Mazowsze: *„podczas kolejnych najazdów w 1412 i 1413 roku uszkodzonymi zostali właściciele przysiółków Leśniewo, Bukowiec, Janowiec,(...) Straty poniesione przez mieszkańców szacowano na 2000 florenów”*.

Akty nadania ziemi na prawie rycerskim otrzymywali od księcia mazowieckiego wyróżniający się w boju rycerze. Najmniejsze nadanie wynosiło 10 włók (ok. 160 ha), bywały większe, ponad 100. Nasz protoplasta Michał otrzymał 20 włók, czyli 320 ha ziemi Bukowca. Wnioski z wyżej opisanych zdarzeń są następujące:

- Michał z Bukowca herbu Boleścic był jego pierwszym dziedzicem,
- Michał jest naszym protoplastą,
- mijają obecnie sześćset lat istnienia rodu Bukowskich z Bukowca!

## Osiem pokoleń potomków Michała, lata 1436 – 1697

Do naszych czasów zachowało się zaledwie kilka dokumentów dotyczących naszych przodków żyjących w latach 1439 – 1697, a przeżyło ten czas osiem pokoleń potomków Michała. Informacje o naszych przodkach zaczerpnąłem z dwóch źródeł. Pierwszym jest książka „Honor to nie słowo” Ireny Kotowicz-Borowy. Autorka na str. 154 pisze:

*„W 1436 roku Wierzchosław z synem Pawłem będący dziedzicami Bukowca Wielkiego zamienili z Iwanem ze Szczepkowa 5 włók (80 ha) ziemi w Bukowcu na łąki zwane kępiste nad rzeką Orzyc”.*

Dokument dotyczący tej zamiany gruntów znajduje się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Włączony został do Metryki mazowieckiej, sygnatura MK 335, strona 67. Kopię tego dokumentu umieściłem w rozdziale szóstym opracowania.

Drugie źródło informacji to „Herbarz Polski” Adama Bonieckiego. Czytając ten herbarz dowiedziałem się, że:

*„Marcin syn Daćboga był świadkiem w Płocku, rok 1530”.*

Dokument z roku 1531 podaje, że (?)elreta, żona Daćboga z synem Marcinem byli właścicielami części Bukowca. Informację o tym znalazłem na stronie internetowej „Repozytorium cyfrowe Instytutów Naukowych – Bukowiec Wielki”.

Dalej „Herbarz Polski” podaje:

*„Małgorzata, wdowa po Macieju, razem z dziećmi: Grzegorzem, Małgorzatą i Apolonią procesowała się z Rychorskim, rok 1535.*

*Jan, Wojciech, Maciej, Andrzej syn Szymona i Andrzej syn Daćboga byli współwłaścicielami obu Bukowców, rok 1578.*

*Maciej i Stanisław podpisali elekcję Jana Kazimiera, rok 1648.*

*Aleksander i Jan brali udział w wyborze Augusta II, rok 1697”.*

Przy tak skąpych informacjach nie ma możliwości ustalenia pokrewieństwa między tymi osobami, ale jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości – są oni potomkami protoplasty Michała.

Adam Boniecki pisał „Herbarz Polski” w latach 1899-1909, a więc przed wojną światową i miał dostęp do wielu dokumentów, które później, w wyniku obu wojen światowych, bezpowrotnie niestety, zaginęły. Nie da się obecnie, z powodu braku tych dokumentów, poszerzyć wiedzy o naszych przodkach.

W 1697 roku August II został wybrany na króla Polski (w którym to wydarzeniu brali udział potomkowie Michała – Aleksander i Jan), a w Bukowcu Małym urodził się Tomasz. 3 lata później nadszedł wiek XVIII, Od jego początku wzrasta szansa na odnalezienie dokumentów w archiwach. Informacje dotyczące naszego rodu, jakie znalazłem w archiwach państwowych i kościelnych, prezentuję na następnych stronach.

## **Tomasz (30.12.1697-?)**

Tomasz urodził się 30 grudnia 1697 roku w Bukowcu Małym. Rodzice jego to Mateusz i Małgorzata Bukowscy. Chrzest odbył się w kościele parafialnym w Janowcu Kościelnym. Kopię metryki chrztu załączyłem do opracowania.

Metryka urodzenia napisana jest po łacinie. Ksiądz przed nazwiskiem ojca Tomasza napisał słowo nobilis. Nobilis znaczy szlachetny. Taki tytuł przysługiwał szlachcicowi częstkowemu, który był właścicielem części folwarku. Właściciela przynajmniej jednego folwarku tytułowano generosus, czyli urodzony. Metryka urodzenia Tomasza to najstarszy dokument dotyczący naszych przodków z Bukowca Małego, jaki udało mi się znaleźć w archiwach.

Rodzice Tomasza żyli w drugiej połowie XVII wieku. Czas ten był w Rzeczypospolitej bardzo burzliwy. Powstanie kozackie pod przywództwem Chmielnickiego na Ukrainie, najazd na Polskę wojsk szwedzkich, czyli potop, wojna z Turcją i utrata Podola. Wydarzenia te barwnie opisał Henryk Sienkiewicz w swojej Trylogii. Za życia rodziców Tomasza husaria polska wraz z wojskami sprzymierzonymi, pod wodzą króla Jana III Sobieskiego, pokonała wojska tureckie pod Wiedniem.

W roku, w którym urodził się Tomasz, czyli w 1697, odbyła się elekcja króla Augusta II Sasa na polu Mokotowskim. W elekcji tej brali udział krewni rodziców Tomasza, Aleksander i Jan Bukowscy z Bukowca.

Tomasz ożenił się z Magdaleną z Bukowskich. Ślub odbył się w kościele parafialnym w Janowcu Kościelnym 13 maja 1725 roku. Rodzice Tomasza nie brali udziału w uroczystościach weselnych syna. Ksiądz w metryce ślubu wymienia nazwiska świadków, są tam Bukowscy, ale imion rodziców Tomasza nie ma. Rodzice jego umarli zapewne wcześniej.

Tomasz, drogą dziedziczenia, stał się właścicielem dziewiętej części folwarku Bukowiec Mały. Tomaszowi i Magdzie urodziło się pięcioro dzieci, trzy córki i dwóch synów. Najmłodszemu nadano imię Józef.

Oprócz Tomasza i Magdy pozostałymi współwłaścicielami Bukowca Małego pod koniec XVIII wieku byli: Jan i Jadwiga Bukowscy, Maciej i Katarzyna Bukowscy, Jan i Katarzyna Bukowscy, Paweł Bukowski, Szymon i Marianna Bukowscy, Szymon i Katarzyna Bukowscy, wdowa Szypulska oraz Piotr i Franciszka Smolińscy, w sumie 9 właścicieli.

Bukowiec Wielki należał do 2 właścicieli, a byli nimi: wdowa Katarzyna Bukowska oraz Franciszek i Marianna Bukowscy. W Bukowcu Wielkim był także jeden mały folwark, gdzie żyły dwie rodziny poddanych chłopów: Franciszek Szewc z żoną Zofią i Bartłomiej (bez nazwiska) z żoną Jadwigą.

Oba folwarki były w rękach 11 właścicieli, średnio każdy miał ok. 30 ha ziemi. Właściciele ci to szlachta zwana częstkową lub zagrodową. W hierarchii szlachty wyżej stali oni od szlachty czynszowej, czyli tej bez ziemi, ale dzierżawiącej folwarki należące do magnatów, od szlachty brukowej, żyjącej w miastach oraz od całkowicie zubożałej, zwanej gołotą. Nasi przodkowie nie wyróżniali się niczym szczególnym, kroniki o nich nie wspominają, byli częścią drobnej szlachty.

O życiu tej części stanu szlacheckiego pisze Irena Kotowicz-Borowy w książce zatytułowanej „Honor to nie tylko słowo. Studium tożsamości drobnej szlachty północnego Mazowsza”. Korzystając z tej książki, spróbuję odtworzyć prawdopodobny opis życia naszego przodka Tomasza.

Głównym zabudowaniem jego siedliska był budynek mieszkalny, zwany dworkiem. Elementem charakterystycznym dworku był ganek, przed którym znajdował się ogródek kwiatowy. Z ganku

wchodziło się do obszernej sieni. Z prawej strony znajdował się duży pokój, zwany izbą, z którego można było przejść do alkierza, a stamtąd prowadziło wyjście do sionki. Z lewej strony głównej sieni znajdowała się izba jadalnia, w której stał duży stół na 12 – 16 osób. Z obu stron stołu były długie ławy. W pomieszczeniu tym stał też duży kredens. Służba na co dzień jadła z gospodarzami, wyrobnicy oddzielnie. Z izby jadalnej prowadziły drzwi do kuchni. W kuchni wydzielone była spiżarnia, zwana komorą. Obok komina znajdował się duży piec ceglano-gliniany bielony wapnem. Z kuchni wyjście było do sionki, tej samej, do której wychodziło się z alkierza. Z sionki tej wyjście było na zewnątrz, z tyłu dworku. W głównej sieni, do której wchodziło się z ganku, znajdowały się schody prowadzące na strych.

Dworek był drewniany, parterowy, bez podpiwniczenia, stał na podmurówce kamiennej. Dach był wysoki, czterospadowy, łamany, kryty gontem. Ściany nie były tynkowane, opierały się na konstrukcji zrębowej.

Meble były skromne, wykonane przez lokalnych stelmachów. W alkierzu spano na tak zwanych sofkach i drewnianych łóżkach z wysuwanyim spodem. Odzież przechowywana była w kufrach, skrzyniach i komodzie. Na komodzie ustawiony był domowy ołtarzyk z figurą Matki Boskiej. Pomieszczenia oświetlano za pomocą szczap (łuczyw), tzw. kopcuszków.

Na terenie siedliska, obok najważniejszego budynku, jakim był dworek, stały jeszcze stodoła, obora i stajnia. Całość uzupełniał chlewik i niewielka, wolnostojąca szopa.

Pracą w polu zajmowali się mężczyźni, ojciec wraz z dorosłymi synami. Kobiety zajęte były pracami w domu, dojeniem krów, hodowlą drobiu. Dzieci też pracowały. Pomagały przy porządkach, pasły gęsi i krowy.

Okresowo zatrudniano wyrobników. Byli to wędrowni ludzie chodzący od folwarku do folwarku w poszukiwaniu pracy. Umowę na ich zatrudnienie zawierano zawsze w dniu św. Wojciecha.

Gospodarstwo naszego przodka posiadało również owce. Znajomość ich hodowli przydała się w przyszłości synowi Tomasza Józefowi. Kiedy niebawem opuścił rodzinny dom w poszukiwaniu pracy, znalazł ją w dużym majątku i zajął się tam właśnie hodowlą owiec. Gospodarstwo po ojcu przejął jego starszy brat Jakub.

Józef nie powrócił do domu rodzinnego i nie zmarł tutaj. Nie odnalazłem jego aktu zgonu w księgach z lat 1769-1820 parafii Janowiec, do której należał Bukowiec Mały.

O Bukowcu, pod koniec XIX wieku tak pisze B. Chlebowski w „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i Litwy”: *„Bukowiec Wielki i Mały, dwa folwarki przy rzeczce bez nazwy, powiat mławski, gmina Szczepkowo, parafia Janowiec Kościelny liczy 3 domy, 55 mieszkańców, obszar wraz z folwarkiem Bukowiec Mały, 570 mórg”*.

Po bitwie pod Grunwaldem, w której brał udział nasz protoplasta Michał, książę płocki Siemowit nadał mu w nagrodę 20 włók ziemi Bukowca. Pod koniec XIX wieku powierzchnia Bukowca, jak podawał w ww. słowniku B. Chmielowski, wynosiła 570 mórg.

Z upływem czasu jednostki miar zmieniały się z włók na morgi. Jedna włoka to około 16 ha. Powierzchnia Bukowca wynosiła 20 włók, czyli 320 ha. W wieku XIX używano jednostki miary powierzchni zwanej morga. Morga oznaczała obszar, jaki jeden rolnik mógł zorać lub skosić jednym zaprzęgiem w ciągu dnia roboczego. Jedna morga to około 0,56 ha. Powierzchnia Bukowca wynosiła 570 mórg, czyli 320 hektarów. Jednostki miar zmieniały się, ale powierzchnia Bukowca pozostawała niezmiennie taka sama i wynosiła 320 hektary.



Do 1949 roku ziemie Bukowca znajdowały się w rękach prywatnych właścicieli. Po tym roku wieś została włączona do PGR Pokrzywnica. Obecnie jest to niewielka wieś z 5 domami położonymi nieopodal szosy z Mławy do Janowa. Nikt z gospodarzy nie nazywa się Bukowski.

## **Józef (26.01.1741 – 30.10.1813)**

Zanim opiszę losy Józefa wyjaśnię, skąd czerpałem wiedzę o naszych przodkach i jaką metodę zastosowałem przy poszukiwaniu ich dokumentów. W pracy tej zastosowałem metodę retrogresywną polegającą na poszukiwaniu przodków poruszając się wstecz z pokolenia na pokolenie. Zacząłem od ojca Mieczysława, poprzez dziadka Adama, tą metodą dotarłem do pra-pra-pradziadka Józefa żyjącego na przełomie XVIII i XIX wieku. Przy poszukiwaniu dokumentów dotyczących Józefa dotarłem najpierw nie do jego metryki urodzenia, ale do jego aktu zgonu. Józef zmarł w Sokołowie w 1813 roku. Akt zgonu Józefa wystawiony przez księdza parafii Sokołów nie zawiera podstawowych informacji dla genealoga, a mianowicie brak informacji o dacie i miejscu urodzenia oraz kto był jego rodzicami. W akcie podano przyczynę zgonu oraz datę: 30 października 1813 roku.

Mając do dyspozycji tylko takie informacje, w celu ustalenia miejsca i daty urodzenia Józefa, musiałem przyjąć pewne założenia i na ich podstawie postawić hipotezę.

Józef nie urodził się w Sokołowie, do którego przeprowadził się wraz z rodziną kilka lat przed swoją śmiercią. Nie urodził się też w Łaniewtach, do których przybył pod koniec XVIII wieku. Gdzie się zatem urodził?

Postawiłem następującą hipotezę: urodził się na Pobożu leżącym na północno-zachodnim Mazowszu odległym od Łaniew ok. 100 km.

Uzasadnienie tej hipotezy: Poboże w tym czasie było matecznikiem Bukowskich herbu Jastrzębiec. Żyło tam 25 rodzin Bukowskich, którzy byli właścicielami części ziemi w 17 folwarkach.

Podaję nazwy tych folwarków oraz parafii do których one należały: Długokąty Małe, Zakrzewo Żaki, Waśniewo Głuchy w parafii Grzebsk, Rembowo i Zembrus w parafii Janów, Borowe, Bukowiec Wielki i Mały, Kołaki, Zyki w parafii Janowiec, Peplowo w parafii Kulin, Bonisław i Chmielno w parafii Wieczfnia, Dąbrusk w parafii Zagroba, Marianowo w parafii Szydłowo i Poluby w parafii Węgra.

Lokalizację tych folwarków pokazano na mapie nr 1, strona 9.

W trzech parafiach (Szydłowo, Wieczfnia i Janowo), gdzie żyło 5 rodzin Bukowskich nie zachowały się księgi metrykalne z XVIII wieku. W pozostałych pięciu parafiach, do których przypisanych było 12 folwarków, a żyło w nich, między innymi, 20 rodzin Bukowskich, zachowały się księgi metrykalne urodzeń obejmujące interesujący mnie wiek XVIII.

W tych zachowanych do naszych czasów księgach metrykalnych urodzeń szukałem metryki chrztu Józefa.

Datę urodzenia Józefa obliczyłem na podstawie podanego w akcie zgonu wieku zmarłego. Podano tam, że Józef w chwili śmierci, w roku 1813, miał 66 lat. Zatem urodził się (1813-66) w roku 1747. Rok urodzenia w przedziale dziesięcioletnim (z taką dokładnością na ogół podawali księża wiek zmarłych będących w podeszłym wieku) przypadał na lata 1740-1750. W tym przedziale czasu znalazłem tylko jedną (sic!) metrykę chrztu Józefa urodzonego w Bukowcu Małym w dniu 21 stycznia 1741 roku.

Metryka chrztu Józefa otworzyła mi możliwości dalszych poszukiwań jego, ale też tym samym, naszych przodków, o których pisałem na poprzednich stronach.

Po tej dygresji i wyjaśnieniach mogę kontynuować opis losów naszego przodka Józefa.

Józef urodził się w Bukowcu Małym dnia 26 stycznia 1741 roku. Był najmłodszym dzieckiem Tomasza i Magdaleny Bukowskich. Miał starszego od siebie o trzy lata brata Jakuba i trzy starsze siostry.

Kopia metryki jego urodzenia została włączona do opracowania. W metryce tej, napisanej po łacinie, podano, że Józef jest synem szlchetnego (nobilis) Tomasza Bukowskiego i Magdaleny z Bukowskich. Adam Boniecki w swoim herbarzu podaje, że Bukowscy z Bukowca Wielkiego i Małego pieczętują się herbem Jastrzębiec.

Dzieciństwo i młodość Józef spędził w domu rodzinnym w Bukowcu. Nie wiem, kiedy wyruszył z tego domu w poszukiwaniu pracy. W spisie parafian parafii Janowiec z roku 1763 jest jeszcze tam wymieniony. Miał wówczas 22 lata. Co się wydarzyło w życiu Józefa pomiędzy 1763 a 1796 r. nie udało mi się ustalić. Gospodarstwo po ojcu przejął jego starszy brat Jakub.

O Józefie i jego potomkach piszę w następnych rozdziałach.

### 3. Bukowscy z Łanięt

#### Józef (26.01.1741- 30.10.1813)

Józef urodził się jeszcze w wolnej Polsce, ale słaba demokracja szlachecka w kraju i ekspansywny absolutyzm u sąsiadów doprowadziły do jej upadku. Po trzecim rozbiórce Polski w 1795 roku ziemia pobożańska włączona została do Prus, więc Józef stał się poddanym króla pruskiego. Trudna sytuacja gospodarcza (przeludnienie małych folwarków szlacheckich) spowodowała, że Józef opuścił ojcowiznę, na której został starszy o trzy lata brat Jakub i wyruszył w poszukiwaniu pracy.

Józef przybył do Łanięt odległych od ziemi pobożańskiej ok. 100 km (patrz mapa nr 2 na str. 10). Łanięta należały do gminy Mikstał w powiecie kutnowskim. Wchodziły w skład klucza składającego się z trzech folwarków: Łanięta, Suchodębie i Lipie oraz wsi Juków, Stare Budy, Pomorzany, Nowe Budy i Benignów o łącznej powierzchni ziemi 4571 mórg, czyli 2560 ha. Właścicielem klucza był hrabia Skarżyński. Tak duży i dobrze prosperujący majątek był magnesem dla drobnej, pozbawionej ziemi szlachty poszukującej zatrudnienia. Tam znalazł pracę Józef, jako owczarz. Łanięta pod koniec XIX wieku słynęły z hodowli owiec rasy negretti, stado liczyło 4400 sztuk. Może hodowlę tę zapoczątkował Józef u schyłku XVIII wieku?

Ożenił się z Jadwigą Rutkowską w 1796 roku. Miał wówczas 55 lat. Józef odjął sobie może sześć lat chcąc się odmłodzić z okazji ślubu i podał swój wiek 49 lat, zamiast 55. Żeniąc się w tym wieku był zapewne wdowcem. Wybranką jego była wdowa po Idzim Rutkowskim z Witonii koło Kutna.

Jadwiga z pierwszym mężem miała czterech synów: dwóch bliźniaków Błażeja i Piotra urodzonych w 1784 roku, Józefa Grzegorza urodzonego w 1792 roku oraz Jana urodzonego 1795 roku. Krótko po urodzeniu się Jana, mąż Jadwigi, Idzi Rutkowski, zmarł.

Józefowi rok po ślubie, w 1797 roku urodził się syn, na chrzcie nadano mu również imię Józef. W następnych latach szczęśliwy ojciec doczekał się kolejnych potomków: w 1803 roku Franciszka, którego jesteśmy potomkami oraz Mateusza urodzonego w 1805 roku. Krótko po urodzeniu się Mateusza, Józef wraz z całą rodziną przeprowadził się z Łanięt do Sokołowa, majątku oddalonego od Łanięt o 11 kilometrów, gdzie jak poprzednio, zajął się hodowlą owiec.

W Sokołowie Józef zmarł 30 października 1813 roku o godzinie pierwszej po południu na puchling. Jest to choroba związana z zaburzeniami krążenia. O śmierci ojca zawiadomili księdza syn Józef i pasierb Grzegorz. Kopia metryki zgonu znajduje się w rozdziale szóstym. W metryce zgonu napisano, że przeżył 66 lat, ale licząc na podstawie danych z metryki urodzenia, miał wówczas 72 lata. To jest te 6 lat różnicy odjętych „z okazji ślubu”, a może to być też przykład błędu wynikającego z tego, że nie korzystano wówczas z dokumentów, a polegano na ludzkiej pamięci, która jest zawodna.

Wdowa Jadwiga z trzema synami: Józefem, Franciszkiem i Mateuszem przeprowadziła się z Sokołowa z powrotem do Łanięt.

O starszym synu Józefie nie udało mi się zebrać wiadomości, poza tym, że ożenił się z Jadwigą, ale nazwiska panny młodej nie byłem w stanie odczytać w metryce ślubu.

O średnim synu Franciszku, naszym przodku, piszę w następnym rozdziale.

Młodszy syn Mateusz, po śmierci ojca, po osiągnięciu dojrzałości, podjął pracę w charakterze owczarza w majątku Dąbrowa odległym od Łanięt 5 km. Pracował tam przez kilka lat, następnie przeprowadził

się do majątku Belno, odległego od Dąbrowy 3 km. Ożenił się z Marianną Jankowską i w 1842 roku urodził się im syn, nadali mu imię Ignacy.

W tym czasie właścicielem majątku Belno był Ignacy Leszczyński. Myślę, że zbieżność imienia nowo narodzonego syna Mateusza, mianowicie Ignacego, z imieniem właściciela majątku, nie była przypadkowa.

Ignacy Leszczyński był bardzo zaangażowany w rozwój swego majątku. „Gazeta warszawska” w tamtym czasie pisała o Belnie: *„Bo też jego wioska z 300 ludności złożona, wygląda jak niemieckie porządne miasteczko. Tu cukrownie, gorzelnie, olejarnie, tam zabudowania, a w nich chów bydła, owiec szlachetnych ras ....”*

B. Chmielowski w „Słowniku Geograficznym...” w tomie pierwszym, na stronie 126, pisząc o Belnie podaje, że owczarnia w tym majątku była wzorowa.

Mateusz był odpowiedzialny za hodowlę owiec, więc słowa uznania można mu przypisać. Mateusz zmarł przedwcześnie w 1852 roku, mając zaledwie 47 lat.

Po śmierci Józefa, jego żona Jadwiga wyszła za mąż za wyrobnika Walentego Goleniowskiego i zamieszkali we wsi Olszowa odległej od Łanięt 4 km.

O pauperyzacji szlachty tak pisał w XIX wieku Kornel Kozłowski: *„....Drobny szlachcic żyjący w nędzy i ciemności, dopóki ma, choć parę morgów własnej ziemi, zachowuje całą starszszlachecką ambicję, która głosiła, że szlachcic na zagrodzie równa się nawet wojewodzie. Skoro wypadki losowe lub nędza wygnały go z ostatniego kawałka ziemi, porzucił szlachectwo, szedł w służbę za parobka, a jego dzieci traciły pamięć dawnego pochodzenia. Ogromna masa szlachty tym sposobem przeszła w chłopów i z nimi się pomieszała.”*

Synowie Józefa nie zostali parobkami, ani fernalami, pełnili funkcję owczarzy.

W tamtym czasie rozróżniano 4 szczeble hierarchii oficjalistów. Na najwyższym stał administrator zarządzający kluczem składającym się z kilku, lub kilkunastu folwarków. Stopień niżej stał rządca odpowiedzialny za jeden folwark. Na trzecim szczeblu stali pisarze, leśnicy, owczarze.

Do najniższego szczebla oficjalistów zaliczano, wywodzących się z chłopów, karbowych, gumienych, fernali.

Owczarze w małych folwarkach byli po prostu pasterzami. Ksiądz Benedykt Chmielowski – wybitny uczoney XVIII wieku wskazywał, że *„owczarz nie ma być bardzo młody, bo czasem jest materyja zgorszenia, lepszy podeszły, stateczny, rzyski, jednak, który mieć powinien podpasicza dla pomocy i psy dobre.”*

W dużych majątkach, takich jak na przykład Łanięta, owczarz pełnił nadzór nad hodowlą owiec, a było ich tam 4400 sztuk. Według dzisiejszej nomenklatury, owczarz w takim majątku był dyrektorem do spraw hodowli owiec. Bezpośrednim wypasem owiec zajmowali się pasterze.

Owczarstwo nie było jedynie zawodem, było też stylem życia, Owczarz był człowiekiem wolnym, nie obowiązywała go pańszczyzna ani służba wojskowa. Owczarze fachowcy byli bardzo poszukiwani, nie obawiali się bezrobocia. Za swoją pracę otrzymywali dobre wynagrodzenie, bywało też, że stawali się właścicielami części stada, często w proporcji 1/6. Istniało powiedzenie: "Kto ma owce ten ma co chce."

Owczarze ze względu na swój wysoki status wśród ludności wiejskiej pełnili niejednokrotnie funkcję rzecznika wsi. Bywało, że łączyły ich relacje towarzyskie z okolicznymi ziemianami. Potwierdzeniem tego są na przykład wpisy w księgach metrykalnych, gdzie spotkać można metryki chrztu dzieci

owczarzy, których rodzicami chrzestnymi byli ziemianie.

Ojcem chrzestnym piątego syna Szymona (naszego przodka), Wincentego Juliusza, urodzonego 1 kwietnia 1856 roku, był ziemianin pan Wojciech Łęski, właściciel folwarku Chróścinek, odległego 8 km od Łaniet.

Jadwiga 1v Rutkowska, 2v Bukowska, 3v Goleniowska owdowiała po raz trzeci. Zamieszkała z wnukiem z drugiego małżeństwa Szymonem we wsi Pomorzany koło Łaniet. Zmarła 25 lutego 1834 roku.

Proboszcz w metryce zgonu nie podał miejsca urodzenia, ani nazwiska panińskiego, podał natomiast wiek zmarłej 80 lat. Teraz, na podstawie zebranych dokumentów wiem, że Jadwiga umarła mając 68 lat. W tamtych czasach podawanie wieku obarczonego błędem nie było rzadkością.

W chwili śmierci Józefa jego średni syn, a nasz w przyszłości prapradziadek, Franciszek, miał 10 lat. W tak młodym wieku chłopiec nie interesował się zapewne historią rodziny, jeśli nawet ojciec opowiadał o niej synom. Śmierć Józefa i osierocenie młodych synów przerwało nić tradycji rodzinnej przekazywanej wcześniej z pokolenia na pokolenie. To jest główny powód tego, że my nie wiedzieliśmy nic o naszych rodowych korzeniach.

Moja dociekliwość historii rodzinnej przywróciła – po 200 latach od śmierci Józefa – świadomość, skąd pochodzimy.

## Franciszek (10.03.1803 -?)

Franciszek, syn Józefa, urodził się w Łaniętach 10 marca 1803 roku. Był jeszcze dzieckiem, miał 9 lat, gdy armia Napoleona maszerowała na Moskwę w 1812 roku przez Księstwo Warszawskie, w granicach którego leżały Łanięta. Napoleon 20 czerwca był pod Gąbinem, niedaleko Łanięt, a dwa dni później na Litwie, skąd w nocy z 23 na 24 czerwca, po przeprawie wojska przez Niemen, rozpoczął wojnę z Rosją. Adam Mickiewicz, 5 lat starszy od Franciszka, napisze po latach: „*O roku ów, kto ciebie widział...*”

Franciszek, gdy miał 19 lat, wziął ślub w dniu 27 października 1822 roku w Łaniętach z szesnastoletnią Józefą Śliwicką, córką Tomasza i Ewy, wyrobników zamieszkałych w Łaniętach. Pan młody w tym czasie mieszkał we wsi Nowe Budy, należącej do Łanięt. Świadcami na tym ślubie byli matka Franciszka Jadwiga i ojczym Walenty Goleniowski. Rok później, prawdopodobnie przy porodzie, zmarła jego żona, jak również dziecko. Franciszek ponownie wziął ślub w Łaniętach w roku 1824 z szesnastoletnią Józefą, córką Franciszka i Marianny Sobierajów zamieszkałych w Łaniętach. Zawodu Franciszka Sobieraja w akcie ślubu nie podano. Po ślubie młodzi zamieszkali na folwarku Lipie należącym do klucza Łanięta, w domu pod numerem pierwszym. Tam, w roku 1825, urodził się im syn, nadano mu imię Szymon. W metryce urodzenia Szymona podano zawód jego ojca – owczarz.

Dnia 25 lutego 1834 roku zmarła Jadwiga, matka Franciszka, a nasza pra-pra-prababka. Franciszek miał wówczas 31 lat.

Franciszek spłodził jedenaścioro dzieci: siedmiu synów i cztery córki. Nadmienię przy okazji, że Franciszka wnuk, a nasz dziadek Adam, też miał jedenaścioro dzieci, w tym również siedmiu synów i cztery córki.

Franciszek w 1851 roku cieszył się podwójnie, gdyż w dniu 10 lipca urodził mu się najmłodszy syn Jan, a kilka miesięcy później, 23 grudnia, wnuk Adam, nasz dziadek. Adam miał więc stryjka starszego od siebie o pięć miesięcy.

W następnym roku Franciszek przeżył dwie tragedie: 16 kwietnia zmarła pięcioletnia córka Elżbieta, cztery miesiące później, 2 września, syn Tomasz, w wieku szesnastu lat.

Kiedy i gdzie umarł Franciszek, nie wiem. W księgach metrykalnych parafii Łanięta, ani w aktach tej parafii znajdujących się w Archiwum Państwowym w Łodzi nie ma aktu zgonu Franciszka.

## Szymon (10.10.1825 -?)

Szymon, syn Franciszka, urodził się 10 października 1825 roku w Lipiu, który wchodził w skład klucza Łanięta znajdującego się w granicach Królestwa Polskiego powstałego na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku. Za życia Szymona wybuchły dwa powstania: listopadowe i styczniowe. W pierwszym na pewno nie brał udziału, gdyż w 1831 roku miał zaledwie sześć lat. W drugim, w 1863 roku, mógł brać udział mając 38 lat, ale nie udało mi się znaleźć żadnego dokumentu stwierdzającego takie wydarzenie.

Szymon mieszkał razem z rodzicami, którzy z Lipia przeprowadzili się do Suchodębia, też należącego do klucza Łanięta. W wieku dwudziestu lat i jedenastu miesięcy (jak podaje metryka) w dniu 7 września 1845 roku Szymon wziął ślub w Kutnie z siedemnastoletnią Teklą, córką Wawrzyńca i Marianny Rembowskiów. Ojciec Tekli był owczarzem w Sierakowie, folwarku odległym od Łanięt ok. 15 km.

Szymon po ślubie nie wrócił do Łanięt, lecz przeprowadził się do folwarku Raciborów oddalonego 5 kilometrów od Kutna, a od Łanięt 10 km. Podjął tam pracę owczarza. Dnia 12 sierpnia 1847 roku urodził się Szymonom pierwszy syn Franciszek. Szymon upamiętnił tym wyborem imię swego ojca Franciszka. Dwa lata później, w 1849 roku urodził się Szymonom drugi syn Mateusz. Urodził się we wsi Remki, do której przeprowadzili się Szymonowie po krótkim pobycie w Raciborowie. Wieś i folwark Remki należą do parafii Pacyna, w gminie Pacyna.

Szymonowie też niedługo tam mieszkali, bo po trzech latach pracy w Remkach, Szymon powrócił do Łanięt i tam wraz z ojcem zajmował się hodowlą owiec. Hodowla dobrze się rozwijała, pod koniec XIX wieku liczyła 4400 sztuk owiec rasy negretti.

W Łaniętach Szymonowie doczekali się trzeciego syna, który urodził się 23 grudnia 1851 roku. Nadano mu imię Adam, to nasz w przyszłości dziadek. Szymonom urodziło się w Łaniętach siedmioro dzieci, najmłodsza Marianna w 1865 roku. Czwarty ich syn, Kazimierz, urodzony w 1854 roku, zmarł w wieku niemowlęcym, przeżywszy zaledwie jeden rok.

Mateusz, drugi syn Szymonów, gdy osiągnął pełnoletność, poszedł śladami dziadka Józefa, i tak jak dziadek przed laty, przeniósł się z Łanięt do Sokołowa. Jest jednak zasadnicza różnica. Józef przeprowadził się do Sokołowa aby zająć się hodowlą owiec, a Mateusz aby... grać na organach (sic!). Mateusz został organistą w kościele rzymsko-katolickim pod wezwaniem św. Anny w Sokołowie. W Sokołowie poznał pannę Agatę Miller, starszą od niego o pięć lat, urodzoną w 1844 roku. Mając dziewiętnaście lat wziął z nią ślub 3 maja 1868 roku o godzinie szóstej popołudniu w kościele parafialnym w Sokołowie. Dwa lata po ślubie urodził im się pierwszy syn Adam. Dwa lata później przyszedł na świat drugi syn – Wacław Michał. Rok po urodzeniu się drugiego syna, z nieznanymi mi przyczynami, Mateusz zmarł przedwcześnie w roku 1873, w wieku zaledwie 24 lat.

Umiejętność czytania i pisanie w tamtych czasach nie była powszechna, była rzadkością, szczególnie na wsi. O edukacji dzieci Szymona, zwłaszcza muzycznej Mateusza, nic nie wiem. Nie zachowały się do naszych czasów żadne dokumenty lub listy pisane między rodzeństwem. Jedyny ślad pisemny jaki znalazłem, to podpisy Mateusza i Adama pod metrykami urodzenia ich dzieci w księgach parafialnych. Charakter pisma wprawny, czytelny, ale co zwraca uwagę, to podobieństwo. To podobieństwo charakteru pisma świadczy o silnych więzach braterskich. Przedwczesną śmierć swego starszego brata Mateusza musiał bardzo przeżyć Adam. Szymon w chwili śmierci syna Mateusza miał 48 lat.

Dalsze losy Szymona nie są mi znane. Nie znalazłem jego aktu zgonu w dokumentach parafii Łanięta, nie ma też tam aktu zgonu jego ojca Franciszka. Wnioskuje z tego, że obaj, w różnym czasie, wyprowadzili się z Łanięt. Franciszek opuścił Łanięta po 1851 roku, Szymon po 1865. Daty te

przyjąłem na podstawie dat ostatnich ich dzieci urodzonych w Łaniętach. Nie znam miejsca, jakie wybrali opuszczając Łanięta. Do Łanięt już nie wrócili, umarli tam, gdzie się wyprowadzili.

W internecie przejrzałem spisy inwentaryzacji ksiąg metrykalnych sześciu parafii w pobliżu Łanięt: w Białotarsku, Sokołowie, Solcu, Sannikach, Szczawinie Kościelnym i Pacynie. W pięciu parafiach metryki zgonów obejmują cały XIX wiek. Wyjątek stanowi parafia Białotarsk. W tej parafii metryki zgonów obejmują tylko okres od 1808 do 1868 roku.

Stawiam hipotezę: Franciszek i Szymon przeprowadzili się z Łanięt do majątku należącego do parafii Białotarsk, odległej 8 kilometrów od Łanięt. Tam zmarli po 1868 roku, więc nie zachowały się do naszych czasów ich metryki zgonów.

Majątki ziemskie należące do parafii Białotarsk to: Czarne, Dzieńkowo, Piotrów (obecna nazwa Józefków), Zawada i Zakrzewa. W którym z tych majątków znajdowała się hodowla owiec w drugiej połowie XIX wieku, trudno mi teraz ustalić.

Majątkiem Piotrów, w tamtych czasach, zarządzał syn Szymona Adam, nasz dziadek. W roku 1885 w kościele parafialnym w Białotarsku Adam wziął ślub z Ignacją Młynarską. Niewykluczone, że w majątku, w którym był rządcą Adam, czyli w Piotrowie, hodowlą owiec zajmował się jego ojciec Szymon, a wcześniej jego dziadek Franciszek.

Zatelefonowałem do proboszcza parafii Białotarsk pytając, czy zachowały się do naszych czasów jakieś groby na cmentarzu przykościelnym z drugiej połowy XIX wieku. Powiedział, że tak, dwóch właścicieli ziemskich. Grobów naszych przodków Franciszka i Szymona nie ma, zachowały się tam najwyżej ich prochy.

Kiedy byłem w Łaniętach, przy przeglądaniu ksiąg metrykalnych tej parafii, proboszcz często napotykał nazwiska przodków ludzi żyjących tam obecnie. Wśród nich nie ma Bukowskich. Trzech potomków Józefa, który przybył do Łanięt około 1790 roku: syn Franciszek, wnuk Szymon, prawnuk Adam urodziło się w Łaniętach, lub w folwarku Lipie do nich należącym, ale żaden z nich tam nie umarł. Bukowscy naszej linii związali się z tą ziemią od końca XVIII w. do drugiej połowy XIX w. na okres około 90 lat. W pierwszej połowie XIX w. proboszczem parafii Łanięta był przez ok. 30 lat ksiądz Wawrzyniec Bukowski, ale nie nasz krewny.

Adam, nasz przyszły dziadek, syn Szymona, urodził się w Łaniętach. Fakt urodzenia potwierdza metryka, która jest w księgach archiwalnych znajdujących się w biurze parafialnym w Łaniętach. Kopię tej metryki dołączyłem do opracowania.

Aktu urodzenia Adama nie ma natomiast w księgach archiwalnych parafii Łanięta, złożonych w Archiwum Państwowym w Łodzi (sic!).

Kodeksem Napoleona z 1808 roku księża zostali zobligowani do prowadzenia dwóch ksiąg jednocześnie: księgi metrykalnej dla potrzeb kościelnych i księgi akt stanu cywilnego dla potrzeb państwowych. Wyobrażałem sobie, że ksiądz ma przed sobą dwie księgi i te same zdarzenia: urodziny, ślub, zgon wpisywał do każdej z nich. W wypadku ksiąg z 1851 roku w parafii Łanięta tak nie było. Księga metrykalna urodzeń zawiera 50 wpisów, a księga urodzeń akt stanu cywilnego aż 94. Taka różnica! W księdze aktu urodzeń nasz dziadek Adam nie istnieje !!! Przezornie korzystałem z obu tych ksiąg i znalazłem potwierdzenie w księdze metrykalnej, że nasz dziadek Adam jednak się urodził.



## Adam (23.12.1851 – 18.11.1922)



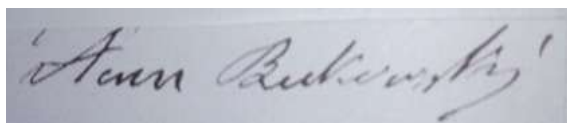
Rys. 4. Adam Bukowski.

Adam urodził się 23.12.1851 roku w Łaniętach, gdzie jego ojciec Szymon zajmował się hodowlą owiec. Swoją praktykę i wiedzę o rolnictwie zdobywał u boku ojca. O jego pierwszych samodzielnych posadach rządcy nie zachowały się żadne wiadomości. W roku 1885 ożenił się z Ignacją Młynarską. W tym czasie był rządcą w majątku Piotrowo, parafia Białotarsk, gmina Rataje, pow. gostyniński. Tam urodziło się jego trzech synów, pierwszy zmarł krótko po urodzeniu.

W latach 1892 – 1897 Adam pracował w dobrach ziemskich Kleniewskiego, najpierw na stanowisku rządcy w folwarku Techmany w powiecie gostynińskim, gmina Skrzany. Tam urodziło się następnym dwoje dzieci: Amelia i Mieczysław. Później awansował na stanowisko administratora klucza folwarków Kleniewskiego z siedzibą w Sierakówku. Tam w 1896 roku urodził się syn Henryk. Krótko po tym przeniósł się do Głuchowa w powiecie grójeckim, gmina Kobylin, parafia Worów, gdzie był rządcą przez dwadzieścia lat.

Głuchowskie dwadzieścia lat pracy ojca Adama tak ujął w formie wiersza jego syn Witold:

*Jedzie mój ojciec w pole  
I pogwizduje z cicha  
Dokoła marne role,  
Gleba piaszczysta, licha.  
Jeździ na folwark tą drogą  
Już przeszło dwadzieścia lat,  
Ukochał tę ziemię ubogą  
W niej zamknął mu się świat.....*



Rys. 5. Podpis Adama Bukowskiego.

Adam w roku 1916, gdy miał 65 lat, nie przeszedł na emeryturę, lecz zmienił miejsce pracy. Przeniósł się do majątku Jaktory w powiecie radzymskim, gdzie pracował przez 6 lat, oczywiście jako rządcą. Dożył chwili powstania wolnej Polski w listopadzie 1918 roku,

był świadkiem ciężkich walk pod Radzyminem z bolszewikami w sierpniu 1920 roku. Pracował do ostatnich dni swego życia. Zmarł w szpitalu radzymskim 18 listopada 1922 roku, w wieku 71 lat i został pochowany na miejscowym cmentarzu.

W roku 2007 odnalazłem ten grób i wnukowie Adama: Henryk, Rafał, Marek i Janusz opłacili go do roku 2027. Grób znajduje się na Cmentarzu Starym w Radzyminie w sektorze B, rząd 1, grób nr 9.



Rys. 6. Ignacja Bukowska.

Żoną Adama była Ignacja Młynarska. Urodziła się w 1867 roku we wsi Konin, oddalonej od Częstochowy 11 km, przy obecnej drodze nr 91. Miała dwie starsze siostry – Stanisławę i Karolinę. Ojcem dziewczynek był Ignacy Młynarski i Katarzyna Jastrzębiec-Kozłowska urodzona w 1819 r., zmarła w 1900 roku. Ojciec Katarzyny, Jastrzębiec-Kozłowski, był właścicielem fabryki karet i powozów w Częstochowie. Katarzyna wyszła za mąż za Ignacego Młynarskiego, który z powodu udziału w powstaniu styczniowym ukrywał się przed władzą carską, jako organista kościelny. Zmieniał miejsca swego pobytu. Z Konina przeniósł się wraz z rodziną do wsi Białotarsk, powiat Gostynin. W kościele parafialnym był organistą. W odległości 2 km od Białotarska znajdował się majątek ziemski Piotrow, którego rządcą był Adam Bukowski, nasz przyszyły dziadek. Chodził zapewne do kościoła i tam poznał córkę organisty Ignację Młynarską. Znajomość przerodziła się w miłość przypieczętowaną ślubem. Ślub

odbył się w 1885 roku, panna młoda miała 18 lat, pan młody był starszy o 16 lat, miał 34 lata. Po ślubie panna młoda przeniosła się z Białotarska do domu męża w Piotrowie. Wraz z mężem i dziećmi zmieniała miejsce zamieszkania. Były to majątki: Techmany, Sierakówek, Głuchów, Jaktory. W Głuchowie dziadek był rządcą przez 20 lat. Pod koniec pobytu w Głuchowie Ignacja zachorowała. Wezwany z Grójca doktor Mazurkiewicz, cieszący się opinią dobrego lekarza, rozpoznał u Ignacji chorobę nowotworową. Informacja ta pochodzi od syna Ignacji, Witolda. Po przeprowadzeniu się dziadków z Głuchowa do majątku Jaktory stan zdrowia Ignacji pogorszył się. W połowie maja 1921 roku postanowiono przewieźć ją do szpitala do Warszawy. Tam lekarze wydali diagnozę: nowotwór złośliwy z przerzutami. Ze szpitala Ignacja nie wróciła do domu. Zmarła 26 czerwca 1921 roku w wieku 54 lat. Pochowana została w Warszawie na Powązkach.

Tak opisał to zdarzenie jej syn Witold:

*Kareta ruszyła sprzed domu  
Konie się prężą i boczą  
Widzę przez szybę twarz matki  
W jej oczach lży się migoczą.  
Bo wszystko co ukochała  
Tak prędko musi porzucić  
By może nigdy już więcej  
Do dzieci swoich nie wrócić.  
Skinieniem ręki mnie żegna  
Poprzez kwitnący bez  
I nagle znika jej obraz  
W mych oczach pełnych łez.*

Dziadkowie spoczywają, każdy z nich oddzielnie, na dwóch cmentarzach. Dziadek na cmentarzu w Radzyminie, babcia na Powązkach w Warszawie.

W sierpniu 2009 r. wykonałem szkic obudowy grobu dziadka na starym cmentarzu w Radzyminie.

Zaproponowałem obłożenie grobu dużymi, płaskimi kamieniami łupanymi. W ten sposób nawiązałem do istniejącego dużego głazu kamiennego ustawionego na grobie po pogrzebie dziadka w 1922 r. Na kamieniu tym wyryte są dane o dziadku. Wyryto wówczas błędnie jego rok urodzenia, zamiast 1850, powinno być 1851. Na nowych, małych płytach kamiennych wyryte zostały imiona i daty urodzenia i śmierci babci oraz Stefana.

Dwie grudki ziemi wzięte z Powązek i złożone na grobie dziadka symbolizują ich prochy. Grób na starym cmentarzu w Radzyminie kryje więc prochy dziadka oraz symboliczne jego żony i syna.

Wszystkie płyty kamienne na grób przywiozłem z Murkamu, z Kaszub, a kamieniarz z Radzymina wykonał renowację grobu, według mego szkicu, w maju 2010 r.

Dwukrotne próby odnalezienia grobu Ignacji i jej syna Stefana (oboje pochowani w jednym grobie) na Powązkach, czynione na wiosnę 2009 r. przez Monikę i przeze mnie, później przez moją żonę Jolantę, skończyły się niepowodzeniem. Z pomocą przysłała Iwona, córka Witolda i według jej wskazania udało mi się odnaleźć ten grób. Był bardzo zaniedbany. Wspólnymi siłami finansowymi wnuków babci: Marysi, Iwony, Moniki, Haliny, Marka, Janusza i moim w 2014 r. grób został odnowiony i przebudowany z ziemnego na murowany. W 2014 roku minęła 70 rocznica Postania Warszawskiego. W Powstaniu tym zginął, walcząc, nasz brat stryjeczny Jacek, syn Stefana. Jacek zginął w niedzielę 20 sierpnia 1944 roku, w wieku zaledwie 16 lat. Ciała jego niestety nie znaleziono, więc nie ma grobu. Z okazji renowacji grobu Babci, w którym jest pochowany Stefan, ojciec Jacka, ufundowaliśmy obelisk z marmuru z napisem: „*Powstaniec Warszawski, Jacek Bukowski, strzelec, pseudonim Szczur, 6 Obwód A.K., 5 Rejon, Pluton 1680. \* 19.06.1928, + 20.08.1944.*” Grób babci Ignacji z Młynarskich Bukowskiej, jej syna Stefana oraz symboliczny grób Jacka znajduje się w kwaterze 328, rząd IV, grób nr 20 na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.



Rys. 7. Grób Ignacji z Młynarskich Bukowskiej, jej syna Stefana Bukowskiego oraz symboliczny grób Jacka Bukowskiego, 2014 r.

Apel do prawnuków Adama i jego następnych potomków: **pamiętajcie o Waszych zacnych Przodkach, dbajcie i pielęgnujcie Ich groby!**

Przodkowie nasi, których opisałem w tej części opracowania byli świadkami wydarzeń, jakie miały miejsce w Polsce od utraty niepodległości, w wyniku rozbiorów, w drugiej połowie XVIII wieku, do odzyskania niepodległości w pierwszej połowie XX wieku. Jest to okres około 130 lat, czas życia czterech pokoleń: Józefa, Franciszka, Szymona i Adama. Pierwszy z nich, nasz pra-pra-pradziad Józef urodził się w wolnej, przedrozbiorowej Polsce, a zmarł w niewoli. Ostatni, to nasz dziadek Adam, urodził się w niewoli, a zmarł w wolnej, odrodzonej po rozbiorach Polsce.

## 4. Rodzeństwo Bukowskich z Głuchowa

Rodzeństwo z Głuchowa to jedenaścioro dzieci Adama i Ignacji, które w Głuchowie wychowały się, a sześcioro z nich tam się urodziło. Wszystkie ich dzieci uważały dom w Głuchowie za gniazdo rodzinne, stąd tytuł tego rozdziału: „Rodzeństwo Bukowskich z Głuchowa”.

Rozdział ten, niestety, nie jest kroniką Rodzeństwa. Za późno zdecydowałem się na pisanie o nich. Kiedy żyli, a ja żyłem wśród nich, nie czułem takiej potrzeby. Obecnie nikogo z nich nie ma wśród nas. Ostatnia odeszła Fela w wieku 89 lat w 1987 roku, ponad 20 lat temu. Nikt z nich nie napisał wspomnień. Witold, w formie rymowanej, przekazał swe myśli o domu rodzinnym, o Matce, o Ojcu, więcej w tym refleksji niż faktów.

Nie ma kogo więc pytać, kto ułatwiłby zbieranie wspomnień o nich. Pozostały po nich fotografie, kilka listów, a więc, niestety, niewiele. Nie o wszystkich z Rodzeństwa udało mi się zebrać informacje.

Przepraszam więc stryjenki, za późno przystąpiłem do pisania o Rodzinie.

Dziękuję tym, którzy włączyli się do przygotowania tego rozdziału przysyłając wspomnienia o swoich bliskich: Marysi (córce Amelii), wnukowi Tadeusza, córkom Witolda. Ich wspomnienia o bliskich zostały wykorzystane przy opracowaniu tego rozdziału.

Rozdział ten zatem, to drobne okruszki wspomnień, które pragnę ocalić od zapomnienia.

Witold tak wspomina dom rodzinny w Głuchowie:

*„Ze wspomnień mego dzieciństwa  
Wylania się jak we mgle  
Rodzinny dom mój drogi  
Na szarych akacji tle  
Dom ten z czerwonej cegły  
Przykryty szerniałym gontem  
Przed nim rząd czworaków  
I wiejskich chat początek...  
Dokoła mały ogródek  
A w nim kwitnące bzy  
Wspomnienia to drogie jak perły  
Lecz tak piękne jak lzy...”*

Bolesław Chlebowski w „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów” wyd. 1880-1902 r. tak opisuje Głuchów: „Głuchów – wieś i folwark nad rzeką Jeziorną, powiat grójecki, gmina Kobylin, parafia Worów. Posiadał browar, z produkcją roczną na 31850 rs i młyn parowy z produkcją na 46800 rs. W 1827 roku było tu domów 17 i 108 mieszkańców. Folwark od Warszawy 38 wiorst, od Grójca wiorst 4, od Tarczyna wiorst 8. Nabyto go w roku 1874 za rs 33000. Rozłożenie wynosi 1078 mórg, a mianowicie: grunty orne i ogrody m 751, łąk m 118, lasu m 166, nieużytki i place m 52. Budynków murowanych 5, drewnianych 12, płodozmian 11-polowy”.

Administratorem Głuchowa przez około 20 lat, w latach 1897-1916, był Adam Senior. Tam urodziło się sześcioro jego dzieci. Najstarszym przedstawicielem Rodzeństwa Bukowskich z Głuchowa, ale nie pierworodnym, jest Adam Junior. Pierwsze dziecko Adama i Ignacji to chłopczyk, który zmarł krótko po urodzeniu, nie jestem pewny, jakie miał imię, podobno też Adam.



## Adam (4.04.1888 – 1971)



Rys. 8. Adam Bukowski.

Adam urodził się w majątku Piotrowo, parafia Białotarsk, gmina Rataje, w 1888 roku. Rok później, w tym samym miejscu, przyszedł na świat jego młodszy brat Stefan. Kiedy byli małymi dziećmi, ich ojciec Adam wraz z żoną Ignacją przeniósł się z Piotrowa do Sierakówka leżącego w powiecie gostyńskim.

Podstawową edukację Adam rozpoczął w Głuchowie, do którego jego rodzice przeprowadzili się w 1897 roku. W Głuchowie podstawową naukę pobierały wszystkie, to znaczy jedenaścioro, dzieci Adama i Ignacji.

Gimnazjum, do poziomu czterech klas, kończyło rodzeństwo w Grójcu. O dalszej edukacji Adama brak wiadomości, mogły to być kursy rolnicze, podobne do tych, które kończył jego młodszy brat Mieczysław, w Ołtarzewie koło Warszawy.

Adam przeszedł kolejne szczeble, typu pomocnik gospodarczy, w karierze do samodzielnej posady rządcy. Jakimi majątkami zarządzał, brak wiadomości. W czasie pisania tego opracowania jego córka Danuta zmarła 13 grudnia 2008 roku. Żona jego, Nadzieja nie żyje od listopada 1989 roku. Jego wnuk potwierdził tylko, że dziadek pracował jako rządcą, ale gdzie i w jakich latach, nie był w stanie określić.

Adam jeszcze przed 1939 rokiem przeniósł się z rodziną do Gdyni-Orłowa. Podobnie jak młodszy bracia, otworzył własną firmę. Po 1 września 1939 roku, przymusowo wysiedlony z Gdyni, przeprowadził się z rodziną do Okopów k. Dorohuska, w woj. lubelskim. Czym się tam zajmował, brak wiadomości. Po zakończeniu wojny powrócił do Gdyni i zamieszkał z rodziną w domu przy ulicy Wrocławskiej 48, w Orłowie. Rodzina jego brata Mieczysława mieszkała na pierwszym piętrze tego domu, a Adam na drugim. Obie rodziny mieszkały pod jednym dachem, widywały się prawie codziennie. Mimo tak bliskich kontaktów, nie wiem nic o historii stryja Adama. Adam, jak jego młodszy bracia Mietek i Tadeusz, nie był skłonny do opowiadań o przeszłości. Ciężka, komunistyczna rzeczywistość przytłaczała. Pamiętam dyskusje trzech braci o szansach zrzucenia tego jarzma. Co do konieczności wyzwolenia się z okupacji sowieckiej nie było różnicy zdań, różnice pojawiały się, gdy dyskutowano sposoby. Dyskusje często przeradzały się w kłótnie. Najbardziej zadziorny i wybuchowy był Adam.

Adam lubił dużo czytać, pożyczał książki, między innymi, od Mieczysława. Przeglądając ostatnio „Historię Starożytnego Rzymu” wydaną w 1953 roku, autora radzieckiego N. A. Maszkina, w tłumaczeniu W. Głuchowskiego, która znajdowała się w bibliotece Mieczysława, natknąłem się na notatki i uwagi dokonane ręką Adama. W tamtych czasach nawet historia Starożytnego Rzymu musiała być autorstwa historyka radzieckiego, który we wstępie do tej książki powoływał się na dzieła Lenina i Stalina.

„*O tempora, o mores!*” – czasy sowieckiej okupacji, obyczaje bolszewickie.

Wszyscy z Rodzeństwa Bukowskich byli przeciw takim czasom i takim obyczajom. Nikt z nich nie zapisał się do partii, „przewodniej siły narodu”. Wszyscy, bardziej lub mniej, nienawidzili narzuconego nam systemu. Czekali na Wolną Polskę, nikt z nich nie dożył tej chwili, daty 4 czerwca 1989 roku.



Rys. 9. Bracia Bukowscy: od lewej Stefan, Tadeusz, Henryk i Adam. Gdynia, ul. Świętojańska. 1936 r.

Adam na początku roku 1971 poczuł się źle, rodzina wezwała karetkę pogotowia. Przed jej przyjazdem, Adam słaby, ale o własnych siłach zszedł piętro niżej do bratowej Anny. Powiedział: „Anetko, przepraszam za wszystkie przykrości jakie doznałaś z mojej strony, wybacz”. Anna wybaczyła, rozstali się w zgodzie i pojednaniu. Adam ze szpitala do domu nie wrócił, zmarł po kilku tygodniach, w lutym 1971 roku. Pochowany został na Cmentarzu Witomińskim, ale nie w grobowcu rodzinnym.

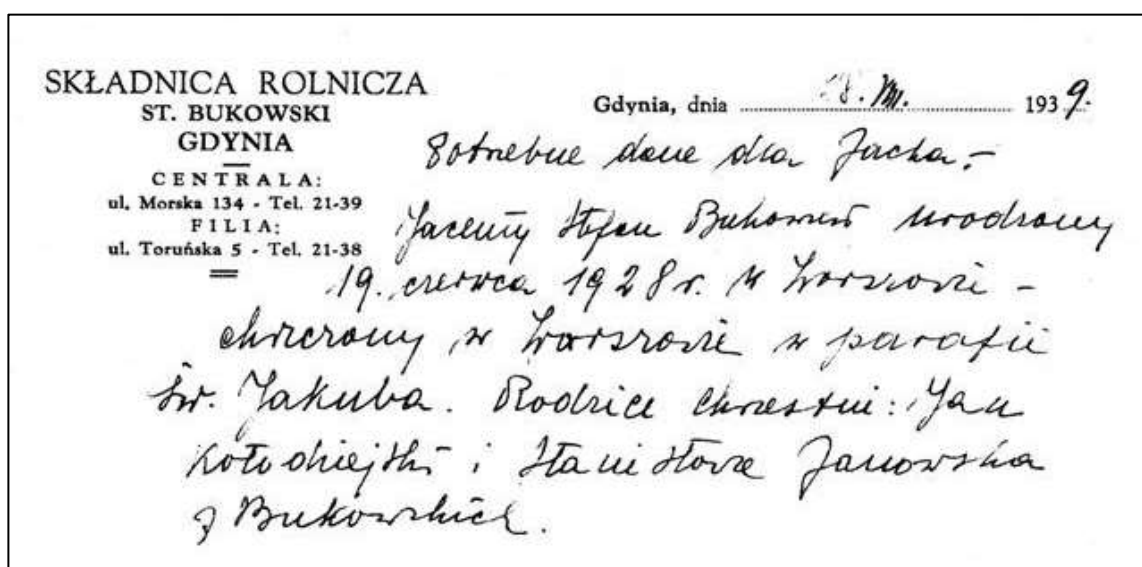
## Stefan (1889 – 9.11.1943)



Rys. 10. Stefan Bukowski.

Przywódcą Rodzeństwa z Głuchowa był Stefan. On zorganizował zjazd Rodzeństwa w Warszawie w 1935 roku, został tam wybrany na stanowisko prezesa „Kasy Samopomocy Rodzeństwa”, którą zreorganizował i przekształcił we „Wspólnotę Rodziny Bukowskich” w 1937 roku. Jako jedyny z „dynastii” rządców Bukowskich wybił się na dziedzica. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku był panem na włościach w Baninie koło Gdańska. Nazwa tego majątku, w tamtym czasie, występowała w dwóch wersjach: Banin i Banino.

Wakacje spędzane w Baninie opisała barwnie Marysia, córka Amelki, siostry Stefana. Marysia w swoich wspomnieniach używa wersji Banin. Obecna nazwa występuje tylko w jednej wersji, tej drugiej, czyli Banino. Wspomnienia Marysi z wakacji w Baninie, za jej zgodą, zostały włączone do niniejszego opracowania i znajdują się w części drugiej. W Baninie powiększyła się rodzina Stefana o Jacka, który urodził się 19 czerwca 1928 roku.



Rys. 11. Stefan przekazuje dane dotyczące swojego syna Jacka Annie Bukowskiej. 31.08.1939 r.

Okoliczności z tym związane opisała Marysia w swoich wspomnieniach. Zainteresowanych tą sprawą odsyłam do jej wspomnień, do rozdziału zatytułowanego „Jacek”.

Gdynia na początku lat trzydziestych XX wieku dynamicznie się rozwijała. Stefan włączył się czynnie w ten rozwój, otwierając wraz z bratem Tadeuszem w 1931 roku przedsiębiorstwo handlowo – transportowe.





Rys. 12. Firma braci Stefana i Tadeusza w Gdyni przy ul. Toruńskiej. Pierwszy z prawej Tadeusz, czwarta z prawej Anna Polakówna. 1931 r.

Po sprzedaży Banina w 1932 roku Stefan przeniósł się na stałe do Gdyni i zamieszkał w kupionym przez niego domu parterowym przy ul. Morskiej 134. Jego pomysłem jest ogromna, nawet mierząc skalą współczesnych supermarketów, hala targowa. Złożył wniosek w Urzędzie Miasta Gdyni na budowę tej hali. Władze miasta odmówiły mu, same z pomysłu i planów jego skorzystały i hala została wybudowana, stoi do dzisiaj, imponując rozmiarami.

Gdynia, dzięki dynamicznemu rozwojowi, pomimo światowego kryzysu, stała się magnesem przyciągającym ludzi nagminnie w czasie kryzysu, poszukujących pracy. Z Leszna na poszukiwanie pracy przyjechała do Gdyni w 1931 roku Anna Polakówna (Anetka). Znalazła szybko pracę w firmie Stefana i została przyjęta na stanowisko księgowej, jako absolwentka szkoły handlowej. Tam poznała brata Stefana, Mieczysława. Znajomość przerodziła się w miłość, której rezultatem był ślub w 1936 roku. Rok później urodził się im syn Rafał (czyli ja, autor tego opracowania), którego rodzicami chrzestnymi byli Stefan i jego żona Maryśka. W dniu chrztu taką dedykację wpisał Stefan do prowadzonego przez moją Mamę dzienniczka:

*„8 grudnia 1938 roku o godzinie drugiej przyjechaliśmy po Rafałka na ulicę Nowogrodzką pod 21. Wezwaliśmy taksówkę nr 20 i zabraliśmy Rafałka, mamusię twoją i tatusia i zawieźliśmy Cię do kościoła Najświętszej Marii Panny przy ul. Świętojańskiej do chrztu. Złożyło się ładnie, bo ulice miasta były przystrojone we flagi z racji przybycia batalionu morskiego z Zaolzia, które Czechom dla Polski zabrano. Tem samym jechałeś przez ustrojone jakby dla Ciebie miasto...*

*Życzę Ci ty mały, miły, kochany raku, abyś wyrósł na pociechę rodzicom, a na pożytek Ojczyźnie.*

*Gdynia 8 grudnia 1938 roku. Twój ojciec chrzestny i wujek Stefan i Maryśka, matka chrzestna”.*



Rys. 13. Bracia Stefan i Mieczysław na bulwarze nadmorskim w Gdyni. 1936 r.

Po zajęciu Gdyni przez Niemców w 1939 roku, tak jak wszyscy Polacy, został Stefan z rodziną przymusowo z niej wysiedlony. Przeniósł się do Warszawy, zamieszkał w prestiżowej dzielnicy koło Belwederu, przy ulicy Bagatela w domu nr 10, w mieszkaniu nr 10 na pierwszym piętrze. W jednym z listów do brata Mieczysława, który był rządcą w Kterach, tak opisał nalot lotniczy na okupowaną przez Niemców Warszawę:

„21.VIII.42

piątek, 8 rano.

*Kochani !*

*Jeszcze żyjemy – przeżyliśmy straszne 2 godziny tej nocy, leżeliśmy w kartoflach o 100 metrów od domu, przytuleni do ziemi i siebie, aby jeśli się zginie, to razem. W odległości 100 metrów od nas padło 6 bomb. Zasypało nas piaskiem i grudkami ziemi. W domu zastaliśmy drzwi od impetu powietrza otwarte, zamek wyrwany i dosłownie żadnej szyby, w tej chwili jest godzina 8 rano, przyszedliśmy od oglądania tych miejsc, zabitych i rannych....*

*Cała Warszawa była tak oświetlona przez rakiety jak w dzień, pożary naokoło. Kto to był jeszcze nie wiemy... Dworzec Wschodni jakoby mocno zharatany, tak na razie nic się więcej nie wie. Piszę parę godzin po tym. Powiadam Wam, że to straszny wygląd to światło, te rakiety no i te grzmoty. Zaczęło się o 11-tej i trwało do 1.30 w nocy.*

*Całuję Was Stefan*

*W tej chwili przez wybite szyby dolatuje lament rodzin zabitych i rannych”.*

Stefan umarł po operacji żołądka 9 listopada 1943 roku i został pochowany w grobie Matki na Powązkach.

Wiadomość o śmierci Stefana dotarła do Kter drogą telefoniczną. Telefon był w pałacu, a do niego podłączony aparat w domu rządcy. Kto zadzwonił i przekazał tą smutną wiadomość, nie wiadomo, był późny wieczór, a telefon odebrał Mieczysław. W wieku 6 lat po raz pierwszy w życiu widziałem wówczas płaczącego ojca, który tak bardzo przeżył wiadomość o śmierci swego ukochanego brata Stefana. Mieczysław chciał pojechać na pogrzeb brata z żoną i synem. Niestety, Ktery koło Kutna, będące wówczas na terytorium III Rzeszy Niemieckiej, oddzielała od Warszawy w Generalnej Guberni granica. Na przekroczenie tej granicy potrzebna była przepustka, o którą dla całej rodziny wystąpił do policji Mieczysław. Zgodę i przepustkę otrzymał tylko Mieczysław. W tej sytuacji na pogrzeb nie pojechała bratowa Stefana Anetka, ani ja – jego chrześniak Rafał – tylko brat Mieczysław. Tam po raz ostatni widział syna Stefana, Jacka.

Jacek bardzo lubił swoją ciotkę Anetkę, zwaną też Anidzią, która starsza od niego była tylko o 15 lat. W czasach pobytu w Gdyni często razem chodzili do kina, na sanki i łyżwy. Kiedy w rodzinie zaczęto głośno mówić o mających odbyć się zaręczynach Anetki z Mietkiem, Jacek zdecydowanie przystąpił do działania. Założył najładniejsze ubranie i buty, rozwichrzone zwykle włosy uczesał na „ulizaną” fryzurę stryja Mieczysława i pierwszy oświadczył się Anetce. Przekonywał ją, że ich małżeństwo nie spowoduje żadnej zmiany, Anetka zostanie w rodzinie Stefana, nigdzie z nikim nie odejdzie (Anetka mieszkała w pokoju gościnnym w domu Stefanów), będą żyli razem i szczęśliwie. Anetce było bardzo miło z powodu wyznanych jej uczuć, ale nie przyjęła oferty 15 lat młodszego od niej Jacka, mającego wówczas 8 lat, a przyjęła ofertę zaręczyn starszego od niej o 19 lat Mieczysława.

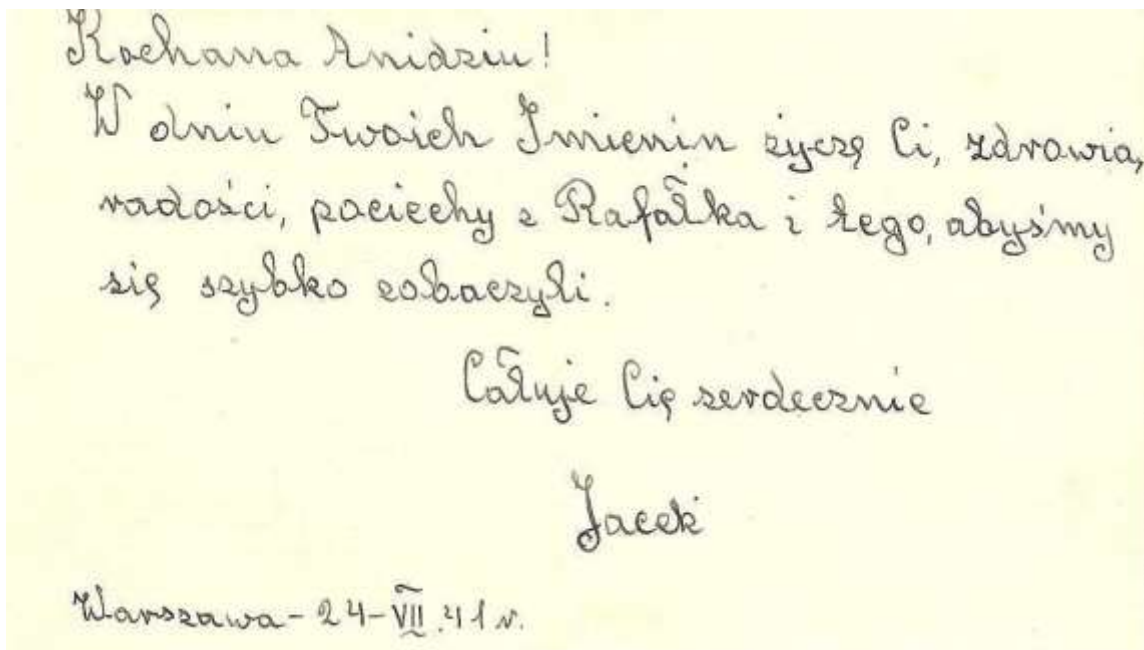
Po ich ślubie stało się to, czego obawiał się Jacek, Anetka z mężem Mieczysławem przeprowadziła się do ich mieszkania w Orłowie przy ulicy Limbowej.





Rys. 14. Jacek, Anetka, Maryśka, Stefan w Gdyni na ul. 10 Lutego. 1936 r.

Serdeczna przyjaźń braterska Stefana i Mieczysława oraz ich rodzin trwała do końca życia. Zachowały się życzenia dla Anidzi pisane ręką Jacka:



Rys. 15. Życzenia dla Anny Bukowskiej (Anidzi) od Jacka Bukowskiego, 1941 r.

Życzenia Jacka o szybkim spotkaniu nie spełniły się. Co gorsze, nigdy po 1941 roku nie doszły do skutku.

Jacek wcześniej włączył się w działalność konspiracyjną. W wieku 13 lat, w lecie 1941 roku wstąpił do 16 Warszawskiej Drużyny Harcerskiej Szarych Szeregów na Woli. W marcu 1943 roku przeszedł do Orląt, otrzymując przydział do 1680 plutonu, w 5 Rejonie, 6 Okręgu na Pradze.

W wieku zaledwie 16 lat Jacek o pseudonimie „Szczur” przystąpił do Powstania Warszawskiego. Żegnając się z matką, powiedział: „Do zobaczenia za trzy dni w Wolnej Polsce”.

Z żołnierzem plutonu 1680, w którym walczył Jacek, Bohdanem Zawolskim, pseudonim „Kruk” rozmawiał w dniu 9 lutego 2006 roku Tomasz Żylski. Wywiad znajduje się w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. Bohdan Zawolski był rok starszy od Jacka, urodził się w 1927 roku. Cytuję fragmenty tego wywiadu:

*„1944 rok był wielkim napięciem, znaczy lipiec 1944 roku. Był taki moment, to był chyba 26, 27, 28 lipca, rozbite oddziały niemieckie, dość znaczne, wycofywały się z frontu wschodniego i szły Grochowską, Waszyngtona na Most Poniatowskiego, na Most Kierbedzia. Stan tych oddziałów był oplakany. To nie było wojsko, które szło w szyku marszowym, to była kupa maruderów, bardzo często rannych, pobandażowanych, na chłopskich wozach. Były także i samochody. Ale głównie na chłopskich wozach, mało tego, ciągnęli ze sobą zwierzęta – kozy, krowy. To był obraz nędzy i rozpacz, ale dla nas to była naprawdę wielka radość. Myśmy widzieli klęskę tej armii, którą właśnie mieliśmy dobić. To trwało kilka dni, ale ostatnie dni, już po 28, 29 lipca, stała się rzecz odwrotna. Niemcy początkowo opuścili urzędy, opuścili fabryki, niektóre rodziny niemieckie zaczęły wyjeżdżać, więc wszystko wskazywało, że to jest już. Byliśmy pewni, że to jest właśnie teraz...”*

*(...) chłopcy z naszego plutonu, mieszkający na lewym brzegu Wisły zostali skoszarowani na Grochowskiej 231”. (Przypis autora: Wśród nich zapewne był Jacek, mieszkał na Częstochowskiej, na Ochocie.)*

*”Mieliśmy rozkaz informować swojego sekcijnego, swojego dowódcę o tym, gdzie jesteśmy, żeby on w każdej chwili mógł zwołać nas. Tak było przez kilka dni. Wreszcie rozkaz przyszedł, gdzieś około czternastej... zaczęło być słychać strzały po lewej stronie Wisły. Wreszcie przyszedł dowódca i pyta kto ma broń. Dziesięciu z tej grupy miało broń. Ale był tylko jeden długi karabin, mauzer, tak reszta miała jakąś krótką broń. Zastępca dowódcy plutonu miał dostarczyć granaty i nie dotarł na miejsce, dlatego, że on ciągnął granaty gdzieś z Pragi Centralnej, a po ulicach tak gęsto jeździły patrole niemieckie, że faktycznie z jakąś większą paczką on nie mógł się przedostać. On dotarł zresztą do ulicy Marcinkiewicza i tam go zastało Powstanie. On tam w bramie przesiedział całą noc i nie dotarł na punkt koncentracji. Dowódca plutonu widząc taką sytuację, a dowódcą plutonu był wówczas sierżant Tadeusz Święcki, pseudonim „Maluga”, z wykształcenia prawnik, z 1915 roku, czyli miał dwadzieścia dziewięć lat, tak około trzydziestki, zdawał sobie sprawę, że rejon ataku dla naszego plutonu to był przyczółek Mostu Średnicowego i Mostu Poniatowskiego. Obydwa mosty były bardzo mocno obsadzone. Raz, że była tam artyleria przeciwlotnicza, były też zespolone karabiny maszynowe przeciwlotnicze. Stała tam cała obsługa baterii. Był tam jakiś pluton pionierów, czyli saperów. Na Moście Poniatowskiego mieli jakieś działko, które stało na wieżycy. Rejon otoczony zasiekami kolczastymi. Po obu stronach toru kolejowego na Most Średnicowy były uzbrojone bunkry. My teraz mieliśmy zdobyć ten przyczółek, a po to, żeby do niego w ogóle się zbliżyć, to trzeba było pokonać półotwarty teren, tu gdzie jest Stadion Dziesięciolecia, potem cały bazar w tej chwili. Tam były zagospodarowane działki pracownicze, które ludność samowolnie zajęła. Tam nie było większych drzew, jak to na działkach, jakieś krzewy, jakieś zarośla.*

Żeby podejść do punktu natarcia, to trzeba pokonać osiemset metrów. Tymczasem z dziesięcioma pistoletami na taką wartownię, jaką były dwa punkty oporu – Mostu Poniatowskiego i Mostu Średnicowego, zwłaszcza, że z Mostu Poniatowskiego, z wieżyc ten teren mieli jak na dłoni, tak, że mogli wybierać, ty zastrzelisz tego, ty zastrzelisz tamtego. Zadanie było w ogóle nie wykonalne. Mimo to dowódca plutonu, sierżant „Maluga”, zawołał: „Dziesięciu na ochotnika!” Więc nie było dziesięciu, wszyscy się zgłosili, bo byliśmy ochotnikami, chociaż nie wiedzieliśmy za bardzo, o co chodzi. Zabrał dziesięciu z bronią i starał się, jak na to dzisiaj patrzę, to mam wrażenie, że chciał zademonstrować swoim przełożonym, że jest gotów wykonać rozkaz. Bo jak to można inaczej zrozumieć, jak się ma dziesięciu chłopaków uzbrojonych w pistolety i atakować tak potężne umocnienie. Mam wrażenie, że to było jego idea.

Został ostrzelany z Targowej 12, to jest róg Skaryszewskiej i Targowej, duży budynek i z Targowej 15, to jest szary budynek, który jak się idzie w kierunku Pragi, to on stoi po lewej stronie za torem. Tam też były karabiny maszynowe. Został ostrzelany i wycofał się. W związku z tym nie było innej sytuacji, dał rozkaz plutonowi do cofnięcia się na poprzednie kwatery. Myśmy wycofali się pojedynczo i grupkami...

(...) Pluton został rozczłonkowany, wszyscy z lewej strony Wisły pozostali na Grochowskiej 231, poza tym część była na Paca u Tadzia, na Prochowej, na Podskarbińskiej w blokach, które tam są, głównie Podskarbińska 8 u Kazia Rebryka, na Terespolskiej 1 aż po ulicę Mińską, tak był rozrzucony pluton.

Cały czas utrzymywaliśmy łączność między sobą i byliśmy w gotowości. Dowódca plutonu musiał nas zatrudnić, więc dostaliśmy zadanie obserwacji ruchu jednostek niemieckich i to przekazywaliśmy naszemu oficerowi informacyjnemu, czyli Andrzejowi Wrześnińskiemu. On opracowywał te meldunki i dostarczał dowódcy plutonu „Maludze”, który potem został awansowany do stopnia podporucznika. To się działo do 20 sierpnia.

Dochodziły do nas takie sygnały, propozycje, ażeby pójść w kierunku Choszczówki i zatrzymać się w pierwszej chacie przed Choszczówką, a stamtąd będą przerzuty do Puszczy Kampinoskiej. To nie były polecenia służbowe, to były takie dobre rady, albo mogliśmy spróbować przejść na linię frontu wschodniego. I taką próbę pluton podjął.

Poszło nas chyba dziesięć trójek. Próbowaliśmy przejścia przez linię frontu, ażeby dostać się tam do wojska polskiego i wziąć udział w dalszych walkach. Tymczasem rejon między Walem Miedzeszyńskim a Rembertowem na tym odcinku był tak nasilony wojskiem, a przy tym ludność ewakuowana i nie było nawet możliwości przeprowadzić jakiegokolwiek rozpoznania. Nie było innego wyjścia i myśmy z tego wszyscy wrócili prócz jednej trójki.

Jedna trójka nie wróciła i to właśnie nie wrócił mój dowódca sekcji, (kapral A.K. Stefan Sokołowski „Sokół”) potem Wiesiek Kwiatkowski i jeszcze jeden chłopiec z Ochoty, pamiętam tylko jego pseudonim, był „Szczur”. Oni trzech nie wrócili i właściwie o ich losie słuch zaginął. Nie wiadomo, co się stało.

Po wojnie żaden z nich się nie odezwał...”

Z książki Marka Gałęzowskiego zatytułowanej „Orlęta Warszawy” wydanej przez Rytm w roku 2009 dowiedziałem się, że niektórym powstańcom z plutonu 1680 udało się przedostać na lewy brzeg Wisły. 24 sierpnia, cztery dni po zaginięciu Jacka, dowódca drużyny Tadeusz Łączak ps. „Maks” z częścią plutonu, między innymi z Kazimierzem Rebrykiem ps. „Łukasiewicz”, dokonali tego czynu i przez Siekierki dotarli na Sadybę. Tam dołączyli do 7 pułku ułanów „Jeleń” i brali udział w walkach powstańczych.

Autor cytowanego wywiadu Bohdan Zawolski „Kruk” został aresztowany 28 sierpnia i wywieziony na roboty do Niemiec. W maju 1945 roku wrócił do kraju.

Po upadku powstania, po 63 dniach, Jacek nie spotkał się ze swoją matką, Ponieważ nikt z Jacka kolegów nie był świadkiem jego śmierci, matka długo po wojnie łudziła się, że on żyje. W Słupsku, do którego przeprowadziła się z Warszawy, była u jasnowidza ze zdjęciem Jacka. Jasnowidz podczas seansu spirytystycznego powiedział, że Jacek żyje, że widzi go nad rzeką w bezludnym, śniegiem pokrytym terenie, z dala od Polski. Maryśka była przekonana, że Jacka, jak wielu powstańców, Sowieci wywieźli na Sybir, że tam żyje.

Nazwisko: „Jacek Bukowski pseudonim „Szczur”, funkcja, stopień: strzelec”, widnieje na tablicy poległych Powstańców w Muzeum Powstania w Warszawie, kolumna 152, pozycja 6.

Żona Stefana Maria, z domu Śmitkowska zmarła w 1969 roku, w wieku 71 lat i pochowana jest na cmentarzu w Choroszczy koło Białegostoku. Przeprowadziła się ze Słupska do Choroszczy, do swojej rodziny, na krótko przed śmiercią.

## Amelia (13.09.1892 – 1944)

Historię życia Amelii z Bukowskich Korzeniowskiej przytaczam słowami jej córki Marii Sarnawskiej oraz siostr Amelii.



Rys. 16. Amelia Korzeniowska.

„Amelia z Bukowskich Korzeniowska, urodzona 13 września 1892 roku, zmarła w 1944 roku, była najstarszą córką Adama i Ignacji Bukowskich.

Mając 18 lat została wydana za mąż za Franciszka Korzeniowskiego (urodzonego w 1871 r.), starszego od niej o 21 lat. Był podwójnym wdowcem i miał 14-letniego syna Eugeniusza z pierwszego małżeństwa.

Były to czasy, gdy o małżeństwie córki decydowali rodzice. O żadnej miłości nie było mowy i chodziło o to, by kandydat na męża był zamożny i zapewnił żonie dostatnie życie. Sprzeciw i lzy Amelii na nic się zdały.

Ślub się odbył, a Amelia zapłakana z wielkim żalem opuściła dom rodzinny, wraz z mężem, którego nie kochała. Wyjechała do majątku Jadów, gdzie jej mąż był administratorem. Zamieszkała we dworze ładnie umeblowanym i zasobnym dzięki posagom wniesionym przez dwie poprzednie żony. Poznała swego pasierba, miłego chłopca, który na jej widok powiedział: „jak się cieszę, że będę miał taką ładną mamusię”.

Zaczął się nowe życie, które przyniosło jej wiele bólu i niespodzianek. Pierwszym ciosem, jaki ją spotkał, była śmierć syna jej męża. Po roku małżeństwa przyszła na świat córeczka Amelia, która zmarła jako niemowlę. Drugie jej dziecko, ukochana Czesia, także zmarła w wieku lat 5, tuż po moim urodzeniu się w 1920 roku. Byłam jej trzecim i ostatnim dzieckiem i do tego bardzo brzydkim, co stało się powodem jej zmartwienia, ale mam ładne rysy, pocieszała mnie matka.

W 1924 roku Korzeniowscy przenieśli się z Jadowa w Augustowskie do majątku Grabów. Tu właśnie nastąpił zwrot w życiu Amelii. Właściciel majątku Grabów zakochał się w Amelii i poprosił, by została jego żoną. Względy religijne nie pozwoliły jej na podjęcie odważnej decyzji, mogącej zmienić jej dotychczasowe życie, które u boku niekochającego męża, stało się dla niej bardzo uciążliwe. Mieszkając w Grabowie udzielała pomocy mieszkańcom okolicznych wsi, gdy byli chorzy. Leczyła wypróbowanymi domowymi sposobami – nabrała doświadczenia, a ludzie do niej zaufania. Postanowiła, że zostanie pielęgniarką. Zawód ten bardzo ją pociągał i dawał jej możliwość usamodzielnienia się i tym samym uniezależnienia od męża.

Amelia udaje się do Warszawy, podrzuca mnie swojej siostrze Wandzi, a sama zapisuje się na kursy pielęgniarskie, bo nie było wtedy szkół pielęgniarskich. Praktykę odbywa w szpitalu. Kończy je z bardzo dobrym wynikiem – po wielu trudach ma upragniony zawód.

Pierwszy krok, to rozstaje się z mężem, zabiera córkę (mnie) i wyjeżdża do Gostynina. Zatrzymuje się u swojej kuzynki Marii Szydłowskiej. Zaczyna zarabiać dorywczo – starcza to na bardzo skromne utrzymanie.





Rys. 17. Amelia z córką Marysią, która zdała do 1 klasy gimnazjalnej. Gostynin 1931 r.



Rys. 18. Amelia. Gostynin 1936 r.

Szczęście jej dopisuje. W Gostyninie uruchamiają nowo wybudowany szpital, gdzie potrzebny jest personel. Amelia zgłasza się i chce pracować jako pielęgniarka, ale etaty te są już obsadzone. Proponują jej stanowisko intendenta, które przyjmuje. Z obowiązków wywiązuje się bardzo dobrze. Dyrektor docenia jej zdolności organizacyjne, zapal do pracy i poczucie obowiązku. Dostaje służbowe mieszkanie, gdzie mogliśmy zamieszkać razem. Następuje pewna stabilizacja życiowa. Prócz pracy zawodowej bierze udział w życiu społecznym. Dużo czyta, prenumeruje prasę katolicką. Jest jeszcze młoda, ma 35 lat, a ubiera się jak starsza pani; czernie i granaty dominują w jej garderobie. Nic dziwnego, że złośliwi Bukowscy nazwali ją „czarna chorągiew”.

Unormowane życie Amelii zostaje nagle zakłócone przyjazdem do Gostynina jej siostry Feli wraz z dwoma córkami, które u niej zamieszkały.

Po kilku latach pracy Amelia wreszcie otrzymuje etat pielęgniarki i zaczyna pracę na oddziale przy chorych. Po dwóch latach jest już przełożoną i na tym stanowisku zastaje ją wojna we wrześniu 1939 roku.

Zaczyna się koszmar okupacji. W 1940 roku Niemcy zwalniają ją z pracy. Siadamy na wynajętą furmankę załadowaną naszym skromnym dobytkiem i ruszamy do Gąbina, gdzie zamieszkujemy u Krysi Kwiatkowskiej. Jest ciasno, 6 osób w jednym pokoju z kuchnią. Po jakimś czasie przybywa z Generalnej



Rys. 19. Marysia z Amelią, pół roku przed śmiercią matki. 1944 r.

Guberni ciotka Stacha z synkiem, ale zamieszkała w wynajętym dla niej mieszkaniu.

Zaczynam pracę w niemieckiej firmie budowlanej, a córki Feli, Krysia i Malifa pracują w aptece. Muszę dodać, że moja matka Amelia bardzo dbała bym ukończyła gimnazjum, a gdy przyszło do wyboru obcego języka, francuskiego lub niemieckiego, zdecydowała, że ten ostatni jest bardziej praktyczny – i miała rację. Znajomość języka niemieckiego bardzo przydała mi się podczas okupacji i uchroniła mnie od wysyłki na roboty do Niemiec.

Wreszcie dostałam małe mieszkanie na strychu jakiegoś starego domu. Opuściliśmy gościnnie dom Krysi i przeprowadziłyśmy się zabierając ciotkę Stachę wraz z synem. Amelia i Stacha zajęły się przygotowaniem dzieci do Pierwszej Komunii Świętej.

Amelia zaczyna podupadać na zdrowiu, a lekarze nie potrafią postawić właściwej diagnozy. Zawożą ją do szpitala do Płocka, ale pobyt tam nie wpłynął na poprawę jej stanu zdrowia. Wraca do domu i po kilku dniach umiera mając 52 lata, w roku 1944. Na pogrzeb przyjeżdża z Kter wujek Mietek z żoną.”

## Mieczysław (27.10.1894 – 16.11.1963)

Ostatni z „dynastii” rządców

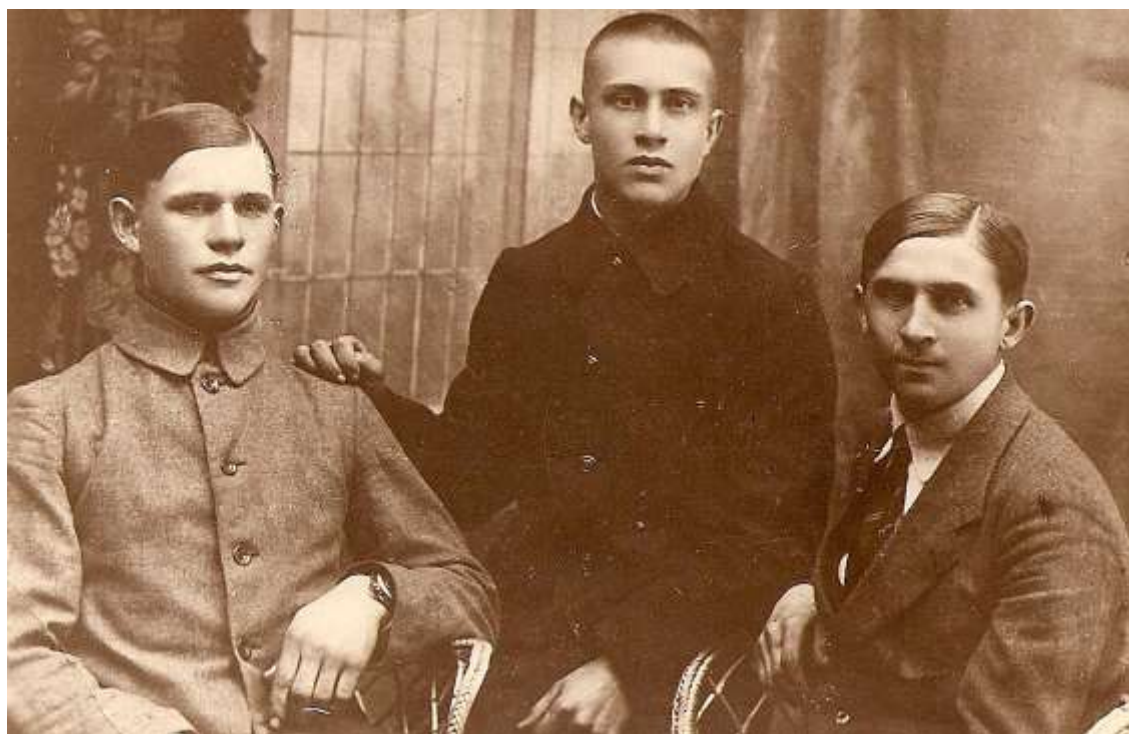


Rys. 20. Mieczysław Bukowski.

Mieczysław, mój Ojciec, urodził się w Techmanach, gmina Skrzany, powiat Gostynin, parafia Sokołów, gdzie jego ojciec Adam był rządcą. Właścicielem Sierakówka wraz z folwarkiem Techmany, Stanisławów, Marynow i Kleniew był około roku 1850 Bolesław Kleniewski. Później majątek ten przeszedł w ręce rodziny Wodzińskich, a rządcą przez pewien czas był syn Adama, Tadeusz.

Powojenne dzieje majątku to PGR (państwowe gospodarstwo rolne), w pałacu dom dziecka, który w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku zamienił się w ruinę. Na przełomie XX i XXI wieku obecny właściciel Sierakówka, prof. Grzegorz Pawlicki, pałac odbudował.

Dzieciństwo i młodość Mieczysław spędził w Głuchowie koło Grójca, gdzie jego ojciec Adam był rządcą w latach 1896-1916. Tam też Mieczysław rozpoczął swą pracę będąc w latach 1911-1913 oraz 1917-1918 pisarzem podwórzowym. W Głuchowie w roku 1917 odwiedzili Mieczysława dwaj jego młodsi bracia, Henryk i Tadeusz, a wydarzenie to zostało utrwalone na zdjęciu.



Rys. 21. Fotografia, na której od lewej widoczni są: Mieczysław, Tadeusz, Henryk, Głuchów 1917 r.



W 1920 roku, gdy Armia Czerwona napadła na Polskę, Mieczysław na ochotnika zgłosił się do wojska. Został przydzielony w dniu 11 sierpnia 1920 roku do 211 Pułku Ułanów. Następnego dnia, czyli 12 sierpnia pułk wyruszył na linię frontu. Pułk został sformowany w okresie od 27 lipca do 12 sierpnia 1920 roku na Polu Mokotowskim w Warszawie. Dowódcą pułku był mjr Wł. Dąbrowski, a zastępcą jego starszy brat rtm. Jerzy Dąbrowski, pseudonim „Łupasza”. Drugi i czwarty szwadron tworzyli ochotnicy, wśród nich był Mieczysław. Pułk brał udział w bitwach pod Płockiem, Mławą, Chorzalami, Druskiennikami, Stołpcami, Kajdanowem i innymi. 15 listopada 1920 r. pułk wszedł w skład Wojsk Litwy Środkowej. Mieczysław służył w wojsku do 12 marca 1921 r. Dane z książeczki wojskowej nr 118/R: wzrost 172 cm, waga 59 kg. Przyjaźnie zawarte w wojsku trwają niekiedy długo, czego dowodem jest zachowane zdjęcie z dedykacją datowaną na 1936 rok.



Rys. 22. Parada wojskowa, Leszno, 1936 r.

Kochanemu kolecie,  
przyjacelowi dla samosci  
mile spędzonych chwil.  
Tadeusz Targiel  
Gdynia dn. 25. XI. 36r.  
Dla kochanego mietka  
Bukowskiego.

Rys. 23. Dedykacja dla Mieczysława Bukowskiego na odwrocie zdjęcia parady wojskowej, 1936 r.

Mieczysław nie spisał swoich wspomnień, więc nic nie wiem o jego wojennych przeżyciach w 1920 r.

Skorzystam ze wspomnień innego ochotnika, Tomasza Zana, przyjętego do tego samego 211 Pułku Ułanów sformowanego na Polu Mokotowskim, w którym Mieczysław służył też jako ochotnik.

Tomasz Zan był prawnukiem przyjaciela Adama Mickiewicza, Tomasza Zana, urodzonego w 1796 roku, założyciela Towarzystwa Promienistych w 1820 r. na Uniwersytecie Wileńskim. Wspomnienia Tomasza Zana urodzonego w 1902 roku, młodszego od Mieczysława o osiem lat, spisał Wojciech Wiśniewski i opublikował w książce zatytułowanej „Zan. Ostatni z rodu” wydanej przez LTW Łomianki w 2015 roku.

Tomasz Zan o wojnie z bolszewikami tak opowiadał:

*„W epoce napoleońskiej walczone ogromnymi, specjalnie wyszkolonymi oddziałami kawalerii. To była elita wojska. Wystarczy wspomnieć naszych szwoleżerów, których doborowe oddziały rozstrzygały nie jedną bitwę. W I wojnie światowej tak wielkich oddziałów kawalerii nie było. Owszem, istniały pułki kawalerii, Kozacy, ale nie całe konne armie. W każdym razie historycy wojskowi są zgodni, że takiego zmasowanego wojska na koniach, jakie mieli bolszewicy podczas wojny z Polską w 1920 roku, nie było od czasów Napoleona.*

*Po zwycięstwie nad Denikinem, Kołczakiem bolszewicy ściągnęli masę ludzi, koni i stworzyli dwie armie. Jedną dowodził Budionny, drugą Gaj. Trudno tu mówić o pułkach zorganizowanych w szwadrony, ale to była przede wszystkim ogromna masa kawalerii, która miała rozbić wojsko polskie, zanim wyzwoli ono Kijów i przyczyni się do powstania niezawisłej Ukrainy. Polacy bronili się dzielnie. Nasza kawaleria ścierała się często w bezpośrednich szarżach z bolszewicką, ale takiej masy wojska nie mogli powstrzymać. Widać już było wyraźnie, że bolszewicy chcą zalać całą Polskę, dojść do Berlina i wesprzeć rewolucję w Niemczech. Na przeszkodzie stała jeszcze Warszawa, którą chcieli ścisnąć jak obcęgi od południa przez Budionnego, od północy przez Gaję. Chan – przydomek Gaję – był chwytem propagandowym, bo poza azjatyckim pochodzeniem nie miał on nic wspólnego z chanami. (Przypis autora: Tak naprawdę nazywał się Bżyszkiem, był Ormianinem, miał wtedy 27 lat – tyle, co Tuchaczewski. Doświadczenie wojenne zdobył w walkach z Turkami na Kaukazie, a rewolucyjno-bojowe w Moskwie, na Syberii i w Kazachstanie. Dane z książki „Sąd Boży. 1920”. Bohdana Skaradzińskiego).*

*Jeszcze na Ukrainie, w pierwszej fazie walk, oddziały bolszewickie były zwarte, podporządkowane ogólnej strategii głównodowodzącego generała Tuchaczewskiego. Tak szli do Łomży. Potem, gdy te masy wojska rozlały się po Mazowszu, stracili między sobą kontakt. Nie było przecież tak powszechnej łączności radiowej ani telefonicznej jak dziś. Meldunki o przegrupowaniach czy linii natarcia najczęściej łącznicy przynosili konno. Wystarczyło, że zginął jeden z łączników (szczególnie tępił ich nasi chłopcy), a cały szwadron nie wiedział, co robić. Parli więc szybko do przodu, rabując po drodze, co się dało.*

*Trafnym posunięciem sztabu w Warszawie było wysłanie za Wisłę dwóch pułków zagończyków. Jeden z nich pod rotmistrzem Jerzym Dąbrowskim był właśnie owym 211 Pułkiem Ułanów zorganizowanym na Polu Mokotowskim.*

*(...) Przed rozstrzygającą Bitwą Warszawską przez wiele dni grasowaliśmy na tyłach wroga.*

*(...) Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było. Przez łącznika dostałem rozkaz, aby zebrać cały pluton, pięćdziesięciu chłopów w różnych patrolach, szpicach, czujkach, i ruszyć do wsi. Kiedy dojechaliśmy, cały szwadron stał już w szyku bojowym, rozwinięty szeroko przez pola i łąki „Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Czubyarki wieją na potęgę. Zwyciężyliśmy pod Warszawą!” – powiedział, uśmiechając się, porucznik Szejnige, dowódca mojego szwadronu. Z daleka słychać było strzały armatnie. Zająłem z*

*moim plutonem wolne, lewe skrzydło. Sztejnige wspiął się na koniu i dał rozkaz: „Szwadron, za mną! Szable w dłoń!”*

*Po 500-800 metrach zza pagórka zobaczyliśmy drogę pełną taborów Gaja. Wypadliśmy zza drzew z dużym hałasem. Na drodze wybuchła panika. Atakowaliśmy szeroko, nie mieli dokąd wiać. Wozy, konie wjeżdżały w rowy, przewracały się, pękały z trzaskiem dyszle. Konie rżały. Moi wołali: „Bij!!! Zabij!!!*

*(...) Po drodze widzieliśmy skrzynie załadowane przedmiotami zrabowanymi z kościołów i dworów. Świeczniki, monstrancje, srebrne krzyże, dywany. Szukaliśmy zdobyczy najcenniejszej – amunicji. Armia Gaja cofała się już wtedy nieskładnie na Chorzele, w stronę granicy pruskiej. Tam znowu ich dopadliśmy. Dołączyły wtedy do nas dwie brygady kawalerii: 2 i 4. Ale przez 17 dni, bez żadnej łączności ze Sztabem Głównym w Warszawie, walczyliśmy na własną rękę. Jedynym dowódcą był rotmistrz Dąbrowski i jego oficerowie. Sztejnige miał olbrzymie doświadczenie wojenne ze służby w armii rosyjskiej, w kozackiej „dzikiej dywizji”. Umiał sobie poradzić w każdych okolicznościach. Ufaliśmy dowódcom bezgranicznie i wierzyliśmy, że zwyciężymy. Zresztą modliliśmy się o to gorąco, chociaż krótko, rano i wieczorem.*

*Przy pruskiej granicy dopadliśmy „spartakowców” – Niemców z czerwonymi czapkami, którzy mieli prowadzić żołnierzy Gaja do Berlina. Odesłaliśmy ich do Warszawy, żeby alianci, członkowie misji wojskowych przy naszym Sztabie Głównym przekonali się na własne oczy, jak bolszewicy współdziałają z niemieckimi komunistami. A żołnierze Gaja byli przede wszystkim Azjaci, zakaukascy Kozacy.*

*Trochę odetchnęliśmy, gdy przyszły odwody – brygady kawalerii. Nasze oddziały nie tylko były zmęczone do granic wytrzymałości, ale i nękanie przez czerwonkę. Nawet w nocy nie można było spokojnie odetchnąć, tylko latało się za stodołę. Gdy stawaliśmy we wsi czy we dworze, połowa spała, reszta czuwała. Bywało, że przez kilka dni nie zdejmowaliśmy siodła z koni, tylko popuszczaliśmy popręgi. Marzyliśmy, żeby na chwilę gdzieś stanąć i napić spragnione konie.*

*Armia Gaja uciekała przed nami aż do granic Prus Wschodnich, do Myszyńca. Tam z pomocą Niemców wymknęli się nam. Przeszli granicę i dali się rozbroić. Dostaliśmy rozkaz powrotu, znów goniliśmy bolszewików aż do Druskiennik.*

*(...) Pod Druskiennikami stały skoncentrowane wojska: dywizja kawalerii generała Nieniewskiego, 16 Pułk Ułanów z Bydgoszczy, 4 Pułk Ułanów Zaniemeńskich, 3 Pułk Ułanów Warszawskich, którego dwa szwadrony w szyku pieszym biegly rozwalić hiszpańskie kozły z drutów kolczastych, uniemożliwiające wjazd na most. Mijaliśmy ich już w pełnym galopie. Z wysokości brzegu rzeki widok był jedyny i wspaniały, ale ja byłem wśród szarżujących. Pierwszy pluton II szwadronu miał zaszczyt być na czele szarży.*

*(...) Pamiętam też szarżę pod Żyrmunami, jak szliśmy na Lidę. Staraliśmy się rozbić armię Tuchaczewskiego, która cofała się od Warszawy. Była to potężna jeszcze armia, ale już rozbita i bez wiary, że dojdzie do Berlina. Cofała się bez ładu i składu, każdy chciał ratować głowę. Szły wojska, konie, tabor, artyleria, aż dudniło. Zatrzymaliśmy się przy wiejskim kościele, wokół ceglany mur, szeroko otwarta brama. Gdzieś dalej zaczęła się wymiana ognia, ale tutaj za murem nie było słycać świstu kul, Padła komenda: „Kompania, bagnet na broń!”*

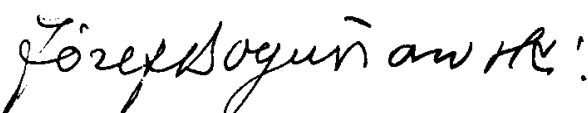
*Nie wiem, ilu ich było, nie ogarniałem wzrokiem, przeszkadzał mi ciągle ceglany mur. Dobrze jednak słyszałem trzask bagnetów zakładanych na karabiny, chrzęst stali o stal. Dźwięk jak w symfonicznej orkiestrze. Potem: „Huuuuuurra!!!” – wokół kościoła rozlało się wojsko, kompania za kompanią, piechota, nie tyle może szara, co zielona jak łąny. Biegli, wyprzedzając jeden drugiego, żeby jak najszybciej dopaść wroga. Rozbili tabor i wzięli mnóstwo jeńców.*

(...) Bolszewicy szli masą, trochę jak wojownicy Dżyngis-chana. Był to azjatycki sposób prowadzenia wojny. Wobec rannych jeńców zachowywali się też jak Azjaci – po prostu zbijali ich. Żadnej taktyki, wręcz bałagan. Czuli się silni w masie. Chcieli zalać Polskę, tak jak chcieli zalać Europę. Cel zawsze był ten sam. Na froncie każdy zdawał sobie z tego sprawę. Nikogo nie trzeba było przekonywać, agitować ani upolityczniać... W czasie całej kampanii na hasło: „Ochotnicy wystąp!” – zgłaszali się wszyscy”.

Szlak bojowy 211 Pułku Ułanów w wojnie z bolszewikami opisałem w Części trzeciej niniejszego opracowania (str. 118).

18 marca 1921 roku podpisano w Rydze traktat pokojowy kończący wojnę polsko-bolszewicką. Sześć dni wcześniej, 12 marca, Mieczysław zakończył służbę wojskową i powrócił do pracy w rolnictwie rozpoczętej 1 stycznia 1919 roku na stanowisku rządcy w majątku Osiny w powiecie gostynińskim. Po śmierci swego ojca Adama w 1922 roku przejął po nim posesję rządcy w Jaktorach pod Radzyminem.

W latach 1927-1934 pracował w Łęcznej, woj. lubelskie. Właściciel Łęcznej Józef Bogusławski taką wystawił opinię Mieczysławowi:

<b>ADMINISTRACJA DÓBR</b> <b>ŁĘCZNA I SIOSTRZYTÓW</b> POCZTA ŁĘCZNA ZIEMIA LUBELSKA Adres telegr.: „Łęczna Dwór” telefon „Łęczna 3” Stacja kolej. Jaszczów lub Minkowice.	Podzamcze, dn. 4 kwietnia 1934
<b>GORZELNIE i REKTYFIKACJE.</b> <b>FABRYKA CYKORJI, SUSZARNIA</b> <b>PLANTACJE CHMIELU.</b>	<b>Świadcstwo.</b>
<p>Niniejszem stwierdzam że pan Mieczysław Bukowski pracował w dobrach moich Łęczna, od 1 Lipca 1927 r po 1 Kwietnia 1934 roku, przez pierwsze trzy lata w charakterze rządcy rolnego, a następnie po odejściu administratora, zarządzał samodzielnie majątkami: Podzamcze, Stara Wieś i Sofijówka.</p>	
<p>Pilny, energiczny, pracowity, zawsze wywiązywał się ze swego zadania ku zupełnemu memu zadowoleniu.</p>	
<p>Zamieszany rolnik i hodowca, dzięki umiejętnej uprawie, doprowadził gospodarstwo rolne do wysokiej kultury, znając się na gospodarstwie nasiennym, które prawidłowo prowadził, hodowlę zaś chlewni postawił na tak wysokim stopie, że jest jedną z najlepszych w Lubelszczyźnie.</p>	
<p>Zdolny Organizator, pracował umiejętnie i uczciwie, całym sercem oddany, tak że uważałem go nie tylko jako zdolnego i sumiennego pracownika, ale jako przyjaciela i dla tego rozstaję się z P. Bukowskim z prawdziwym żalem. Odszedł na własne żądanie.</p>	
<p>Życzę mu szczęśliwej i owocnej pracy.</p>	
	

Rys. 24. Opinia Józefa Bogusławskiego, właściciela Łęcznej, woj. lubelskie, wystawiona Mieczysławowi Bukowskiemu. 1934 r.





Rys. 25. Mieczysław na koniu w majątku Łęczna. 1929 r.

Dobra pana Bogusławskiego składały się z Łęcznej – Starej Wsi o powierzchni 1617 ha, Podzamcza – 960 ha i Zofiówki – 316 ha. Całkowita powierzchnia majątków, którymi administrował Mieczysław wynosiła prawie 3 tysiące ha, dokładnie 2893. Administrowanie tymi majątkami dało Mieczysławowi dużo satysfakcji, często wspominał ten okres, a zwłaszcza przyjacielską współpracę z właścicielem. Cytował ulubioną sentencję pana Bogusławskiego, człowieka uważanego za majątnego: „*Nie kupuj tego co ci potrzebne, ale to bez czego obejść się nie możesz*”.

Po dwuletniej pracy (1934-1936) w majątku Lisice, w woj. poznańskim, w dniu 1 lipca 1936 roku przeniósł się do Gdyni, gdzie u brata Stefana poznał zatrudnioną u niego, jako księgową, Annę Polakównę. Znajomość zakończyła się małżeństwem zawartym w dniu 8 grudnia 1936 roku, a świadkami na tym ślubie byli bracia Mieczysława, Stefan i Tadeusz.

Bracia: Mieczysław i Tadeusz otworzyli w Gdyni – Orłowie przy ul. Wielkopolskiej 77 firmę handlową. Firma dobrze prosperowała, ale Mieczysław źle się czuł w roli „mieszczucha”. Jego pasją było rolnictwo i po trzech latach pobytu w Gdyni wrócił do niego.

Podjął pracę 1 lipca 1939 roku jako administrator majątku Ktery w pow. łęczyckim. Majątek Ktery specjalizował się w hodowli koni i na jego terenie znajdowała się słynna stadnina koni pełnej krwi angielskiej. Właścicielem Kter w tym czasie był Kazimierz Wodziński.

Firmę handlową w Gdyni-Orłowie nadal prowadził Tadeusz, a zyskami dzielił się z Mieczysławem. Mieczysława miesięczne dochody w tym czasie przekraczały pięć średnich pensji krajowych i wynosiły ponad 1000 zł (zysk z firmy + pensja). Oszczędności z poprzednich lat oraz niezłe dochody pozwalały mu planować kupno własnego majątku. Miał to być Zieleniew, folwark o pow. 160 ha koło Kter. Zamierzał te plany zrealizować w połowie lat czterdziestych i od tego czasu gospodarować już na swoim, jak jego przodkowie na Bukowcu. Najpierw wojna, a po wojnie na bagnietach sowieckich wprowadzony ustrój „społecznej sprawiedliwości” przekreśliły jego plany.





Rys. 26. Jadwiga Krawczyk (Jadwisia).

Pod koniec 1939 roku, wysiedlony z Gdyni Stefan, wraz z całą rodziną i pracującą u nich Jadwigą Krawczyk, załadowaną meblami platformą ciągniętą przez konie, w drodze do Warszawy, zatrzymał się w Kterach. Tam, za zgodą Stefanów, Jadwisia została, aby pomagać Anetce w wychowywaniu mnie, Rafała. Jadwisia, niepiśmienna, ale umiejąca czytać, była osobą bardzo inteligentną i subtelną. W dzieciństwie często płałam jej figle, dokuczałam, ale przyjmowała te moje niesubordynacje ze spokojem i pobłażaniem.

Z czasem Jadwisia stała się moją drugą matką. Zawsze na Dzień Matki kwiaty dostawały ode mnie obie: Anetka i Jadwisia. Jadwisia nie wyszła za mąż, całą swoją energię poświęciła pracy dla rodziny Mieczysława, a rodzina przygarnęła ją do siebie, jak członka rodziny. Urodzona w 1900 roku pod Miechowem we wsi Komorów, zmarła 8 października 1983 roku w Orłowie. Jako członek rodziny została pochowana w grobie Bukowskich na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

Właściciel Kter p. Kazimierz Wodziński został usunięty przez Niemców z majątku we wrześniu 1939 roku. Jego miejsce zajął niemiecki nadzorca zwany Verwalter. Pierwszym Verwalterem w Kterach był Niemiec spod Bydgoszczy Guenter, znający język polski, a po jego wysłaniu na front wschodni sprowadzono Niemca z Besarabii o nazwisku Denk. Wtedy rolę tłumacza między nim a Mieczysławem przejęła Anetka mówiąca dobrze po niemiecku.



Rys. 27. Żona Mieczysława Anna z synem Rafalem, Ktery, 1941 r.

Przez cały czas okupacji niemieckiej Mieczysław nadal zarządzał Kterami. W maju 1945 roku po zakończeniu wojny, Mieczysław zlecił, pokrywając wszystkie koszty, wybudowanie w centrum Kter, nad stawem, kaplicy. Nad wejściem do niej widnieją litery wyrzeźbione Jego ręką A.D. 1945 r. Obecnie kaplica jest jedynym zadbanym obiektem w Kterach.



Rys. 28. Ktery, kaplica zbudowana z inicjatywy Mieczysława w maju / czerwcu 1945 r.

Mieczysław nie mógł pogodzić się z „porządkami” wprowadzanymi przez nową władzę w rolnictwie i rozstał się z nim definitywnie 30 czerwca 1945 r. **Odejściem tym zakończył związki naszej Rodziny z rolnictwem trwające kilka wieków i wiele pokoleń. Był ostatnim rządcą z „dynastii” oficjalistów Bukowskich, którą około 150 lat wcześniej zapoczątkował Jego pra-pradziad Józef podejmując pracę w Łaniętach.**

Mieczysław z rodziną przeprowadził się z Kter do Gdyni w lipcu 1945 roku i wraz z Tadeuszem ponownie uruchomili firmę handlową w Gdyni Orłowie. Firmę, ze względu na tradycje rolnicze, nazwali „ROLNIK”.

Tę firmę prywatną byli zmuszeni zlikwidować w 1949 roku, w wyniku akcji komunistycznej, która wypowiedziała wojnę prywatnemu sektorowi. Mieczysław, w tej sytuacji, postanowił podjąć pracę w dniu 4 czerwca 1949 roku w Centrali Mięsnej w Gdańsku jako inspektor hodowli trzody chlewnej. Jego zadaniem był nadzór nad hodowlą w woj. gdańskim, a z tym związane były częste wyjazdy w teren. W czasie moich wakacji letnich w 1950 roku, kilka razy zabrał mnie ze sobą. Dla młodego człowieka wyjazdy te stanowiły wielką atrakcję, bo przede wszystkim jazda samochodem, rzadkość w tamtych czasach, no i wycieczki w teren do różnych, oddalonych od miasta ośrodków hodowlanych.





Rys. 29. Szyld firmy Rolnik należącej do Mieczysława i Tadeusza Bukowskich.

Mieczysław bojkotował w tym czasie chodzenie do kina, gdyż przeważał repertuar propagandowych filmów radzieckich. Pewnego razu, zdumiony usłyszałem propozycję Taty pójścia do kina, z powodu niespodzianki, jaka tam mnie spotka. Niespodzianką tą okazała się Kronika Filmowa, która pokazywała pracę inspektora hodowli, a tym inspektorem był mój Ojciec, Mieczysław Bukowski. Z emocji na całe kino głośno krzyknąłem: „mój Tata”.

Ideologia socjalistyczna, wysokie kontyngenty przymusowego eksportu mięsa na wschód do ZSRR, przy permanentnym jego braku na rynku wewnętrznym, brały górę nad normami hodowlanymi, do jakich był przyzwyczajony Mieczysław. To spowodowało, że nie mógł dłużej pracować w tej branży i w październiku 1950 roku przeniósł się do firmy budowlanej. Pracował w niej przez dziewięć lat, do roku 1959, w którym przeszedł na emeryturę.

Na emeryturze dużo czasu poświęcał pracy w ogrodzie będącym górną częścią parceli byłej firmy braci M. i T. Bukowskich „Rolnik”. Tam znajdował namiastkę rolnictwa, a więc tego czym zajmował się przez większą część swego pracowitego życia. Dużo też w tym czasie czytał książek. Ostatnią przez niego przeczytaną była książka Zbigniewa Załuskiego „Siedem polskich grzechów głównych” z mottem z Norwida: „Przeszłość to jest dziś, tylko cokolwiek dalej...”

Umarł 16 listopada 1963 roku i pochowany jest w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni. Po śmierci Mieczysława, żona jego Anna, a moja Matka, przekazała mi trzy pamiątki: ślubną obrączkę Ojca, monetę dwudziesto-dolarową w złocie z 1904 roku, oraz sygnet. Pamiątki, jak zwykle, aby uchronić przed zgubieniem lub kradzieżą, zostały głęboko ukryte. Dopiero w trakcie pisania opracowania o Rodzinie zostały wydobyte z ukrycia. Okazało się wówczas, że na sygnecie wryty jest herb Jastrzębiec. Dzieje tego sygnetu pozostają tajemnicą.

### **Uwagi Marysi Sarnawskiej o zyciorysie Mieczysława – dla niej stryjka Mietka:**

*„Mam pewne zastrzeżenia co do formy wspomnień ograniczających się do wymieniania od – do pracy zawodowej i pełnionych funkcji. Nie ma tam żywego człowieka, który kochał, miał żonę i syna. Jaki miał charakter, jak reagował na pewne wydarzenia czy to w rodzinie, czy w otaczającym go świecie.*

*Dlatego też chciałabym dodać kilka moich spostrzeżeń na temat mojego wuja Mietka Bukowskiego.*

*Los tak chciał, że moje kontakty z nim były sporadyczne. Pierwszy raz odwiedziłam go w roku 1938. Miał mieszkanie w Gdyni, żonę, no i małego synka Rafałka, z którego był bardzo dumny. Wujek miał cudownie niebieskie oczy w ciemnej oprawie, pełne łagodności, co świadczyło o jego charakterze. Był najwyższy z braci, nosił eleganckie, dobrze skrojone garnitury, w których się świetnie prezentował.*

*Będąc kawalerem, pracując w majątkach, nie zapominał o najmłodszych braciach pozbawionych w tym czasie rodziców i domu rodzinnego. Zapraszał ich w czasie wakacji i świąt – świadczą o tym liczne zdjęcia. Witold nawet wspominał po latach, jak siedząc we dworze przy obiedzie wstydził się swoich krótkich rękawów u marynarki, z której wyrósł.*

*W czasie okupacji widywałam mojego wuja częściej. Jeździliśmy do Kter i zawsze dostawało się jakiś prowiant skrupulatnie wydzielony przez Anetkę, który w tych czasach głodu był bardzo cenny.*

*Wuj przechowywał w swoim domu przez pewien czas Krysię Kwiatkowską oraz Lusię Miedziałło, córkę oficera z Kutna. Miały tam pełne wyżywienie i schronienie przed wywózką do Niemiec na roboty.*

*Ulubioną książką wuja był „Potop” – wracając z pola po zdjęciu butów przy wydajnej pomocy Jadwini – szedł do pokoju obok jadalni, kładł się na tapczanie, brał do ręki książkę i czytał do chwili, aż proszono go na obiad.*

*Wujek Mietek jak był w dobrym nastroju opowiadał różne historie dotyczące życia we dworze i służby folwarcznej.*

*Swego czasu pracował w majątku, którego właścicielką była stara panna i do tego wąsata. Dziedziczkę widocznie zafascynowały oczy młodego p. Mieczysława – wiedząc, że lubi pierogi, często pod tym pretekstem zapraszała go na kolację do dworu. Pewnego dnia po wyjściu od dziedziczki przechodził koło dworskiej kuchni – okno było otwarte i cóż on widzi: pokojówka stoi przy stole, ślini palce i pracowicie skleja pierogi, na które przed chwilą został zaproszony. Co robić!?! Jeśli powie dziedziczce prawdę, zwolni pokojówkę, a jeśli nie pojawi się na kolacji, to obrazi dziedziczkę. Do dziś nie wiem, jak sprawa się skończyła, bo nie zapytałam wujka.*

*Druga historia dotyczy stangreta. Wuj wracając z pola przechodząc koło czworaków zatrzymał się przy Jakubie – stangrecie siedzącym na przyzbie w słońcu i wdał się z nim w rozmowę. Gdy w toku rozmowy dowiedział się, że Jakub jest starym kawalerem, zainteresowało go, dlaczego się nie ożenił. Proszę Pana, nikomu tego nie mówiłem, bo to moja najświętsza tajemnica, ale Panu powiem: służyłem w majątku X i byłem stangretem przez wiele lat. Wozilem moich państwa i ich córkę. Panienska dorastała i gdy miała 18 lat rodzice postanowili wydać ją za mąż – było wielu starających, bo panienska była bardzo urodziwa, no i posag też spory. Wybór padł na dużo od niej starszego majątnego właściciela ziemskiego. Paniencie ten kandydat wcale się nie podobał i strasznie się buntowała. Nic to nie pomogło – rodzice przyjęli oświadczyzny i wyznaczono datę zaślubin. Pewnego dnia panienska wzywa mnie i mówi: Jakubie, zaprzęgnij konie do małej bryczki, pojedziemy na spacer. Pojechaliśmy daleko w gęsty las i tam nastąpiło to, czego nigdy się nie spodziewałem – panienska mi się oddała, mówiąc, że woli ten pierwszy raz przeżyć z młodym chłopcem, niż ze starym bogatym mężem. Nim ślub się odbył, kilka razy*

*jeździliśmy na te spacery do lasu. Po panience żadna dziewczyna mi się nigdy nie podobała i tak zostałem sam ze swoimi wspomnieniami – zakończył Jakub.*

*Miłą dla mnie jest niespodzianką i popieram pomysł zamieszczenia wspomnień o Jadwini, która całe swoje życie – aż do śmierci, poświęciła rodzinie Bukowskich. Zetknęłam się z nią pierwszy raz jako siedmioletnia dziewczynka w Baninie. Była drobną, o ciemnych włosach góralką z charakterystycznym tzw. „złamanym nosem” – z takiego nosa, pamiętam, dumny był Waldorff – „ostatni szlachcic”. Jadwinia przyjeżdżała do Banina z Morawieckimi, u których służyła od 16 roku życia. Pomagała pokojówce i opiekowała się dziećmi. Można powiedzieć, że była na szczególnych prawach, które zachowała do końca życia.*

*Wrócę jednak jeszcze raz do mego wuja Mieczysława. Czasy okupacji. Jego znajomy, oficer z konspiracji, mieszka w Kutnie. Przyszli w nocy Niemcy, by go aresztować, ale udaje mu się w ostatniej chwili ukryć w tartaku, w którym pracuje. Zwraca się o pomoc do wujka, ten kieruje go do Gąbina, dając adres Krysi. Zjawia się w Gąbinie. Krysia porozumiewa się z panią Wołowską, właścicielką majątku Staw. Pani Wołowska wraz z dwoma paniami przychodzi do apteki, gdzie przekazujemy jej pana z Kutna i razem z nim, niby spacerkiem, udają się do majątku Staw. Tam p. Wołowska organizuje przerzut pana X przez zieloną granicę do Generalnej Guberni. Pan X dzięki pomocy p. Wołowskiej, jej odwadze i innych nieznanym zaangażowanych w akcję osób, znalazł się szczęśliwie po drugiej stronie. Dalsze losy tego pana są mi nieznanne”.*

### **Zna je natomiast Rafał, syn Mieczysława, czyli autor niniejszego opracowania:**

Pan X w relacji Marysi to Witold Goździalski. Państwo Goździalscy byli dobrymi znajomymi moich Rodziców, mieszkali w Kutnie, w małym domku parterowym, często wzajemnie się odwiedzali. Państwo Goździalscy mieli syna Karola, kilka lat ode mnie starszego. Jego pasją było modelarstwo, imponowała mi jego kolekcja modeli samolotów przez niego wykonanych.

Kiedy gestapo wpadło na trop działalności siatki AK w Kutnie, której czołową postacią był pan Goździalski, uniknął aresztowania uciekając do nas, do Kter, odległych od Kutna 15 km. Mój Ojciec pomógł mu w następujący sposób. Przebrał się w robocze ubranie fornala i na chłopskim wozie ukrył pana Goździalskiego przykrywając słomą. Wozem tym ciągniętym przez jednego konia wyruszyli z Kter do Gąbina odległego ok. 50 km. Po drodze Ojciec widział plakaty z podobizną pana Goździalskiego i informacją gestapo o nagrodzie za jego wydanie oraz o karze śmierci za jego ukrywanie.

Szczęśliwie dojechali do Gąbina. Tam Krysia i Malifka, córki cioci Feli, siostry mego Taty, pracujące w aptece, zajęły się panem Goździalskim. Zmieniły jego kolor włosów, odpowiedni makijaż zmienił jego twarz nie do poznania. Tak zmienionego pana Goździalskiego przejęła pani Wołowska z majątku Staw. Przed wojną państwo Wołowscy byli właścicielami tego majątku. Pan Wołowski został zamordowany przez NKWD w Katyniu, a pani Wołowska z kilkoma nieletnimi dziećmi została pozbawiona przez Niemców praw do tego majątku, ale z możliwością zamieszkiwania na jego terenie. Ta dzielna osoba ułatwiła panu Goździalskiemu przejście przez zieloną granicę do Generalnej Guberni. Tam pan Goździalski przeżył okupację.

Po wojnie został dyrektorem PGR Czepeków lub Czepekowo na ziemiach odzyskanych Pomorza Zachodniego. Do Czepekowa, do państwa Goździalskich pojechałem w drugiej połowie lat czterdziestych z moimi Rodzicami z Gdyni-Orłowa, gdzie mieszkaliśmy po wojnie. Państwo Goździalscy mieszkali tam w pałacu, ziemię uprawne otoczone były lasami pełnymi grzybów. Tam Karol zaimponował mi swoimi zdolnościami rózdkarskimi. Później państwo Goździalscy

przeprowadzili się do Ciechocinka. Kilka lat po śmierci mego Ojca, Mama pojechała do sanatorium do Ciechocinka i w czasie tego pobytu odwiedziła państwa Goździalskich. Trafiła na duże przyjęcie u nich. Kiedy pan Goździalski zobaczył Mamę, przedstawił ją obecnym gościom słowami: to żona mojego przyjaciela Mieczysława Bukowskiego, który w czasie okupacji niemieckiej ryzykując swoje życie ocalił moje.

## Henryk (13.01.1896 – 5.05.1938)



Rys. 30. Henryk Bukowski.

Henryk urodził się 13 stycznia 1896 roku w Sierakówku (gmina i parafia Gostynin), gdzie jego ojciec Adam był rządcą.

Henryk, kiedy usamodzielniał się, dołączył do „dynastii” rządców Bukowskich. Administrował majątkami Boglewice i Lisice. Ożenił się z Jadwigą z Załęskich herbu Prus 1, w rodzinie zwaną Dziunia. Urodziło im się dwoje dzieci: Marysia (Myszka) w 1928 roku i Heniek Junior (Lipek) w 1935 roku.

W czasie 150 lat istnienia „dynastii” rządców Bukowskich miała miejsce pokoleniowa wymiana posady rządcy, oraz na zasadzie, z ręki do ręki. W obu wypadkach uczestnikiem wymiany był Mieczysław.

Pierwsze zdarzenie miało miejsce w 1922 roku, gdy ojciec Mieczysława, Adam, pracując do ostatnich chwil swego życia, umarł, będąc rządcą w majątku Jaktory koło Radzyna. Tę funkcję przejął Mieczysław.

Drugie zdarzenia miało miejsce w 1936 roku, gdy Mieczysław zrezygnował z posady rządcy w majątku Lisice i postanowił otworzyć firmę z bratem Tadeuszem w Gdyni-Orłowie. Posadę rządcy tego majątku przejął młodszy brat Mieczysława, Henryk, który do tej pory był rządcą majątku Boglewice koło Grójca. Henryk krótko po podjęciu pracy w Lisicach źle się poczuł. Rozpoznanie choroby nastąpiło w lipcu 1937 roku, o czym napisał Stefan do Anetki w kartce pocztowej z dnia 2 lipca 1937 roku.



Rys. 31. Fotografia, na której stoją od lewej: NN, Dziunia i Henryk.

„Lisice 2/VII 37 r.

*Anidziu! Nie mam czasu na długie pisanie, a więc telegrafuję:*

- 1) *Heniek przyjechał ze szpitala i ja go odwożę do Gostynina za godzinę,*
- 2) *Doktor orzekł, że otwarta gruźlica,*
- 3) *Dziunia będzie się wyprowadzać, bo już byli w Lisicach rozpakowani,*
- 4) *Mietek będzie w Lisicach ze 2 tygodnie,*
- 5) *Heniek na razie nie chce rezygnować z posady.*

*Heniek humor ma, nawet dowcipkuje, ale mówi też o śmierci, pluje czasami krwią.*

*3-ecia, 2/VII 37 rok, w drodze do Gostynina. Proszę, podziel się wiadomościami z Tadeuszem i Adamem”.*

I kolejna wiadomość dla Anidzi:

*„Anidziu! Jestem w szpitalu w Gostyninie, w poniedziałek jadę do Warszawy, koło środy będę chciał wpaść do Lisic i może Mietka wyciągnę na święto morza. Posada w Lisicach wolna, ale Mietek nie chce zostać, pomimo że Baczyński chce go za wszelką cenę zatrzymać.. Dziunia dziś, albo jutro wyjeżdża z dziećmi do rodziny, do Aleksandrowa. B. przykra moja rola. Do widzenia Ci Anidziu, całuje rączki Stefan, rodzony szwagier. 3/VII 37 r.*

*Kazałem wrzucić żydowi w Gostyninie”.*

Ten polecenie wykonał, gdyż adresatka kartę pocztową otrzymała.

*„Otwock. dnia 6/VII 37.*

*Anidziu!*

*Ulokowałem Henryka w sanatorium miejskim. Stan jego lepszy, zdolny nawet do zupełnego wyleczenia. Według mnie, to o katastrofie nie ma mowy. Jutro jadę do Lisic.....*

*Do widzenia, całuję Cię Stefan”.*

Katastrofa jednak nastąpiła, choroba pokonała młody, silny organizm Henryka. Zmarł w najpiękniejszym miesiącu roku, w maju, gdy cała przyroda budzi się do życia. Zgon nastąpił 5 maja 1938 r., gdy miał 42 lata. Pochowany został w grobie rodzinnym na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

W archiwum rodzinnym Anny Bukowskiej zachował się również list Stefana, pisany do Mieczysława z rodziną, a informujący o chorobie i przedwczesnej śmierci Dziuni, która zmarła 31 lipca 1941 roku w wieku zaledwie 32 lat. Zdarzenia te przebiegały następująco:

*„Kochana Trójko Nasza !*

*(...) jak chyba wiecie, że 31/VII w szpitalu w Grójcu umarła Dziunia. Prawda, że nie chce się wierzyć. Dostała krostkę na twarzy, zbagatelizowała ją i mając gorączkę bańki sobie stawiać kazała. Kiedy było gorzej, posłali ją do doktora. Doktor dał zastrzyk i nie pozwolił dotykać (krostki). W między czasie umarł tam wójt, a ona chciała być na pogrzebie, zaczęła wyciskać, tym samym zakażenie więcej wcierać, co spowodowało większą gorączkę. Zawieźli ją do szpitala i w ciągu dwóch dni zmarła. 2/VIII pojechaliśmy do Grójca na pogrzeb. My, Wanda, Witoldowie, Tadek, a z Aleksandrowa obydwie siostry (Dziuni). Kiedy zajechaliśmy i zobaczyłem te dwoje dzieci płaczące nad Matką, nie mogłem panować nad sobą, załamywał się człowiek. Naprawdę wszyscy ludzie płakali nad tym przykrym obrazkiem...”*

Los okazał się okrutny dla potomków Henryka i Dziuni. Odebrał im oboje rodziców, gdy byli jeszcze małymi dziećmi. Całe życie było w tym czasie przed nimi, a najdroższe sercu słowa: „Mamo”, „Tato” możliwe do powiedzenia tylko szeptem, czy Oni je usłyszą? Przykry, aż do bólu, brak odpowiedzi z tamtej strony: „Dziecko Ty moje kochane!”.

W zbiorach archiwalnych Anny zachowała się również koperta z adresem do Henryka w Boglewicach, napisanym ręką Mieczysława, zawierająca zdjęcia z pogrzebu w 1936 roku, najmłodszego ich brata Zdzisława. Koperta ta, z zawartością, nigdy nie została wysłana. Po 73 latach od zaadresowania, koperta ze zdjęciami została przekazana synowi Henryka, Henrykowi, przez syna Mieczysława, czyli przeze mnie.





Rys. 32. Koperta adresowana do Henryka Bukowskiego.

**Uwagi Henryka Juniora do informacji zawartych w liście Stefana o śmierci Dziuni:**

„Mama moja była na pogrzebie wójta, bo opowiadała mi swoje wrażenia z tego pogrzebu. Mama leżała w szpitalu 4 dni, a cała choroba trwała 6 dni. U lekarza nie była, bo w Boglewicach takiego nie było. Myszka poszła do higienistki, która dała tabletki, a te, niestety, okazały się nieskuteczne”.

## Tadeusz (21.10.1899 – 10.05.1977)



Rys. 33. Tadeusz Bukowski.

Poniższe wspomnienie o Tadeuszu powstało na podstawie opowieści jego wnuka.

Tadeusz Bukowski urodził się 21 października 1899 w Głuchowie koło Grójca, w którym rządcą w latach 1896-1916 był jego ojciec Adam. Tam Tadeusz spędził dzieciństwo i młodość.

Nie wiemy za wiele o jego dzieciństwie, wychowywał się wśród licznego rodzeństwa, w raczej dość przeciętnej kondycji materialnej, dalej od tego, co moglibyśmy dzisiaj nazwać dostatkami, lecz mimo to wspomniane przez Tadeusza jako lata beztrudne, pełne zbijania bąków, a zwłaszcza wędkowania. Z tego okresu pochodzi często opowiadana historia o nieostrożnym wędkarzu, którego olbrzymi szczupak wciągnął w śmiertelne topiele Jeziora Głuchowskiego. Biorąc pod uwagę okoliczności, w których wyrastała cała rodzina, wydaje się rzeczą dość zdumiewającą, że większość rodzeństwa osiągnęła przyzwoity standard życia. Gdy miał dwadzieścia trzy lata oboje jego rodzice już nie żyli. Tadeusz zawiadomił proboszcza w Radzyminie o śmierci swego ojca. Proboszcz

w księdze parafialnej, pod pozycją 168, umieścił taką notatkę: "Szpital Radzymin d. 19 listopada 1922 r. o godzinie 2 po południu stawili się Tadeusz Bukowski 23 l. pomocnik gospodarczy z Jaktor, Bronisław Brzozowski 47 l. kościelny z Radzymina i oświadczyli, że w Szpitalu Radz. dnia wczorajszego o 4 po południu umarł Adam Bukowski 72 l. rządcą z Jaktor...".

W czasie wojny polsko-sowieckiej służył w wojsku, z książeczki wojskowej wynika że 19 grudnia 1918 roku zgłosił się jako ochotnik do Centrum Szkolenia Podoficerów w Warszawie, 20 stycznia 1919 był mianowany kapralem i przydzielony do szkoły podoficerskiej w Dęblinie, 23 września 1920 roku mianowany plutonowym, 5 stycznia 1922 roku bezterminowo urlopowany, 20 marca 1923 roku przeniesiony do rezerwy. Otrzymał medal pamiątkowy „za wojnę 1918-1921”. W rysopisie w książeczce zanotowano, że Tadeusz miał 166 cm wzrostu i ważył 57,5 kg.

Dane z okresu międzywojennego są raczej skąpe. Pewne jest, że pracował w tym czasie jako rządcą w Sierakówku w powiecie gostyńskim, w gminie Skrzany, tym samym, gdzie pod koniec XIX wieku tę funkcję sprawował jego ojciec Adam. Z książeczki wojskowej wynika, że później mieszkał w folwarku Jakłosa, gmina Małopole, powiat Radzymin, woj. warszawskie, a następnie w majątku Kalinowo, gmina Drozdowo, powiat



Rys. 34. Tadeusz Bukowski w trakcie służby wojskowej.

Łomża, woj. białostockie. Poniżej zdjęcie z prac w którymś z majątków, niepewne, czy dotyczy Tadeusza czy Mieczysława, oraz zdjęcie Tadeusza opatrzone na rewersie wpisem „Gostynin 1926”.



Rys. 35. Praca w majątku (prawdopodobnie fotografia dotyczy Tadeusza lub Mieczysława Bukowskich).



Rys. 36. Tadeusz Bukowski. Gostynin 1926 r.

W ciągu życia był przypisany do kolejnych Komend Uzupelnień – Warszawa, Kutno, Łomża, Gdynia. Z wpisów wynika, że w Gdyni był zameldowany od 1931 roku, a na pobyt stały od 1933 roku.

Tadeusz i Mieczysław otworzyli w Gdyni Orłowie przy ul. Wielkopolskiej 77 firmę handlową, którą prowadzili wspólnie do 24 czerwca 1939 roku. Mieczysław postanowił wrócić do rolnictwa i zaczął pracę jako administrator majątku Ktery. Firmę handlową w Gdyni Orłowie nadal prowadził Tadeusz, a zyskami dzielił się z Mieczysławem. Na tę okoliczność została sporządzona inwentaryzacja towarów w magazynie i umowa zawarta między braćmi. Umowa została podpisana do 1 lipca 1940 roku, ale wojna światowa wszystko pokrzyżowała.

Właścicielem w/w Sierakówka wraz z folwarkiem Techmany, Stanisławów, Marynow i Kleniew był około roku 1850 Bolesław Kleniewski. Później majątek ten przeszedł w ręce rodziny Wodzińskich, być może tam Tadeusz poznał swoją przyszłą żonę, krewną Wodzińskich, Halinę Czereyską herbu Zarembo (urodzoną 11 czerwca 1909 roku), pracującą w Gostyninie w laboratorium tamtejszego szpitala psychiatrycznego (ukończyła



wydział Chemii Uniwersytetu Poznańskiego). Tadeusz 26 grudnia 1938 roku ożenił się z Haliną. Na zdjęciach Halina w czasie studiów i młoda para niedługo po ślubie.



Rys. 38. Halina Czereyska w czasie studiów.



Rys. 37. Młoda para, Halina i Tadeusz Bukowscy, niedługo po ślubie.

Wedle relacji rodzinnych, kochali się i wzięli ślub, mimo oporu rodziców panny młodej. Są też relacje opisujące stosunek rodziców Haliny do małżeństwa jako przyjazny. Pewne jest, że z teściem miał Tadeusz dobre stosunki, z teściową nie zawsze zgodne i poprawne, co niewątpliwie rzutowało na atmosferę domu. Po ślubie zamieszkali w Gdyni Orłowie przy ul. Inżynierskiej.

Niedługo po rozpoczęciu wojny młode małżeństwo zostało wysiedlone przez Niemców z Gdyni. Do Gostynina dojechali furmanką konną, tu urodził się 28 lutego 1940 roku ich pierwszy syn. Później zamieszkali w Miechowie, w Generalnej Guberni. Zamieszkali u brata Haliny Ryszarda Czereyskiego. Halina udzielała tam korepetycji, Tadeusz zajmował się prawdopodobnie handlem. Poniżej zdjęcia z 1941 roku.



Rys. 39. Tadeusz Bukowski z żoną Haliną, synem i teściami, 1941 r.



Rys. 40. Tadeusz Bukowski z żoną Haliną i synem, 1941 r.

Z czasem wynajęli własne mieszkanie na Rynku 4 w Miechowie. W 1944 roku zmarł ojciec Haliny Józef, zachowały się zdjęcia z pogrzebu.

W 1945 roku wrócili towarowym pociągiem do Gdyni. Pociąg był zapchany, Tadeusz jechał na dachu wagonu. W Gdyni zamieszkali na ul. Wrocławskiej 63. W roku 1956 przenieśli się do domu na Goplany 3, będącym własnością Ryszarda Czereyskiego.

Tuż po wojnie razem z Mieczysławem ponownie uruchomili firmę handlową w Gdyni Orłowie. Firmę, ze względu na tradycje rolnicze, nazwali „ROLNIK”. Syn Tadeusza wspomina wielkie wybetonowane doły z lasowanym wapnem, które znajdowały się na terenie za magazynem. Magazyn stanowił ulubione miejsce zabaw syna Tadeusza i moje. Poniżej zdjęcie magazynu z lat czterdziestych.



Rys. 41. Magazyn firmy Rolnik w Gdyni-Orłowie, lata czterdzieste XX wieku.

Tę firmę prywatną zmuszeni byli zlikwidować w 1949 roku, w wyniku nękających akcji administracji komunistycznej, która wypowiedziała wojnę prywatnemu sektorowi. Magazyn przeszedł w dzierżawę P.S. „Społem”. W tym samym czasie przy ulicy Wielkopolskiej 30 Halina prowadziła dobrze prosperującą drogerię, którą także w wyniku wysokich podatków zmuszona była zamknąć. Przez następne dwa lata wykładała chemię w gimnazjum urszulanek w Gdyni, a później przez wiele lat była cenionym kierownikiem Laboratorium Zakładów Przetwórstwa Rybnego w Gdyni. Tadeusz podjął pracę jako księgowy, biuralista w Zakładach Mięśnych.

Dopiero za „wczesnego Gomułki” w spółce z Kuesterami, znaną mu od lat przemiłą spolszczoną pruską rodziną, przedwojennymi właścicielami Bodzanówka koło Włocławka, Tadeusz założył drogerię z farbami. Prowadził ją do początku lat 70 tych. Później przeszedł na emeryturę.

Jeszcze kiedy Tadeuszowie mieszkali na ul. Wrocławskiej 63 urodził się ich drugi syn, było to 20 listopada 1947 roku. Mieszkali tam razem z mamą Haliny – Janiną (urodzoną 12 lipca 1889 roku – zmarłą 9 października 1986 roku) całkowicie oddanej córce i pamięci męża Józefa, mającą niewątpliwie cechy dominujące, co nie zawsze było gwarancją ładu domowego, zwłaszcza przy wybuchowym temperamencie Tadeusza. Na następnej stronie zdjęcie Tadeusza z synami, zapewne z plaży w Orłowie około 1949 roku.





Rys. 42. Tadeusz z synami na plaży w Gdyni-Orłowie w 1949 r.

W relacjach wielu znajomych, Halina opisywana jest jako „przedobra”, łagodna, budząca dużą sympatię kobieta, nieco zdominowana przez mamę, często ustępującą dla świętego spokoju. Tadeusz w relacji synów opisywany jest jako małomówny, ożywiał się jednak w towarzystwie, snuł historie, był dowcipny i rzutki. Bywał impulsywny, temperamentny. Do dziś wspomniane są kłótnie polityczne Adama, Mieczysława i Tadeusza podczas nasłuchiwania radia BBC i radia Wolnej Europy. Często prowadziło to do wielomiesięcznych konfliktów, łagodzonych zwykle przez Mieczysława. Nie stronił od kieliszka, co zresztą przejęli jego synowie. Nigdy jednak synów nie strofował, chociaż nie używany „bizon” wisiał w korytarzu. Ogólnie mówiąc, nie wtrącał się do spraw wychowania synów. Był zapalonym wędkarzem, świetnym brydżystą, miał też żyłkę hazardową – jego starszy syn wspomina opowieści, że przed wojną brał 100 zł i jechał do Sopot do kasyna, jeśli miał ochotę grać dalej, wracał po kolejną setkę. Dbał o sprawność fizyczną i do końca życia był dobrze zbudowany, pływał do października w morzu, dużo spacerował. Świetnie jeździł konno. Był dobrym tancerzem, w młodości cieszył się dużym powodzeniem u kobiet. Z synami zbyt wiele nie rozmawiał, nie zajmował się specjalnie nimi, pozostawiając to żonie i teściowej, wyraźnych uczuć nigdy nie okazywał. Mimo to jego starszy syn pamięta liczne wyprawy na ryby. Jako pierwszy w Orłowie miał piłkę futbolową z napisem „Wembley” i rower – to był sposób Tadeusza na pokazanie zaangażowania, no i zapewne miłości. Podobne wspomnienia ma młodszy syn Tadeusza. W jego relacji tata był pracowity i wspomina, że często coś robił, znajdował sobie zajęcia. Wspomina go też jako snującego opowieści. Obaj mówią o czasie pod koniec życia ojca jako okresie dużego zbliżenia do niego. Starszy syn opowiada o wspólnym oglądaniu w telewizji, przy wódeczce, meczów reprezentacji Polski.

Halina zmarła 17 września 1966 roku, po wyczerpującej chorobie. Dwa lata później Tadeusz zawarł małżeństwo z Anetą, wdową po bracie Mieczysławie. Zamieszkał u niej na ul. Wrocławskiej 48 w Orłowie. Aneta wychwalała pod koniec życia łagodność Mieczysława, narzekając na choleryczność

Tadeusza. Zachowały się też pewne kobiece relacje opisujące Tadeusza pod koniec życia, jako bardzo przystojnego, świetnego tancerza, o dużym uroku osobistym.

Tadeusz zmarł 10 maja 1977 roku z powodu raka płuc (palił dużo do 50 roku życia). Został pochowany w grobowcu rodzinnym w Gdyni.



*Rys. 43. Fotografie przedstawiające Tadeusza Bukowskiego.*

## Witold (22.06.1904 – 14.08.1980)



Rys. 44. Witold Bukowski.

Historię życia Witolda przytaczam na podstawie wspomnień jego córek.

Witold urodził się w Głuchowie k. Grójca. Po ukończeniu szkoły powszechnej i gimnazjum klasycznego gdzie uczył się łaciny i greki, rozpoczął studia rolnicze w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował pod kierunkiem prof. dra Romana Prawocheńskiego specjalizując się w hodowli zwierząt. Dyplom uniwersytecki otrzymał w roku 1932. Przez cały okres studiów dorabiał pracując w jednej z burs krakowskich.

W 1934 roku podjął pracę w Warszawskiej Izbie Rolniczej w charakterze inspektora hodowli owiec. Pozostał na tym stanowisku do chwili wybuchu wojny w 1939 roku. W tym okresie zajmował się głównie uszlachetnianiem pogłowia owiec w gospodarstwach chłopskich, zwłaszcza w powiecie łowickim. Wprowadził na ten teren tryki rasy kent, które wpłynęły dodatnio na cechy wełny i pokroju u

owiec łowickich. Profesor Jełowicki, pod kierunkiem którego odbył praktykę specjalistyczną ocenił Witolda jako bardzo zdolnego selekcjonera, o dużej inicjatywie i ciekawych koncepcjach hodowlanych.



Rys. 45. Bracia: Witold i Mieczysław Bukowscy, Gdynia 1936 r.

Na rok przed wybuchem wojny, we wrześniu 1938 roku w Kościele Świętego Krzyża, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie odbył się ślub Witolda z Marią Dużewicz.

25 listopada 1939 roku przyszło na świat ich pierwsze dziecko, córka.

Za działalność zawodową w okresie międzywojennym Witold został wyróżniony dyplomem uznania za zasługi dla rozwoju krajowego owczarstwa, nadanym mu przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, które przywiązywało wtedy duże znaczenie do rozwoju tej gałęzi produkcji zwierzęcej. Natomiast za pracę społeczną otrzymał honorowe członkostwo gminy Rzeczyca w powiecie Rawa Mazowiecka.

W czasie okupacji niemieckiej działalność zawodowa Witolda związana była z powiatem siedleckim. W tym okresie również wstąpił do Armii Krajowej przyjmując pseudonim „Mazur”. Za ratowanie hodowli owiec na tym terenie otrzymał w roku 1944 honorowe członkostwo Związku Hodowców Owiec powiatu siedleckiego.

Pod koniec 1944 roku Witold został powołany na stanowisko inspektora hodowli owiec w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych. Po rocznej pracy w Ministerstwie na własną prośbę odszedł. Początkowo przeniósł się do Łodzi, a następnie na ziemie zachodnie, gdzie zajmował się osadnictwem, pełniąc obowiązki prezesa Zarządu Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Słupsku.

1 listopada 1946 roku w Słupsku przychodzi na świat syn Witolda i Marii.

Kolejny etap życia mocno doświadczył Witolda. W roku 1951 został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i po długotrwałym, dziewięciomiesięcznym śledztwie, podczas którego fizycznym i psychicznym dręczeniem próbowano zmusić go do przyznania się do przynależności do AK, skazany na dwa lata więzienia.

Małżeństwo z Marią rozpadło się i zakończyło rozwodem w roku 1954. Sąd przyznał opiekę nad dziećmi Witoldowi. Jego sytuacja była trudna nie tylko z powodów rodzinnych. Po wyjściu z więzienia z wilczym biletem początkowo nie mógł znaleźć pracy, w końcu dzięki życzliwości jednego z dawnych profesorów, Instytut Zootechniki w Krakowie zaangażował Witolda na stanowisko pracownika naukowo-badawczego w Zakładzie Doświadczalnym w Borowinie w Dziale Hodowli Owiec.

W 1953 roku Witold osiedlił się w Borowinie i na nowo zaczął budować życie. W lipcu 1955 roku ożenił się z Zofią Lisowską, lekarzem weterynarii z Puław. W sierpniu następnego roku urodziła im się córka, a rok później w grudniu druga córka.

Mieszkając w Puławach dojeżdżał do Borowiny, gdzie z pasją pracował nad wytworzeniem odmiany polskiej owcy długowłosej na podkładzie owcy łowickiej krzyżowanej z rasą teksel, a następnie kent. Długotrwała i konsekwentna praca hodowlano-selekcyjna doprowadziła do zamierzonego celu. Udało się wytworzyć owcę długowłosą o użytkowości wełnisto-mięsnej, dobrze umięśnioną, z dobrą produkcją wełny i odporną na warunki środowiskowe. Obok twórczej pracy nad owcą borowińską zajmował się Witold działalnością popularyzatorską, szkoleniową i społeczną. Hodowcy owiec na Lubelszczyźnie entuzjastycznie wspominali prowadzone przez niego wykłady, pogadanki i zajęcia szkoleniowe. Witold był mówcą kompetentnym, elokwentnym i bardzo dowcipnym.

Za aktywną i wszechstronną działalność w dziedzinie owczarstwa (członkostwo w Radzie Naukowo-Technicznej przy Ministrze Rolnictwa, współpraca z Instytutem Zootechniki, Stacją Oceny Run, Związkiem Hodowców Owiec, Wydziałem Rolnictwa i Leśnictwa PWRN w Lublinie, udziałem w różnego rodzaju selekcjach, aukcjach i pokazach) otrzymał w 1968 roku odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego, a w 1973 roku zespołową nagrodę II stopnia Ministerstwa Rolnictwa za wytworzenie owcy borowińskiej.

Na emeryturę odszedł w roku 1969, ale przez następne lata kontynuował pracę dla owczarstwa Lubelszczyzny współpracując z Wojewódzkim Związkiem Hodowców Owiec w Lublinie. Umarł w Puławach 14 sierpnia 1980 roku. Pochowany jest na Cmentarzu przy ul. Piaskowej.

Witold był wybitnym specjalistą w dziedzinie owczarstwa. Kochał owce, dbał o nie, wiedział o nich wszystko. Do Borowiny, gdzie pracował i gdzie miał mieszkanie służbowe zapraszał krewnych i przyjaciół. Przyjeżdżało się tam jak na letnisko. Córki wspominają, jak zabierał je czasem do biura, gdzie na szafach z dokumentami stały gipsowe figury różnych ras owiec. Ostrożnie, żeby nie potłuc, brały je w dłonie i gładziły twarde, zimne grzbiety. Chodziły też do owczarni oglądać nowonarodzone jagnięta, ale były w Borowinie również stajnie z końmi, obory i chlewy. Wielki, ciekawy świat zwierząt, który ojciec odkrywał przed swymi dziećmi.

Witold był człowiekiem o dużej kulturze humanistycznej. Interesował się sztuką i literaturą. W domu, w Puławach miał piękną biblioteczkę, w której było mnóstwo książek i albumów z malarstwem. Córki pamiętają, jak zakradały się do niej i z fascynacją oglądały kolorowe reprodukcje mistrzów malarstwa światowego. Przerazała je tańcząca Salome z głową Jana Chrzciciela na półmisku lub Saturn pożerający swe dzieci na jednym z obrazów Goi. Znały na pamięć dużo wierszy i już jako małe dzieci poznały Pana Tadeusza i Zosię i ochoczo „biegały” po tych „pagórkach leśnych i łąkach zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych”. Potem „zawitali” do ich domu Pan Wołodyjowski, Skrzetuski, Kmicic i Zagłoba. Znały ich wszystkie przygody, zanim same zaczęły czytać.

Witold bardzo dużo rozmawiał ze swoimi córkami. W czasach, gdy szkoła i media publiczne przekręcały historię Polski na modłę komunistyczną, Witold dbał o to, by jego dzieci znały prawdę. Wielu rodziców bało się mówić o Katyniu, o zbrodniach stalinowskich, o wyrokach na żołnierzach AK. Witold był inny. Mówił o tym głośno. Nigdy też, mimo wielu nacisków nie zapisał się do PZPR. Często natomiast opowiadał „partyjniakom” kawały wyśmiewające komunę i „bratni ZSRR”.

Witold był człowiekiem głęboko wierzącym. W mądry i inteligentny sposób przekazywał tę wiarę dzieciom. Rozmowy z Witoldem o Bogu i o religii dawały dużo do myślenia o wartościach, które są w życiu istotne. Był kochającym ojcem i dobrym człowiekiem. Troszczył się o ludzi w potrzebie i zawsze starał się pomóc.

Gdy wywołuje się jego postać z pamięci, nie sposób nie wspomnieć, jak bardzo przystojnym był mężczyzną. Był wspaniale zbudowany i miał piękne, bujne włosy, które zachował aż do śmierci. W towarzystwie zawsze lubił wodzić rej, był dowcipny, aczkolwiek potrafił być cięty. Grał świetnie w brydża i w szachy. Wybornie tańczył walca i tango, ale umiał też zatańczyć mazura i kujawiaka. Bardzo podobał się kobietom i miał świetny kontakt z małymi dziećmi i młodzieżą.

Oczywiście, nie był wolny od wad. Temperament miał wybuchowy i jak wielu Bukowskich bywał porywczy.

Witold bardzo ładnie rysował, pisał też poezje. Zaczął je pisać w więzieniu. Maltretowany przez ubowców szukał ucieczki we wspomnieniach domu rodzinnego oraz wcześniej utraconych Rodziców, których kochał i bardzo szanował.



## Zdzisław (1907 – 6.04.1936)



Zdzisław – najmłodsze dziecko Adama i Ignacji urodził się Głuchowie w 1907 roku. Tam spędził dzieciństwo i młodość, podobnie jak jego starsze rodzeństwo. Zdzisław stał się prekursorem nowych czasów w naszej rodzinie. Wychowany na wsi, pierwszy z męskiej linii zerwał z rolnictwem. Następne pokolenie Bukowskich z Głuchowa poszło jego śladami w tym sensie, że z rolnictwem się nie związało.

Zdzisław ukończył wyższe studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Dwóch najmłodszych braci, Witolda i Zdzisława, podczas ich studiów na uniwersytetach, finansowo wspierało starsze rodzeństwo. Podczas studiów Zdzisław ukończył też, zapewne, studium wojskowe, otrzymując stopień oficerski.

Rys. 46. Zdzisław Bukowski.



Rys. 47. Bracia Stefana na koniach, od lewej: Witold, Mieczysław, Zdzisław. Łęczna (majątek Józefa Bogusławskiego, w którym Mieczysław był rządcą w latach 1927-1934), 1929 rok.

Zdzisław, jako absolwent studiów prawniczych, złożył podanie o pracę w Sądzie w Gdyni. Podanie zostało pozytywnie rozpatrzone i ustalono, że pracę podejmie 7 kwietnia 1936 roku. Dzień wcześniej



Zdzisław przyjechał do Gdyni i zatrzymał się u brata Stefana. Następnego dnia rano poszła budzić Zdzisława, pracująca u Stefanów Jadwisia (Jadwiga Krawczyk). Na pukanie do drzwi pokoju, w którym zatrzymał się Zdzisław, nikt nie odpowiadał. Zaniepokojona tym Jadwisia obudziła Stefana, gdy ten wszedł do pokoju Zdzisława, z przerażeniem i niedowierzaniem stwierdził, że najmłodszy brat nie żyje. Przybyły lekarz określił, że śmierć nastąpiła nagle, wieczorem, nie dokończył jeść rozpoczętej pomarańczy.



Rys. 48. Pogrzeb Zdzisława, Gdynia, kwiecień, 1936 rok. Na trumnie rogatywka oficerska Zdzisława.

Zdzisław pochowany został w grobie rodzinnym, wówczas wykupionym, z możliwością w przyszłości pochowania 12 osób.

Zdzisław nie ożenił się. Z tym faktem łączy się tajemnicze zdarzenie. W 1982 roku, gdy już od roku przebywałem wraz z żoną w Afryce, do mieszkania mojej Matki Anny w Orłowie przyszła kobieta w wieku około 70 lat i powiedziała, że jest niedoszłą żoną Zdzisława, że jego nagła śmierć pokrzyżowała plany ślubu. Anna z Jadwisią wpuściły do mieszkania nieznaną i wywiązała się długa rozmowa. Obie były zaskoczone jej dobrą znajomością faktów związanych z rodziną Bukowskich. Nieznajoma zapewniała, że chce zbliżyć się do rodziny Bukowskich, nawiązać zerwane nici przez śmierć Zdzisława. Annę i Jadwisię zastanawiał fakt chęci zbliżenia się do rodziny po 46 latach. W czasie drugiej wizyty Anna nabrała poważnych obaw co do autentyczności tej kobiety i zdecydowanie zażądała opuszczenia mieszkania. Nigdy więcej nieznaną nie pojawiła się. Nigdy też nie dowiemy się, czy była to autentyczna narzeczona Zdzisława, czy oszustka chcąca wyciągnąć korzyści od dwóch starszych kobiet.

#### **Uwaga Marysi Sarnawskiej:**

*„Chciałam jeszcze nadmienić, że w życiorysie Zdzisława napisano, że Zdzisław nie ożenił się. Muszę temu zaprzeczyć, bo pamiętam, mając wtedy 15 lat, powrót mojej matki i cioci Feli z pogrzebu Zdzisława, które były bardzo poruszone faktem, że gdy Stefan opróżniał kieszeń marynarki Zdzisława między dokumentami znalazł akt ślubu Zdzisława. Nawet zawiadomiono o pogrzebie jego żonę i wzięła w nim udział. Na archiwalnych zdjęciach z pogrzebu Zdzisława, znajdujących się u Rafała, widać na zdjęciu za trumną kobietę w czerni z twarzą zakrytą woalką, prowadzoną przez dwóch braci Bukowskich, Adama i Witolda”.*

## 5. Sumariusz

Podsumowanie, rozdział dla tych, którzy nie mają czasu, albo ochoty na czytanie całości, a dla tych, którzy jednak przebrnęli czytając całość, streszczenie najważniejszych informacji.

Protoplastą naszego rodu jest Michał z Bukowca herbu Jastrzębiec, pierwszy dziedzic folwarku Bukowiec o powierzchni 320 hektarów na ziemi pobożańskiej północnego Mazowsza, żyjący na przełomie XIV i XV wieku.

Na przestrzeni wieków potomkowie jego stawali się właścicielami innych folwarków w tym rejonie. Pod koniec XVIII wieku posiadali części w 17 folwarkach.

Rodziny właścicieli folwarków były często wielodzietne. W celu uniknięcia dalszego podziału i tak już tylko części folwarku, gospodarkę po ojcu przejmował jeden syn, zwykle najstarszy. Tak się stało w rodzinie naszego przodka Tomasza urodzonego w 1697 roku. Po nim gospodarkę, w już tylko części Bukowca Małego, przejął starszy syn Jakub, młodszy Józef opuścił ojcowiznę w poszukiwaniu pracy. Znalazł ją w Łaniętach, w powiecie kutnowskim. On, jego syn i wnuk prowadzili tam hodowlę owiec, natomiast prawnuk, a nasz dziadek Adam, podjął pracę jako rządca w innych majątkach.

Potomkowie Adama i Ignacji z Młynarskich to Rodzeństwo z Głuchowa. Synowie ich: Adam, Stefan, Mieczysław, Henryk i Tadeusz byli też rządcami. Mieczysław awansował na administratora, kierując kluczem Łęczna w woj. lubelskim. Klucz Łęczna składał się z trzech folwarków o łącznej powierzchni blisko 3 tysięcy ha, a więc był większy od klucza Łanięta. Witold natomiast kontynuował tradycję swoich przodków i po ukończeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wydziału Rolnictwa, zajął się hodowlą owiec od strony naukowej i doprowadził do powstania nowej rasy.

Stefan wybił się na dziedzica i w latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych XX wieku był właścicielem majątku Banino koło Gdańska.

Druga wojna światowa oraz zmiany ustrojowe w Polsce po jej zakończeniu spowodowały, że związki naszej linii Bukowskich z rolnictwem, trwające kilka wieków, przez wiele pokoleń, skończyły się.

Potomkowie Rodzeństwa Bukowskich z Głuchowa żyją nadal, nie są już związani z rolnictwem, rozrzućeni po miastach nie tylko Polski, ale także za granicą, w Norwegii i Kanadzie.

Genealogia naszego rodu, którą Wam przekazuję, obejmuje osiemnaście pokoleń żyjących w ciągu minionych sześciuset lat.

Napisałem ją dla naszej o Nich pamięci.

Rafał

Kamień na Kaszubach, luty 2023 r.

## 6. Kopie dokumentów archiwalnych

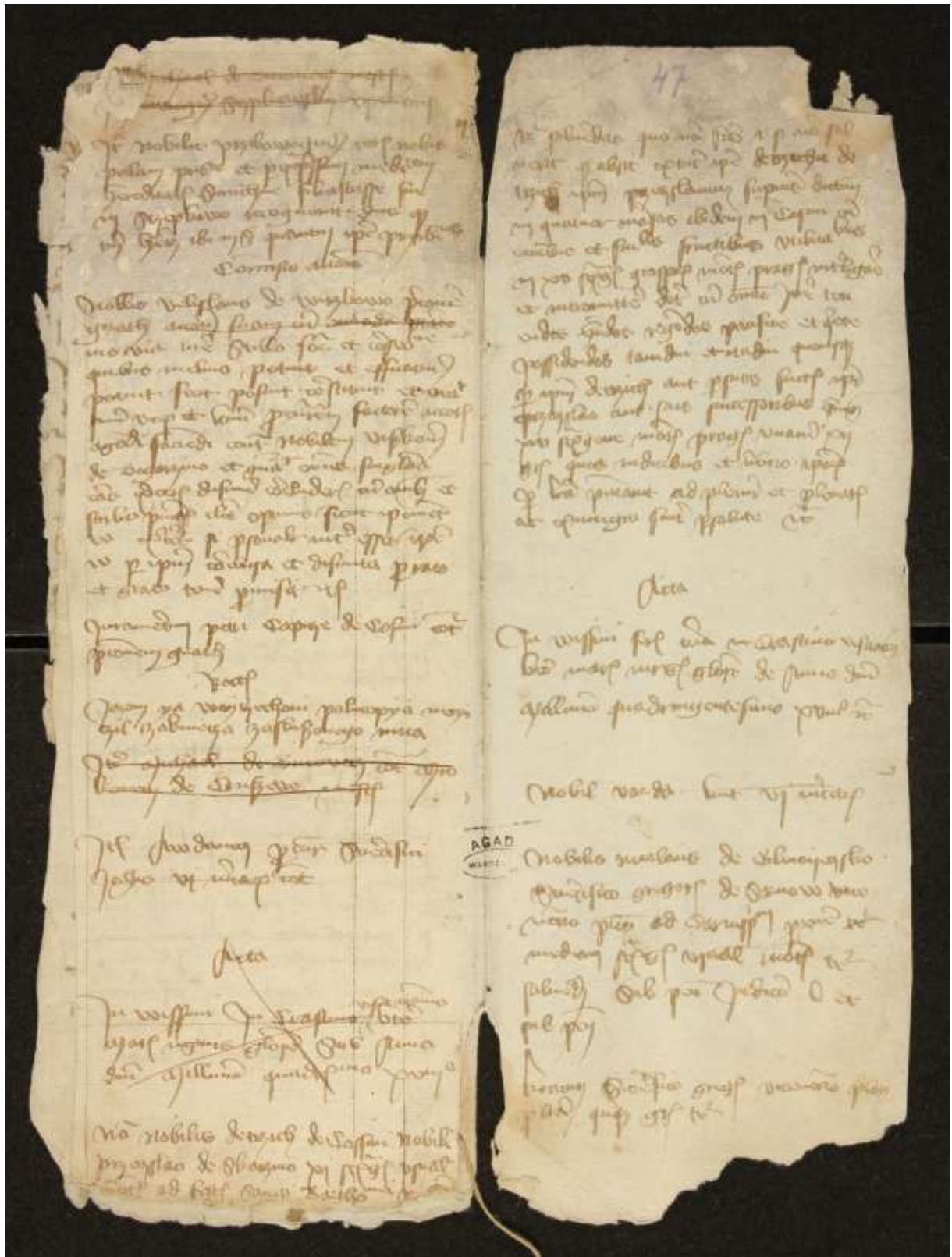
Kopie dokumentów włączonych do opracowania:

1. Kopia dokumentu dotyczącego Michała z Bukowca z 1418 r.
2. Kopia dokumentu dotyczącego zamiany gruntów z 1436 r.
3. Metryka urodzenia Tomasza z dnia 30 grudnia 1697 r.
4. Metryka ślubu Tomasza z dnia 13 maja 1725 r.
5. Metryka urodzenia Józefa z dnia 26 stycznia 1741 r.
6. Akt zgonu Józefa z dnia 30 października 1813 r.
7. Metryka urodzenia Franciszka z dnia 10 marca 1803 r.
8. Metryka urodzenia Szymona z dnia 10.10.1825 r.
9. Metryka urodzenia Adama z dnia 23.12.1851 r.

W opracowaniu genealogii korzystałem z następujących dokumentów, jakie udało mi się odnaleźć w archiwach, a których kopii nie załączyłem:

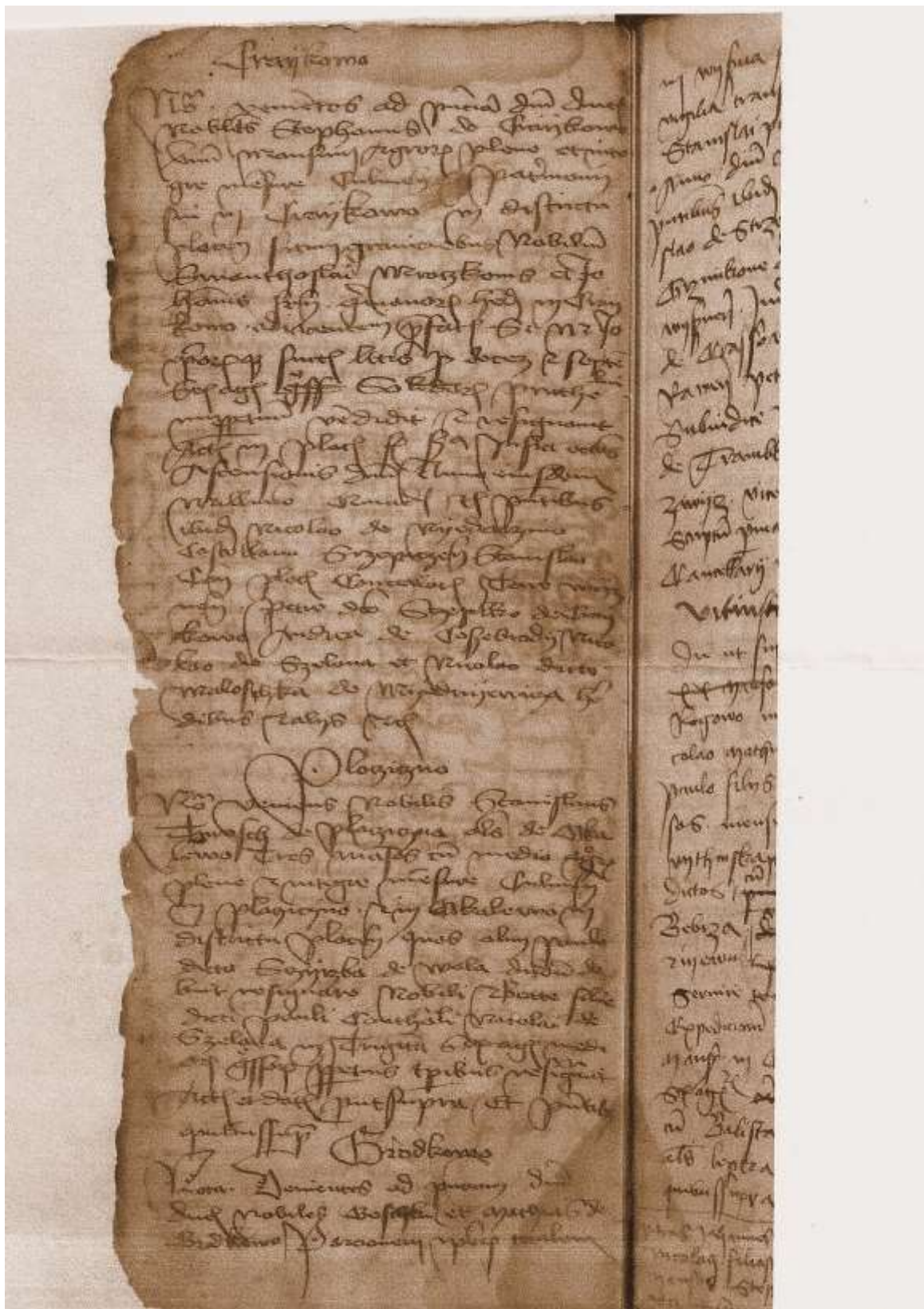
1. Akt ślubu Franciszka, akt nr 2, nr karty 27 w księdze ślubów parafii rz.-kat. w Łaniętach, rok 1822. Archiwum Państwowe w Łodzi.
2. Akt ślubu Franciszka z dnia 16.10.1824 r. księga ślubów parafii rz.-kat. w Łaniętach, rok 1822. Archiwum Państwowe w Łodzi.
3. Akt zgonu Jadwigi 1 v. Rutkowskiej, 2<sup>o</sup> v. Bukowskiej, 3<sup>o</sup> v. Goleniowskiej, akt nr 103 w księdze zmarłych parafii rz.-kat. Łanięta, rok 1834. Archiwum Państwowe w Łodzi.
4. Akt urodzenia Michała, akt nr 4 w księdze urodzin parafii rz.-kat. w Łaniętach, rok 1839. Archiwum Państwowe w Łodzi.
5. Akt ślubu Szymona, akt nr 21 w księdze ślubów parafii rz.-kat. w Kutnie, rok 1845. Archiwum Państwowe w Łodzi.
6. Akt ślubu Michała, akt nr 4 w księdze ślubów parafii rz.-kat. w Sokołowie, rok 1848. Archiwum Państwowe w Łodzi.
7. Akt urodzenia Wincentego Juliusza, akt nr 22 w księdze urodzin parafii rz.-kat. w Łaniętach, rok 1856. Archiwum Państwowe w Łodzi.
8. Metryka zgonu Michała, metryka nr 15 w księdze zgonów parafii rz.-kat. w Solcu, rok 1870. Archiwum Diecezjalne w Płocku.
9. Metryka urodzenia Mieczysława, metryka nr 308 w księdze urodzin parafii rz.-kat. Sokołów, rok 1894. Archiwum Diecezjalne w Płocku.
10. Akt zgonu Ignacji z Młynarskich Bukowskiej z dnia 26.06.1921 r. Urząd Stanu Cywilnego m. st. Warszawy.
11. Metryka zgonu Adama, metryka nr 168 w księdze zgonów parafii rz.-kat. w Radzyminie, rok 1922.

Akty urodzeń i zgonów z ksiąg parafii Łanięta z lat 1827- 1873 dotyczące Bukowskich zamieszczone w Internecie w wyniku digitalizacji ksiąg Archiwum Państwowego w Łodzi.



Rys. 49. Kopia dokumentu dotyczącego Michała z Bukowca z roku 1418.

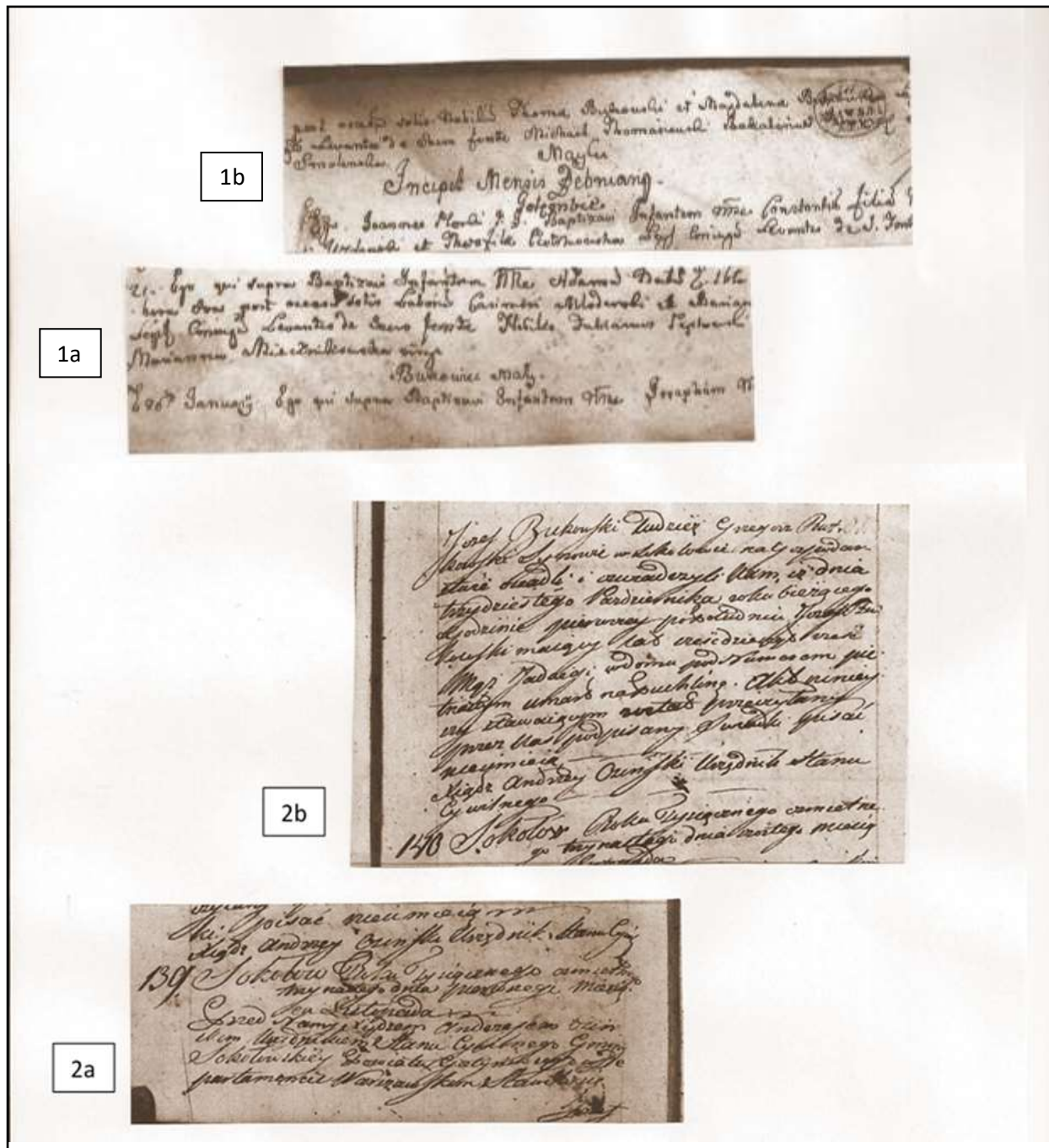




Rys. 50. Kopia dokumentu z 1436 roku dotyczącego zamiany gruntów pomiędzy właścicielem Bukowca Wierchosławem z synem Pawłem a Iwanem ze Szczepkowa.

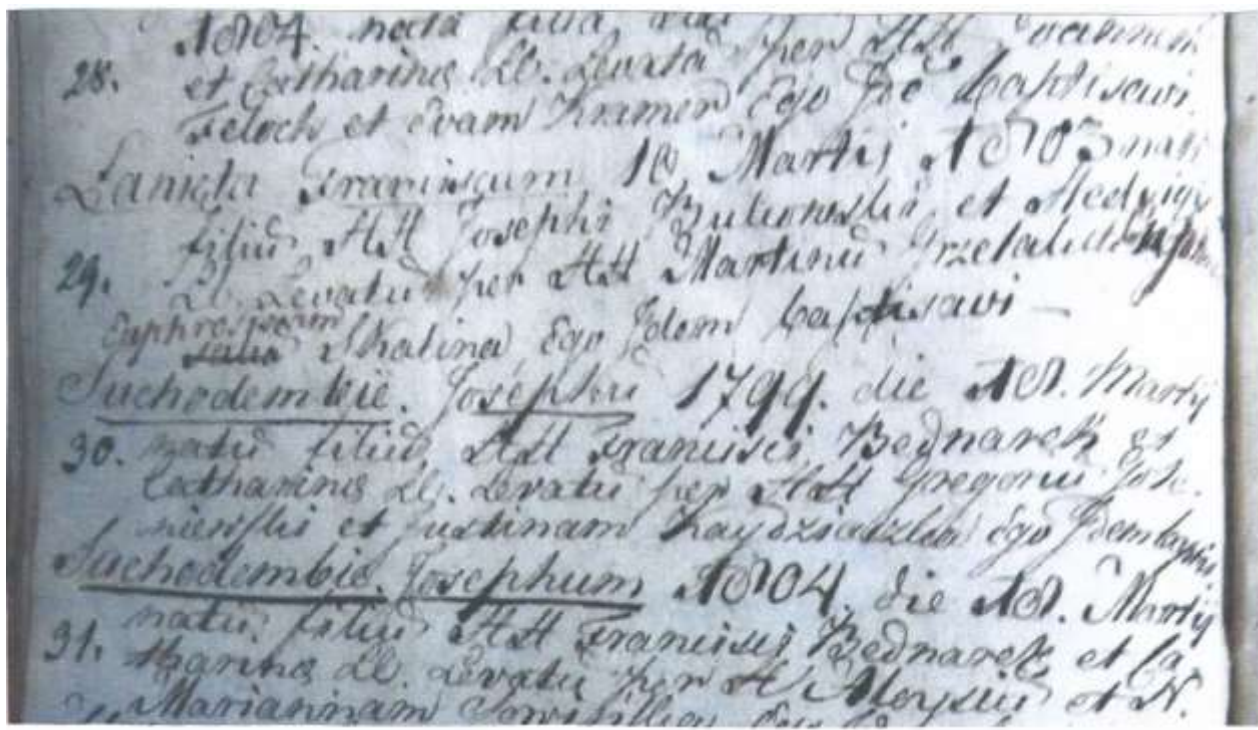






Rys. 53. Metryka urodzenia Józefa z dnia 26 stycznia 1741 r. (1a i 1b) i akt zgonu Józefa z dnia 30 października 1813 r. (2a i 2b).

Proszę zwrócić uwagę na fakt, że oba dokumenty mają podobny układ – każdy zaczyna się na dole poprzedniej strony księgi, a kończy na kolejnej górze strony, stąd pomocnicze oznaczenia.



Rys. 54. Najstarszy pisany dokument dotyczący Bukowskich z Lanięt: Metryka Chrztu Franciszka z 10 marca 1803 r.



Lipie Roku Cywilnego Dwudziestego  
 1825. ze piątego dnia miesiąca Października  
 O godzinie Dwudziestej zrana przy nam i Ko-  
 mendantem Residy Laniałku przybiciem Stanu  
 Cywilnego Gminy Łanichiny w powiecie Sto-  
 łecznem Województwie Małopolskiem Sto-  
 widzi, Franciszek Bukowski Dwostronny  
 Lipie kamizelki lat Dwadziestu siedem  
 laty i obok nam dwie pti Myszki  
 które urodziły się w domu pod numerem pięć,  
 w tym nadaniu dwudziestym Października ro-  
 ku bieżącego o godzinie Dwunastej w mojej ofi-  
 cynie i jest urodzone & Mięso i Jędrzy Co-  
 biazonny lat Czternastu miesięcy i ma  
 konki i te trytem i jest nadane mu imię  
 Szymon przybiciem powyższego ofiaru-  
 wa i obokania dwudziestu w przykrocie w Wo-  
 jewództwie Małopolskiem lat Czternastu  
 i walestego Janusza lat pięćdziesiąt i siedem  
 Stawowitów na Lipie kamizelki lat  
 osiemnastu urodzenia poproszaniem go przy-  
 czynem sami przybiciem go przybiciem  
 przybiciem  
 A. M. Bukowski M. C. L. 25

Rys. 55. Metryka urodzenia Szymona z dnia 10.10.1825 r.





## 7. Źródła archiwalne i bibliografia

### Archiwa:

#### Archiwum Diecezjalne w Płocku

##### Księgi metrykalne parafii Janowiec Kościelny.

Księgi urodzonych w latach	1685-1710
	1720-1762
	1753-1781
	1826-1846
Księga zaślubin w latach	1786-1798

Księga zgonów z lat	1798-1825
---------------------	-----------

##### Księga metrykalna parafii Sokołów.

Księga urodzonych w latach	1893-1901
Księgi zaślubionych w latach	1846-1865
	1866-1887
Księga zmarłych w latach	1866-1880

##### Księga metrykalna parafii Gostynin.

Księga urodzonych w latach	1819-1822
----------------------------	-----------

##### Księgi metrykalne parafii Grzebsk.

Księgi urodzonych w latach	1729-1799
	1799-1826

##### Kościół rz.-kat. Parafia Łanięta i Archiwum Państwowe w Łodzi.

Księgi urodzeń, małżeństw, zgonów w latach	1808-1865
	1866-1890

##### Archiwum Państwowe w Olsztynie

Akta urodzeń i zgonów parafii Grzebsk w latach 1817-1823 (sygnatury 895/8-895/17).

### Bibliografia:

Spis szlachty Królestwa Polskiego. Warszawa 1851 r.

„Regestr Diecezjów” ks. Czajkowskiego, czyli właściciele ziemscy w Koronie 1783-1784.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego. B. Chlebowskiego. Warszawa 1880-1902.

Herbarz Polski. Adam Boniecki Warszawa 1899-1917.

Rodzina. Herbarz szlachty polskiej. Seweryn Uruski. Warszawa 1904-1935.

Poradnik genealoga. Rafał Prinke. Warszawa 1992.

Herbarz Mazowiecki. Tom 1-2. Jerzy Łempicki. Poznań 1997.

Honor to nie tylko słowo – studium tożsamości kulturowej drobnej szlachty północnego Mazowsza.

Irena Kotowicz-Borowy. Pułtusk 2005.

## 8. Zjazd Rodzeństwa Bukowskich w 1935 r.

### *Album ze Zjazdu*

*w dniu 9-10 czerwca 1935 r.  
w Warszawie  
w holu hotelu Rzymskiego*



*Rys. 57. Fotografia, na której stoją od lewej: Zdzisław, Witold, Mieczysław, Henryk. Siedzą od lewej: Wanda, Adam, Tadeusz, Stanisława, Stefan, Felicja, Amelia.*

*Kochani! Upoważniony przez Waszą większość zgodnie z Waszą wolą wyjawioną w ankietach, niniejszym zwołuję*

*Zjazd  
Rodzeństwa Bukowskich*

*Nieodwołalnie na dzień 9 i 10 czerwca 1935 r. w Warszawie, hotel Rzymski*

(–) Stefan

Gdynia, dnia 23 maja 1935 r.

*Program ogólny.*

1. *Msza godz. 8,30-9.*
2. *Otwarcie zjazdu godz. 9,30 (otwierał przewodniczący Adam)*
3. *Mowa powitalna (Zdzisław)*
4. *Zatwierdzenie programu i porządku obrad.*
5. *Udanie się Wszystkich na grób Matki, gdzie wieniec złożył Henryk i Stefan (parę słów wspomnień wypowiedział Stefan)*
6. *Wyjazd Wszystkich do Radzimina, gdzie wieniec zawieźli Amelcia i Mietek (przy grobie parę słów wypowiedział Tadek)*
7. *Obiad wspólny*
8. *Posiedzenie*
9. *Kolacja wspólna.*

*Program poszczególny.*

1. *Otworzył posiedzenie zastępca przewodniczącego Stefan, który poprosił na sekretarza Witolda i skarbnika Stasię.*
2. *Referat o kasie samopomocy wypowiedział Witold.*
3. *Wybranie zarządu nastąpiło przez głosowanie.*
4. *Zamknięcie posiedzenia.*
5. *W drugim dniu wycieczka do Głuchowa. Prowadził Heniek, a także ułożył program.*
6. *Zatrzymanie się w naszym byłym domku.*
7. *Zbieranie wspomnień przez każdą generację oddzielnie.*
8. *Podzielenie się wspomnieniami, pożegnania i rozjazd, co było symbolem odlotu z gniazda rodzinnego.*

Zdjęcie rodzinne wykonane w Głuchowie, które nie zostało włączone do Albumu, a znajdowało się w zbiorach Anny Bukowskiej:



Rys. 58. Fotografia, na której od lewej stoją: N.N., Tadeusz, Mieczysław, Stefan, Henryk, Adam, Zdzisław. Siedzą: Wanda, ich dawna niania nieznanego imienia, Stanisława.

*Ku wiecznej rzeczy pamiętce, prosi i powierza się Witoldowi i Zdziškowi wypracować sprawozdanie ze zjazdu w artystycznym wykonaniu.*

- a) 11 egzemplarzy
- b) termin wykonania do dnia 9 sierpnia 35 r.
- c) doliczyć kosztę i wysłać każdemu za zaliczeniem
- d) wypracowanie poważne z uwzględnieniem stron humorystycznych.

(Komentarz autora: Opracowanie takie nie zostało wykonane.)

*Wyjątek z przemówienia Adama przy otwarciu Zjazdu:*

*Kochani!*

*Kiedy tę chatynkę w Głuchowie z nas każdy opuszczał, to chociaż zawczasu, nieraz twardym słowem był na to przygotowany, jednak z żalem i z ciśniętym sercem dom rodzinny żegnał (...) jako przewodniczący witam Was wszystkich serdecznie i dalsze prowadzenie oddaję w ręce Stefana, inicjatora i organizatora niniejszego zjazdu rodzinnego.*

*Mowę powitalną wygłosił Zdzisiek.*

*Przepiękne i moce słowa w doskonałą ujęte formę, przy tak bardzo miłym dźwięku Jego głosu, odtworzyły w całości siłę uczucia – radości i powagę chwili, aż do wyciśnięcia łez u wszystkich.*

*Było to naprawdę jedno z najpiękniejszych przemówień naszego zjazdu.*

*Z dalszych przemówień:*

*Henryk przemawiał w czasie obrad, zawarł w swej mowie dużo serca i swoistego humoru.*

*Witold wygłosił referat o kasie pomocy Rodzeństwa Bukowskich.*

*Wyjątek z przemówienia Tadka nad mogiłą Ojca:*

*Kochani,*

*Zebraliśmy się tu Wszyscy po wielu latach nad grobem ś. p. Ojca naszego, aby Jego szczątkom doczesnym złożyć hołd (...)*

*Stojąc tu, nabierzmy sił i otuchy do dalszej pracy, bo On stamtąd – z zaświatów nas widzi. Dewizą naszą niech będzie przejście przez życie uczciwie i z honorem, aby kiedyś, gdy przyjdzie nam się meldować nie powstydzil się nas i pod swoje skrzydła Ojcowskie na powrót przytulił.*

*Wyjątek z przemówienia Stefana nad mogiłą Matki:*

*(...) stoimy tu już naznaczeni twardym życia tego czasem, poważnieni drobnostkami, które wraz z przestrzenią dzielą nas, jesteśmy nierówni, starsi i młodsi, silniejsi i słabsi. Tu, przy tej mogile jest nam znowu dobrze, jesteśmy dziećmi, którym ten wyraz Matka, najbogatszy w słowniku, stał się już tylko symbolem. Jednak kiedy myśli nasze odbiegną od szarych trosk życia tego, chętnie wracamy do swoich dzieciennych lat i jest nam wtedy lepiej, choć miękko na duszy, bo miłość Matki znajduje się między nami i jest łącznikiem naszym duchowym tak silnym, jakim nam go przekazała. A gdyby mogła nas tu zobaczyć, to płakała by z radości, że jesteśmy wszyscy i przy niej. Zginając kolana złączmy myśli swoje z Jej myślami, które może błędzą między nami.*





Rys. 59. Amelka i Mietek niosą wieniec na grób Ojca.



Rys. 60. Przemówienie Tadka nad grobem Ojca.



Rys. 61. Heniek i Stefan niosą wieniec na grób Matki.



Rys. 63. Heniek i Stefan niosą wieniec na grób Matki.



Rys. 62. Grób Matki (synowie Henryk i Stefan).



## **9. Kasa Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich**

Idea powołania do życia Kasy zrodziła się na zjeździe Rodzeństwa Bukowskich w 1935 roku. Kasa funkcjonowała do czerwca 1937 roku. Dnia 23 czerwca 1937 r. została przekształcona we Wspólnotę Rodziny Bukowskich. Wojna przerwała działalność Wspólnoty. Po wojnie nie została ona reaktywowana, zabrakło jej prezesa Stefana, który zmarł w 1943 roku.

W archiwum Anny Bukowskiej zachowało się kilka dokumentów związanych z Kasą i Wspólnotą. Do niniejszego opracowania wybrałem trzy, które najlepiej świadczą o ich celach i działalności:

1. Sprawozdanie Zarządu Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich,
2. Rozliczenie Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich,
3. Statut „Wspólnoty” Rodziny Bukowskich.

S p r a w o z d a n i e

Zarządu Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich.

\*\*\*\*\*

Na pamiętnym zjeździe w roku 1935. wyłoniła się myśl, aby stworzyć coś, co byłoby łącznikiem między nami. Na zebraniu też zaraz powołano do życia instytucję pod nazwą "Kasa Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich", opracowano statut, wybrano Zarząd.

Błędem dużym było może Zarządu, że trzymał się ściśle możliwie statutu, który więcej mówił o Kasie Samopomocy, tensamem o tworzeniu rezerw, którymi możnaby było rozporządzać, a mniej o wspólnocie myśli itd. Nie więc dziwnego, że obrawszy taki kierunek, a chcąc się wykazać rezultatem pracy, usiłował tworzyć rezerwy, tworzyć kapitał, którym możnaby naprawdę bez uszczerbku tak jednych kieszeni, a drugiej ambicji nieść pomoc, a tensamem serce między rodzinę.

Zarząd wierzył w swoje siły, miał nawet ambicję, że zdąży za czasu swojej kadencji stworzyć małą jaką dochodową placówkę i gdyby nie siły wyższe, które popsuły szyki, bowiem śmierć Zdzisia, największego zwolennika wspólnoty, który jako ostatni dokument-papier w swych rękach to miał dowody i pisma kasy naszej, możeby dziś Zarząd mógł się czemś więcej wykazać. Śmierć Zdzisia była za mocnym ciosem na słabą, dopieroco stworzoną, niezasebną ani w zakładowy kapitał, ani w doświadczenie naszą organizację.

Rys. 64. Sprawozdanie Zarządu Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich (str. 1).

Nie znalazła się na wysokości zadania, cios ten zażądał Zarząd, który nie umiał znaleźć dróg, które nie podszarpnęłyby jego władzy i autorytetu samego związku. Członkowie niektórzy, widząc słabość Zarządu, małe jego zdecydowanie, ośmieszyli go i poniekąd i siebie. Od tego czasu zaczął się jakby upadek naszej spójni. Niektórzy wykorzystali sytuację i w pierwszym rzędzie nie płacili składek, a usiłowali nakłaniać Zarząd do zapomóg i pożyczek. Zarząd miał trudne zadanie, musiał zejść z obranego przez siebie kierunku i słabą przez niepłacenie składek kasę jeszcze osłabił. Nie poprawiło to stanowiska Zarządu, a pomniejszyło jeszcze jego działalność.

A jednak muszę stwierdzić, że Zarząd coś działał.

1/ Udzielił zapomóg na sumę zł. 1.170.-, a oprócz tego pozostawił do dyspozycji Walnego Zebrania zł. 1.260.-.

Największą jego zasługą jest to, że nie pozwolił upaść związkowi, mimo piętrzących się trudności.

2/ Zlikwidował sprawę rzeczy po Zdzisiu.

3/ Utrzymywał w porządku grób Zdzisia.

4/ Dawał na Msze św.

5/ Odbył cztery zebrania.

6/ Wysłał 89 listów, odebrał 10 listów, przedkłada całą korespondencję swoją i otrzymaną.

7/ Sporządził i rozesłał albumy pamiątkowe.

8/ Opracował nowy statut.

Zarząd serdecznie dziękuje tym, którzy popierali go w jego trudnej pracy, a my mamy zadowolenie, że wypełniliśmy, chociaż w szczupłych granicach polecenia członków i wytrwa-  
liśmy na zaszczytnym posterunku, na którym nas postawiliście. Przepraszamy tych, którym sprawiliśmy przykreść, jak i tych, których nie potrafiliśmy zrozumieć i prosimy o absoluterjum.

Gdynia, dnia 13. czerwca 1937r.

Rys. 65. Sprawozdanie Zarządu Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich (str.2).





## S t a t u t

### „Wspólnoty” Rodziny Bukowskich.

#### I.

Związek nosi nazwę „Wspólnota Rodziny Bukowskich”. Siedzibą „Wspólnoty” jest miejsce zamieszkania każdorazowego prezesa.

#### II.

##### C e l e ,

leżą w gromadzeniu wspólnej kasy, myśli, projektów, miłości, aby, nagromadziwszy te wartości, można je nieść między członków, dotkniętych przez życie. Przedstawicielem i łącznikiem rodziny jest każdorazowy prezes; tam gdzie zajdzie potrzeba, będzie i musi ją reprezentować.

#### III.

##### F u n d u s z e .

Na fundusze „Wspólnoty” składają się składki miesięczne, darowizny itd.

#### IV

##### S k ł a d k i .

Składka członkowska wynosi najmniej 3,-zł. miesięcznie. Płatna jest do 5. tego każdego miesiąca, po terminie, 10 gr. kary, za każdy dzień zwłoki na ręce prezesa.

W razie ciężkiego położenia członka, składka na wniosek tegoż, może być przez Zarząd obniżona, Całkowicie jednak nie może być skreślona. Niepłacenie składek przez trzy miesiące powoduje automatyczne zawieszenie członka w czynnościach.

#### V.

##### C z ł o n k o w i e .

Członkiem może być każdy z członków założycieli byłej Kasy Samopomocy, o ile wykaże się, że zapłacił zaległe składki.

Do „Wspólnoty” należeć mogą także mężowie i żony członków rodziny Bukowskich, a w przyszłości ich dzieci. O przyjęciu decyduje Zarząd. Będzie ono nosiło cechy trudności przez gwarantowane do wypełnienia nałożonych obowiązków.

Prezes jest moc zawiesić członka na czas swojej kadencji. Odwołać się można do Zarządu, a apelować do zebrania. Nie zwalnia to jednak od obowiązku płacenia składek. Płacenie składek jest ścisłym obowiązkiem wobec „Wspólnoty” i nija o legitymacją ze strony finansowej.

./.

Pozatem prezes, w/g uznania, będzie zbierał po rodzinie dla biednych członków tejże. Będzie on tym "Boduenem" rodziny. Obowiązkiem każdego człowieka - pomóc mu w tem choćby nawet tylko dobrą radą. Skoro się jednak członek już zobowiąże, musi bezwzględnie dotrzymać przyrzeczenia, gdyż inaczej wyładzi krzywdę i temu, który nie otrzymał wsparcia, na które liczył i prezesowi, który nie może się wywiązać.

Tendencją "Wspólnoty" jest wzajemna pomoc tak duchowa jak i finansowa. Obowiązkiem zasadniczym jest tylko skłauka miesięczna, reszta zależy już tylko od dobrego serca i woli członka.

#### VI.

##### W i a d z e.

Na czele "Wspólnoty" stoi Zarząd, wybrany przez Walne Zebranie na jeden rok. W skład Zarządu wchodzi prezes-skarbnik i zastępca jego sekretarz.

##### P r e z e s.

Prezes jako głowa "Wspólnoty" winien zajmować wszędzie pierwsze miejsce i w sprawach "Wspólnoty" ma decydujący głos. Tytułuje się "Kochany Nasz Prezes". Prezes składa przyrzeczenie, że przepisów i dobra związku ponad jednostki przestępować będzie.

Prezes rozperządza kasą, lecz tylko do wysokości uchwalonego na jego kadencję budżetu. Rezerwy gotówkowe ruszyć może w pilnej sprawie za zgodą Zarządu, w przeciwnym razie za zgodą zebrania.

Z działalności swojej zdaje prezes sprawę na Walnym Zebraniu oraz przekazuje władzę wraz z dokumentami i kasą swemu następcy, o ile nie wybrano go na nowo.

##### Z e b r a n i e.

zwołuje prezes sam lub na wniosek członków.

##### W a l n e Z e b r a n i e

zwołuje prezes przy końcu swojej kadencji i powinno się ono odbyć w tydzień przed lub po 9. czerwca.

W głosowaniu prezes ma trzy głosy, każdy z byłych członków=założycieli Kasy Samopomocy dwa, a nowy członek jeden głos.

Na wniosek Zarządu lub większości członków, prezes zwołuje Nadzwyczajne Walne Zebranie.

## **10. Zjazd Potomków Rodzeństwa Bukowskich w dniach 18 i 19 września 2010 r. w Konstancinie**

w 75 rocznicę Zjazdu Rodzeństwa Bukowskich,  
który odbył się  
w 1935 r. w Warszawie

Poniższa informacja o Zjeździe Rodzeństwa Bukowskich opracowana została przez Marię Sarnawską.

Inicjatorem zjazdu potomków rodzeństwa Bukowskich z Głuchowa był Rafał Bukowski, syn Mieczysława.

Organizacją zjazdu zajęli się: córki Witolda oraz Rafał Bukowski.

Zjazd odbył się w Konstancinie koło Warszawy.



*Rys. 69. Miejsce zjazdu w Konstancinie.*

Udział w zjeździe wzięło 17 osób, w tym 13 potomków rodzeństwa Bukowskich.

Potomkowie rodzeństwa Bukowskich, którzy zmarli w okresie pomiędzy Zjazdem w 1935 r. a 2010 r.:

		rok zgonu	
1.	Kołodziejski Maciej	1941 r.	syn Wandy
2.	Bukowski Jacek	1944 r.	syn Stefana
3.	Janowski Jerzy	1958 r.?	syn Stasi
4.	Kwiatkowska Maria	1973 r.	córka Feli
5.	Kułakowska Krystyna	1986 r.	córka Feli
6.	Bukowski Wojtek	2001 r.	syn Witolda
7.	Kowalczyk Teresa	2008 r.	córka Wandy
8.	Emler Danuta	2008 r.	córka Adama
9.	Kułakowski Maciej	2009 r.	wnuk Feli



Rys. 70. Powitanie rodziny na wspólnej kolacji 18.09.2010 r.

#### PROGRAM ZJAZDU:

18 września 2010 r.

1. spotkanie uczestników w Konstancinie,
2. o godzinie 18.00 Msza Święta w miejscowym kościele za dusze zmarłych z rodziny Bukowskich,
3. od godziny 19-tej wspólna kolacja dla 17 osób wydana przez córkę Witolda z mężem,
4. po 23-ciej udanie się na spoczynek. Pięć osób nocowało w Konstancinie, sześć osób w odległym o 700 m pensjonacie, pozostali na noc wrócili do domu.



19 września 2010 r.

1. rano wspólne śniadanie w Konstancinie. Było na nim 18 osób, bo dołączył mąż córki Witolda,
2. w południe wyjazd samochodami na cmentarz do Radzymina,
3. około godziny 14-tej złożenie wieńca na grobie dziadka Adama Bukowskiego,
4. przed godziną 15-tą ogólne pożegnanie i wyjazd do miejsc zamieszkania.

Trzeba podkreślić, że sam zjazd był pomysłem i zasługą, a zarazem ukoronowaniem pracy Rafała.

Rafał bowiem odnalazł na cmentarzu w Radzyminie zapomniany grób z 1922 roku naszego dziadka Adama Bukowskiego. Zajął się remontem grobu. Zaprojektował grób tak, że widoczny jest wielki kamień z oryginalnym napisem, a na przygotowanej podstawie z granitowych płyt umieszczone są symboliczne tablice naszej babki Ignacji Bukowskiej z Młynarskich oraz ich syna Stefana Bukowskiego. Byli oni oboje pochowani na Powązkach, ale mimo kilkakrotnych poszukiwań grobu w ostatnich latach, nie udało się go odnaleźć.

Rafał pokrył wszystkie koszty związane z pracami kamieniarskimi, a płyty granitowe przywiózł z Kaszub. Grób został wykończony w maju 2010 r.

Grób został w maju 2007 roku opłacony na 20 lat przez Rafała i wnuków w prostej linii Adama Bukowskiego. W czasie zjazdu Rafał przekazał dokumenty związane z tym grobem wnukowi Tadeusza z nadzieją, że grób ten nie będzie zapomniany.

Rafał także własnym kosztem wydał opracowanie p.t. "Bukowscy z Głuchowa", które zawiera materiały dotyczące pochodzenia rodziny. Wiele czasu i trudu poświęcił jeżdżąc po licznych parafiach i archiwach, przeglądając tomy akt, by trafić na ślad rodu Bukowskich. Z zebranych materiałów opracował drzewo genealogiczne rodu Bukowskich od 1700 r.

Zwrócił się również do dzieci rodzeństwa Bukowskich o napisanie życiorysów swoich rodziców z rodu Bukowskich, które zostały włączone do opracowania. Za Twój Rafale trud oraz Joli pomoc w tej pracy dziękujemy z całego serca.

Z przykrością trzeba stwierdzić, że nie wszyscy spełnili Rafała prośbę. Ja napisałam o swojej mamie Amelii i kilka uwag o stryju Mieczysławie. O Witoldzie napisały jego córki. O Tadeuszu napisał jego wnuk. Mam nadzieję, że uzupełnią ten brak pozostali, czyli potomkowie naszych ciotek: Stachy, Feli i Wandy – by żyli w naszej pamięci wszyscy!

Podziękowanie należy się również córce Witolda i jej mężowi za zorganizowanie zjazdu w Konstancinie koło Warszawy.

Atmosfera spotkania była miła – dała możliwość poznania i rozmów z osobami, o których słyszało się tylko z opowiadań. Myślę, że powstała pewna integracja rodziny dzięki temu zjazdowi. Należy tylko nadal podtrzymywać kontakty, mimo że mieszkamy od siebie w dużych odległościach.

Dziękujemy także córkom Witolda za załatwienie i opłacenie Mszy św.

Myślę, że będzie można włączyć materiał dotyczący tego zjazdu do opracowanej przez Rafała z Jolą kroniki Bukowskich.



Rys. 71. Nagrobek Adama Bukowskiego, Ignacji z Młynarskich Bukowskiej i Stefana Bukowskiego.

**Adam Bukowski**

**Ur. 23.XII.1850\***

**Zm. 18.XI.1922 r.**

Na symbolicznych płytach są napisy:

Babci:

**Ignacja z Młynarskich Bukowska**

**1867-1921**

Stryja Stefana:

**Stefan Bukowski**

**1889-1943**

\*w księdze metrykalnej znajdującej się w parafii Łanięta koło Gostynina data urodzenia dziadka: 23.XII.1851 r.



Rys. 72. Potomkowie rodzeństwa Bukowskich przy grobie dziadka. Radzymin, 19.09.2010 r.

Edycja sprawozdania ze Zjazdu Potomków Rodzeństwa Bukowskich: Jolanta i Rafał Bukowscy  
Wykorzystane zdjęcia autorstwa T. Bukowskiego i A. Bukowskiego  
Sopot, maj 2011 r.



*Rys. 73. Pajęczyna w obiektywie Rafała Bukowskiego.*

## **Część druga**

**Maria Sarnawska**  
**Wspomnienia z wakacji w Baninie**

**Warszawa, kwiecień 1998 r.**



## 1. Wprowadzenie



Rys. 74. Autorka wspomnień, Maria Sarnawska. Portret z roku 1998.

Nazywam się Maria Sarnawska, jestem córką Franciszka i Amelii Korzeniowskich.

Mam 78 lat i piszę wspomnienia z okresu dzieciństwa, na prośbę mojej najmłodszej siostrzenicy Agaty Kossek.

Czy moja pamięć jest tak żywa, a pióro dość sprawne, by oddać atmosferę wakacji, spędzanych w Baninie, w latach 1925-1931. Okres ten chcę, bowiem zamknąć w moich wspomnieniach. Byłam wtedy dzieckiem i nie pisałam pamiętnika, co w znacznej mierze ułatwiłoby mi teraz bardziej szczegółowe opisanie moich dziecięcych przeżyć i doznań.

Chciałabym oddać atmosferę panującą w tym czasie w Baninie oraz opisać osoby przewijające się przez dom, począwszy od mojego wuja Stefana Bukowskiego i jego żony Maryśki z domu Śmitkowskiej, przez licznych członków rodziny: siostry i braci Bukowskich oraz ich dzieci, do których ja należałam.

## 2. Pierwszy pobyt w Baninie

Pamiętam mój pierwszy pobyt w Baninie, który był wynikiem dość wyjątkowej sytuacji materialnej moich rodziców. W skutek tzw. Reformy Grabskiego stracili oni cały majątek. Na domiar złego moja matka musiała poddać się operacji usunięcia kamieni żółciowych i w tym czasie przebywała w klinice w Poznaniu, gdzie była operowana przez prof. Jurasza. Wszystko szczęśliwie się skończyło i mama powróciła do zdrowia. Pamiętam, z jakim zainteresowaniem wszyscy oglądali usunięte kamienie, które mama przechowywała w owalnym pudełeczku wyścielonym watą.

Mój ojciec nie miał w tym czasie pracy ani środków do życia, bo inflacja była tak duża, że pieniądze uzyskane ze sprzedaży folwarku i wpłacone jako zadatek na konto następnego majątku zostały mu zwrócone. I ta transakcja z powodu inflacji nie doszła do skutku. Pieniądze te (marki) nadawały się do wytapetowania ubikacji, jak wtedy mówiono. W tej sytuacji wuj Stefan ofiarował memu ojcu pomoc, zatrudniając go jako rządcę w Baninie. Posadę tę ojciec przyjął warunkowo do czasu znalezienia intratniejszego zajęcia. W związku z tymi wydarzeniami musiano ze mną coś zrobić.

Miałam wtedy 5 lat i zostałam z ojcem w Baninie. Żona wuja Stefana, która się mną opiekowała, nie wykazywała specjalnego instynktu macierzyńskiego. Dom duży, sami dorośli i ja – dziecko. Znalazła jednak rozwiązanie, by zapewnić mi towarzystwo do zabawy. Właściciel sąsiedniego majątku Niemiec, Herr Lipke, miał synka trochę młodszego ode mnie. Mały Lipke był jedynakiem. Opiekowała się nim Niemka Fräulein. Moja ciotka zadzwoniła do Frau Lipke i zaprosiła Puczego (tak zdrobniale go nazywano) do nas. Ja i Pucze bawiliśmy się, a ciotka w tym czasie rozmawiała z Fräulein. Już nie pamiętam, w co się bawiliśmy, ale pamiętam, że wcale nam nie przeszkadzało, że on mówi po niemiecku, a ja po polsku.

Aza dobermanica, która swobodnie biegała po parku, miała dziwną awersję do Puczego. Jak tylko usłyszała, że furka skrzypnęła i do parku wchodził Pucze, podbiegała i przednimi łapami wskakiwała mu na ramiona. Nie gryzła go ani nie warczała, ale mały był wystraszony i bał się psa. By uniknąć spotkania z Azą przed przyjściem do nas dzwonił do ciotki i pytał: „Tante Koski (skrót od Bukowski), Aza ist angebunden?” – Co znaczyło: „Ciociu Koski czy Aza jest uwiązana?”. „Ja, Puczi, Aza ist angebunden” – odpowiadała ciotka. Po odłożeniu słuchawki wzywała pokojówkę, której nakazywała uwiązać Azę.

Raz pamiętam, zostałam zaproszona do Puczego. Zaprowadziła mnie tam pokojówka. Pokój, w którym się bawiliśmy był ciemny i nie było w nim mebli. W kącie, na kupie leżały zabawki. Po jakimś czasie pojawiła się Fräulein przynosząc leguminę i postawiła salaterki na oknie. Zabraliśmy się ochoczo do jedzenia. Zaskoczyło mnie dziwne zachowanie Puczego, który łapał tłukące się po szybie muchy i zjadał je pomiędzy kolejnymi łyżkami leguminy. Patrzyłam na to z obrzydzeniem i zdumieniem. Gdy wróciła Fräulein, żeby zabrać puste salaterki, powiedziałam jej o tym. Odpowiedziała spokojnie, że on tak czasem robi. Państwo Lipke wkrótce sprzedali majątek, a nowymi właścicielami byli też Niemcy.

W Baninie przebywałam do chwili powrotu do zdrowia mojej mamy. Mieszkała wtedy w Warszawie, u swojej siostry Wandy. Tego lata wakacje w Baninie spędzał najmłodszy z rodzeństwa Bukowskich, wuj Zdzisław, który wracając do Warszawy – na prośbę mojej mamy – zabrał mnie ze sobą. Nie było to moje pożegnanie z Baninem na zawsze. Wracałam do niego co rok w czasie wakacji w towarzystwie moich sióstr ciotecznych: Krysi i Malify Kwiatkowskich, córek cioci Feli – babki Agaty.

### 3. Życie codzienne w majątku

Wraz z nadejściem wakacji wuj Stefan wysyłał listy z zaproszeniami do członków rodziny, szczególnie do tych, którzy posiadali dzieci. Zaproszenia takie otrzymywały siostry wuja: ciotki Fela i Wanda oraz moja mama; wszystkie trzy, bowiem miały dzieci. Z kolei żona wuja Maryśka zapraszała swoją rodzinę – bratową z trojgiem dzieci i siostrę Irenę wraz z mężem. Często w Baninie bywali najmłodszy bracia wuja, obaj studenci – Witold i Zdzisław.



Rys. 75. Bracia Stefana, od lewej: Witold, Mieczysław, Zdzisław.

Po dziesięciu miesiącach ciszy, w której pograżony był dom, z nadejściem wakacji i przyjazdem gości był pełen gwaru, śmiechu i tupotu dziecięcych nóżek, dyskusji dorosłych po obiedzie, drobnych utarczek i nieporozumień z powodu różnicy zdań.

Banin był to majątek ziemski średniej wielkości i należał do mojego wuja Stefana Bukowskiego. Położony był na Kaszubach między Gdańskiem i Kartuzami. Szosa biegła przez teren majątku oddzielając dwór otoczony parkiem od czworaków. Tylko część przednia, w najbliższym otoczeniu dworu, aleje kasztanowe i gazon przed domem były pielęgnowane, pozostała część była zapuszczona i dzika. My dzieci bałyśmy się tam nawet chodzić. Na tyłach domu znajdował się ogród warzywny i niewielki sad. Sam dom miał pobielane ściany, piwnicę, parter i mansardę. Na parterze było pięć dużych pokoi, sieni, kuchnia i ubikacja. Z obszernej sieni schody prowadziły na górę, gdzie znajdowały się dwa duże gościnne pokoje i dwa całkiem małe. Z tarasu wchodziło się do obszernego holu. Stały tu meble wiklinowe, które można było wynosić na taras. Drzwi po prawej stronie holu prowadziły do salonu – gabinetu wuja, do którego wstęp dzieciom był zabroniony. Tutaj dorośli grywali wieczorami w brydża. Nad biurkiem wuja wisiał portret ciotki Maryśki. W salonie stała też skórzana kanapa wraz z fotelami i stolikami do grania w karty. W rogu pokoju mieściła się etażerka, na której leżała srebrna kula z cynfolii, czyli sreberek po czekoladzie. Sreberek tych nie wolno było wyrzucać, tylko nawijało się je na ową kulę mocno ugniatając. My dzieci byłyśmy tym bardzo zainteresowane. Na nasze pytania, po co ta kula,

ciotka odpowiadała: „na wykupienie murzynków z niewoli”, co nas jeszcze bardziej dziwiło. Niestety, dalszych wyjaśnień nam nie udzielano. Z holu na lewo wchodziło się do pokoju stołowego, w którym stał stół i dwanaście krzeseł, kredens i fortepian. Kiedy raz zjechało siedmioro dzieci, mieścił się tu stół dla dzieci, tzw. folwark. Z holu wchodziło się też do tzw. pokoju dziecięcego, który sąsiadował z sypialnią wujostwa.

Pokoje były wysokie, miały duże okna, na ścianach tapety. Wisiały w nich obrazy, ale nie pamiętam, o jakiej tematyce. Pamiętam natomiast żyrandol w pokoju stołowym, który wisiał nad stołem i miał frędzelki z koralików oraz zwisający nisko dzwonek na służbę. Dzwonkiem posługiwała się ciotka Maryśka, wzywając pokojówkę by wydać jej polecenia.

W latach dwudziestych, kiedy Polska odzyskała niepodległość i pojawiło się również Wolne Miasto Gdańsk, jadąc do Banina trzeba było korzystać z połączenia kolejowego Warszawa – Gdańsk. W projekcie, a może już w trakcie budowy, była magistrała Śląsk – Gdynia. W naszej do Banina podróży stacją docelową był początkowo Gdańsk. Przekraczało się wtedy granicę polską w Tczewie, gdzie odbywała się kontrola graniczna. Dorośli okazywali paszporty, a dzieci metrykę urodzenia z adnotacją meldunkową. W Gdańsku czekały na nas konie, czasem wyjeżdżał sam wuj Stefan. Widocznie w Gdańsku załatwiał jakieś interesy. Pamiętam śmieszne wydarzenie, które nam się kiedyś przytrafiło. Wuj Stefan z ciotką Felą (później babką Agaty) zostawił nas na chwilę z walizkami na środku hali dworcowej. Odchodząc wuj powiedział: „Pilnujcie walizek, żeby wam ich nikt nie ukradł”. Stoimy przy tych walizkach rozglądając się wokoło, a tu jak na złość zachciało się nam wszystkim siusiu, tj. mnie i Krysi i Malifie. Skręcamy nogi w grajcarce, raptem patrzymy, a po drugiej stronie hali jakiś wąsaty mężczyzna w płaszczu i okrągłej czapce z daszkiem kiwa wyraźnie w naszym kierunku. Chce nam ukraść walizki i wabi nas do siebie, przemknęło nam przez głowy, kiedy wrócił wuj opowiedziałyśmy o tym człowieku i znakach, jakie nam dawał. Wuj poszedł do niego, żeby wyjaśnić sprawę. Okazał się być zamiataczem dworca i domyślając się, że chce nam się siusiu po prostu wskazywał nam toaletę, do której zresztą zaraz nas zaprowadzono.

Numerowy zabrał nasze walizki i zaniósł do stojącego przed dworcem powozu. Ja z Krysią zawsze walczyłam o miejsce na koźle przy stangrecie Bernardzie. Która z nas wtedy zajęła to miejsce, nie pamiętam. Podróż końmi do Banina trwała zwykle około półtorej godziny. Znowu przekraczaliśmy granicę Wolnego Miasta Gdańska i Polski, tym razem w Rębiechowie nie było z tym kłopotu. Kiedy strażnicy na pytanie: „Wer ist da?” Uzyskiwali odpowiedź: „Banin”, podnosił się szlaban i mogliśmy jechać dalej. Zapadał wieczór, Bernard zapalał boczne latarnie, ciszę zakłócał miarowy stukot kopyt końskich o granitową kostkę, którą wybrukowana była szosa. Odgłos ten cichł, gdy zjeżdżaliśmy z szosy na boczną piaszczystą drogę wzdłuż ogrodzenia parku, jeszcze jeden skręt w otwartą bramę, objeżdżaliśmy gazon i konie stawały przed schodami prowadzącymi na taras dworu. Na odgłos nadjeżdżającego pojazdu na tarasie pojawiali się domownicy i wujostwo Morawieccy, którzy zwykle wcześniej od nas przyjeżdżali do Banina. Pokojówka zabierała nasze walizki do pokoju dziecięcego. Po myciu i kolacji szliśmy spać, zmęczone wrażeniami wielogodzinnej podróży. Pokój dziecinny był tylko z nazwy, bo wujostwo nie mieli dzieci. Dopiero po kilku latach został zajęty przez synka wuja i jego nianię. Nas przeniesiono wtedy na górę do pokoju gościnnego.

Zwykle do Banina przyjeżdżaliśmy pod opieką matki Krysi i Malify, czyli ciotki Feli. Dwa razy była moja mama i to na usilną prośbę wuja Stefana.

Pamiętam wakacje, kiedy do Banina zjechało siedmioro dzieci i kilka osób dorosłych. Była ciotka Wanda z Maćkiem, zbliżonym wiekiem do nas i Renią, ale ta się nie liczyła – noszono ją na rękę. Było także troje dzieci ze strony ciotki Maryśki: Hania, Mirka i Lulus. Wuj Stefan polecił stelmachowi zrobić



mały stół z dwiema ławeczkami przymocowanymi listwami do stołu. Przy nim wszystkie dzieci jadły śniadania, obiady i kolacje. Stolik stał w rogu pokoju stołowego i zwany był folwarkiem.

Jazda końmi do Banina związana jest z historią, którą w tym miejscu przytoczę. Jechała z nami moja mama (Amelia Korzeniowska). Ja z Malifą siedzieliśmy naprzeciwko mamy na składanej ławeczce. Krysia na tylnym siedzeniu. Nie wiem, czy Krysi coś zaszkodziło, ale cały czas jechała do (rygi). Mama moja otaczała ją jednym ramieniem, a drugą ręką podsuwała jej gazety (zabrudzone, zmięte rzuciła na bok drogi). Nie mogliśmy doczekać się końca jazdy. Bernard (stangret) słysząc, co się dzieje za jego plecami, jechał ostro nie żałując Bartka, który miał zwyczaj zostawiania trochę w tyle, przerzucając wysiłek ciągnięcia pojazdu na Iskrę, klacz, której nie trzeba było poganiać. Sama rwała do domu, bo w stajni czekało na nią dziecko – mały źrebaczek.

Bartek – wałach i Iskra – klacz, obydwie kasztany stanowiły parę koni wyjazdowych, tzw. cugowych. Miały kurtyzowane ogony i przycięte grzywy, przypominające długie szczotki o krótkim włosiu. Były szczególnie zadbane, wygląd ich był bowiem wizytówką majątku. Od razu jasne było, że są to konie dworskie, a nie żadne chłopskie. Nie używało się ich do żadnych robót polowych. Wspomniany Bernard, stangret, opiekował się nimi troskliwie, zaprzęgał je i powoził. Ubrany w liberię, inną na lato i inną na zimę. W lecie zakładał płócienną bluzę w biało-czarne paski (a może granatowe), na głowę okrągłą granatową czapkę z jedwabnym otokiem i daszkiem. Na wypadek deszczu lub chłodu strój uzupełniał granatowy, dwurzędowy, sukienny płaszcz zapinany na srebrne guziki, a na każdym guziku była pięciopalkowa korona. Płaszcz był bardzo długi i obszerny, tak że widoczne były tylko buty. Na koźle stangreta zakrywał prawie po pas skórzany fartuch, przyczepiany po obu stronach przedniego siedzenia.

Wuj Stefan reprezentował najwyższy autorytet w rodzinie. To on w 1935 roku zorganizował zjazd rodzeństwa Bukowskich w hotelu Rzymskim w Warszawie. To on założył rodzinną kasę zapomogowo-pożyczkową. On narzucał styl życia w Baninie, każdy respektował jego zarządzenia i pomysły, których miał sporo. Był stanowczy i o wszystkim miał swoje zdanie. Dla nas, dzieci najgorsze były jego testy na inteligencję, których bardzo nie lubiliśmy. Dzieci po przyjeździe do Banina tradycyjnie musiały zmierzyć się na futrynie drzwi holu. Przybywała nowa kreska, którą porównywano z tą z poprzedniego roku. Potem było ważenie w spichlerzu, w pierwszym i ostatnim dniu pobytu w Baninie, żeby było wiadomo, ile dzieciom przybyło w czasie wakacji. Na śniadanie utartym zwyczajem dzieci dostawały grysik na mleku, polewany sokiem truskawkowym (osobiście przez ciotkę Maryskę).



Rys. 76. Stefan i Maria Bukowscy, właściciele majątku Banino, lata 1924 – 1932.

Pamiętam, byli wtedy w Baninie goście, zaproszeni na brydża z sąsiedniego majątku. Przywieźli ze sobą 10-cio letniego chłopca, nie pamiętam jak miał na imię, natomiast utkwiło mi w pamięci, że tego wieczoru na kolację dostaliśmy nieśmiertelną kaszkę. Ze względu na gościa ciotka nie wydzielała nam soku, lecz kryształowy dzbanuszek z sokiem truskawkowym postawiła na stole, by każdy z nas mógł nalać sobie soku, ile zechce. Nasz gość przebrał miarkę i skutki tego były żalosne, bo dostał torsji i w rezultacie wylądował jako chory w łóżku, w sypialni wujostwa, zamiast bawić się z nami w parku. Od czasu do czasu któraś z nas wpadała na rozmówkę z nim, by osłodzić mu chwilę samotności. Nie wiem, kiedy wyjechał, bo zwykle gra w brydża przeciągała się do rana. W każdym razie, gdy wstaliśmy następnego dnia rano, naszego niefortunnego gościa już nie było.

Nasze zabawy odbywały się w parku lub podwórzu folwarcznym, gdzie grywałyśmy w krykieta i serso, a w dni deszczowe na strychu. W budach psów Azy i Tumrego, słynnych na całą okolicę rasowych dobermanów, zastawałyśmy co roku trzy małe szczeniaczki, które dzieliłyśmy między siebie. Do naszych codziennych obowiązków należało noszenie ich na rękach, całowanie i pieszczenie. Aza ani na nas nie warczała, ani w żaden inny sposób nie okazywała niezadowolenia z naszych „zajęć”. Przeżywałyśmy bardzo głęboko okrutny ludzki zwyczaj przycinania uszek i ogonków maleństwu, której to operacji dokonywał weterynarz. Aza wylizywała wszystkie okaleczone miejsca. Po kilku dniach rany się goiły, a pieski wyglądały jak prawdziwe, według ówczesnie obowiązującego kanonu, dobermany. Ale na tym nie koniec, bowiem wkrótce czekało dzieci kolejne dramatyczne przeżycie, kiedy to przysłano posłańców po pieski. Psy te były bowiem wcześniej zamawiane przez różne osoby, przeważnie okolicznych ziemian. Termin oddawania piesków był skrzętnie przed nami ukrywany. Wujek Morek dostawał do dyspozycji konie i zabierał nas na spacer. Z przewieszoną przez ramię dubeltówką pozorował zamiar polowania. Wuj tak kochał przyrodę i zwierzęta, że muchy by nie zabił,

a co dopiero miałyby strzelać do kuropatw i bażantów. Chętnie jeździliśmy z wujkiem Morkiem na te spacer, tylko rzeczywistość po powrocie była okrutna, bo zastawałyśmy budę pustą.

Nasze wyprawy do obory były bardzo niewskazane w czasie obecności szwajcara, czyli oborowego Zielonki, który nie zważając na to, że jesteśmy dziećmi ze dworu, gonił nas, gdzie pieprz rośnie. Widocznie miał jakieś powody, których jednak nigdy nie poznałyśmy. W oborze największym naszym zainteresowaniem cieszył się cielećnik. Zabawa polegała na podawaniu cielećtom ręki, którą te chętnie ssały obśliniając ją niemiłosiernie. Z chwilą pojawienia się Zielonki znikaliśmy i przenosiłyśmy się w bezpieczniejsze rejony. Do takich miejsc należała między innymi wozownia, naturalnie jeśli rozsuwane drzwi były otwarte lub chociaż uchylone i byłyśmy w stanie wślizgnąć się do środka. Był to atrakcyjny teren ze względu na znajdujące się tam stare i nowe bryczki, powozy, sanie, siodła na kozłach i wiszące na ścianach janczary, które poruszone wydawały dźwięki licznych dzwonek. Siadałyśmy na kozłach, skakałyśmy z jednego pojazdu na drugi, wzbijając tumany kurzu z sań oczekujących zimy, udawałyśmy podróżnych, wyprawiających się w odległe strony. Zmęczone zabawą wracałyśmy do domu. Musiałyśmy ładnie wyglądać. Na nasz widok Jadwinia załamywała ręce i biadoliła, gdzieśmy to były i cośmy robiły, że jesteśmy takie wykocmodruchane. Zwykłym naszym ubraniem były bowiem jasne sukienki. Ulubionym miejscem zabaw była również stodoła, gdzie zjeżdżało się po słomie i bawiło w chowanego. Obiektem marzeń dziecięcych był też ogród owocowo-warzywny, w tym czasie bowiem dojrzewały truskawki. Wstęp dzieciom był wzbroniony. Gdyby nie te zakazy, nie byłoby soku do kaszki i konfitur oraz tortów z masą truskawkową. Torty te wypiekano z okazji wycieczki do lasu czy nad rzekę Radunię w Szwajcarii Kaszubskiej. Ze względu na sporą ilość osób, zwykle kilkanaście, na wycieczki jeździło się bryczką i platformą zaprzęzoną w dwie pary koni. Obydwa pojazdy były odświętnie przybrane gałęziami brzoźowymi i lipowymi (nikt się wtedy nie zastanawiał nad ochroną przyrody i szanowaniem zieleni). Najpiękniejsze wycieczki to były wyprawy nad Radunię w Szwajcarii Kaszubskiej. Rzeka płynęła zakolami i meandrami, tworząc nieomal półwyspy. Jedno takie miejsce było nasze. Należało z zapasami żywności i kocami przepłynąć się na drugą stronę. Nurt rzeki był tak silny i do tego woda była lodowata, że ja z Krysią trzymałyśmy się mocno za ręce, żeby prąd wody nie zwałił nas z nóg. Rozkładano koce i starsi zabierali się do brydża, a my ruszałyśmy do zabawy. Niedaleko po drugiej stronie rzeki znajdowało się dość spore wzniesienie z obszerną pieczarą, w której mieścił się bufet z piwem i zakąskami. Stały tam zbite z desek stoły i ławy, na których rozsiadało się miejscowe towarzystwo, przeważnie chłopcy. Pili piwo, rozprawiali głośno, słychać było wybuchy śmiechu. Nasi stangreci, którzy z pojazdami i końmi zostawali po drugiej stronie rzeki, dostawali na piwo i dosiadali się do miejscowego towarzystwa. Kulminacyjnym punktem podwieczorku na trawie był, pieczony specjalnie na tę okazję, wielki tort przekładany kremem i masą truskawkową. Ciotka Maryśka kroїła tort na spore kawałki, każdy dostawał na serwetce swoją porcję – był pyszny. Do picia dla dzieci była woda z sokiem, w butelkach, specjalnie wcześniej zanurzonych w rzece. Pod wieczór sprzątałyśmy nasze obozowisko i przeprowałyśmy się na drugą stronę. Konie były już gotowe do jazdy, każdy zajmował swoje miejsce i ruszałyśmy do domu. Gałęzie ze zwiędłymi liśćmi zostawialiśmy na miejscu, po kilku godzinach skwaru stanowiły wątpliwą ozdobę.

Przypominam sobie, że jeździliśmy również na wycieczki do dużego sosnowego lasu, ale tam nie było już tak przyjemnie.

Pewnego razu wuj Stefan zorganizował wycieczkę do Gdyni, nad morze. W pociągu zajęliśmy dwa przedziały. Już w tym czasie funkcjonowała nowa linia kolejowa Śląsk – Gdynia i nie trzeba było jeździć do Gdańska, tylko do stacji Osowa. Do Osowy przychodziły po nas konie. Wracając do wycieczki nad morze zorganizowanej przez wujka Stefana, to był już z nami wtedy Jacek, syn wuja, który miał trzy lata i cały czas zadawał pytania: Dlaczego? I po co? A wuj Stefan z całą powagą

odpowiadał na każde pytanie. Na drodze do Osowy przydarzył się nam wypadek – spadło koło w bryczce. Towarzystwo z bryczki przesiadło się na platformę, a Bernard z końmi i bryczką został na środku drogi. Popsuło mi to pobyt nad morzem, cały czas bowiem myślałam, jak on dojechał do domu. Kiedy dojeżdżaliśmy do stacji, ujrzelśmy pożar budynku gospodarczego. Poprzez płomienie widać było krowy uwiązane do żłobu i to zrobiło na nas wielkie wrażenie. W Gdyni byliśmy na plaży. Znajdowała się ona w miejscu, gdzie obecnie jest skwer Kościuszki. Ciotki i moja mama siedziały na plaży w sukienkach, w których przyjechały. Na głowach miały słomkowe kapelusze ozdobione sztucznymi kwiatami. Moja mama była w kapeluszu ze słomki w kolorze bordo, ozdobionym wokół runda aksamitnymi bratkami. Było gdzieś zdjęcie naszej gromadki, zrobione przez fotografa plażowego. Dzieci zostały rozebrane i paradowały w majtkach. Ze świeżą, czerwoną opalenizną wróciliśmy wieczorem do Banina.



## 4. Wujostwo Morawieccy

Stałymi wakacyjnymi gośćmi w Baninie byli wujostwo Morawieccy. Z zawodu nauczyciele gimnazjalni: on uczył biologii i chemii, ona francuskiego. Przyjeżdżali zawsze nieco wcześniej niż my, ze swoją służącą Jadwinią. Zajmowali od lat ten sam pokój gościnny na górze, z oknami wychodzącymi na park. Ciotka Irena nie należała do kobiet urodziwych, ale osobisty wdzięk i duże poczucie humoru rekompensowały braki urody. Chodziły słuchy, że wuj Morawiecki chciał ożenić się z jej przyjaciółką, ale dostał kosza. Zręcznie wykorzystwała to ciotka Irena oświadczając mu podobno, że ona chętnie wyjdzie za niego za męża. I tym sposobem została panią Morawiecką. Morawieccy byli małżeństwem bezdzietnym, co stanowiło temat przyspiewek dożynkowych, jak ta: „A państwu Morawiecki życzymy, chociaż po jednym, dzieci”. Ciotka śmiała się z tych rymów i jeszcze po wojnie wspominała przyspiewki. Ciotka Irena przyjeżdżała do Banina zaopatrzona w dwukilogramową torbę cukierków owocowych firmy Iłowiecki. Utańczyło się bowiem, że po obiedzie wychodziła przed dom z ową torbą, wołała dzieci i pytała, kto jakiego chce cukierka. Do wyboru były różne smaki: cytrynowy, pomarańczowy, ananasowy, wiśniowy. Najmłodszy z nas, Lulus miał trzy lata i gdy przychodziła jego kolejka mówił: „Lulusiowi banana”. Ciotkę zastanawiało to dziwne gustowanie Lulusia w cukierkach o smaku bananowym. Jak się wkrótce okazało, banan był dla niego najłatwiejszym słowem do wymówienia. Na wujka Morawieckiego wszystkie dzieci mówiły wujek Morek. Jeszcze na studiach w Uniwersytecie Jagiellońskim tak go nazywano i przywisko przyłgnęło do niego tak silnie, że później wszyscy w rodzinie tak się do niego zwracali. Jak miał na imię, nie wiem. Wuj Morek był trochę oryginałem. Oprócz zainteresowań zawodowych wykazywał pewne zdolności artystyczne. Potrafił samodzielnie wykonać grę Madžonga, która w tym czasie była modna. Zrobił sam wiele serwetek batikowych. Wzór na nich był wykonany złotą farbą. W ogrodzie zbudował altanę. Towarzyszyło mu przy tej pracy stado sikorek, które oswoił. Jego ubranie też odbiegało od obowiązującej w tym czasie mody. Nie chodził w bryczesach i długich butach, jak wuj Stefan lub garniturach, jak inni panowie. Strój jego przypominał mi zamieszczone w jakimś piśmie zdjęcie Henryka Sienkiewicza w Afryce. Wuj Morek ubierał się w drelichowe spodnie zapinane na sprzączki pod kolanami, płócienną kurtkę, sznurowane kamasze i skarpety, strój dopełniała wypłowiała od słońca cyklistówka. Nosił brodę średniej długości, już wtedy przetykaną siwizną. Istnym przekleństwem był dla niego przyjazd gości. Musiał porzucić swój ukochany strój i przebierał się za człowieka cywilizowanego. Szczególnie wielkie opory miał przed zakładaniem krawata. Wydziwiał wtedy okropnie, wszystko odbywało się w atmosferze wielkiego napięcia. Najwięcej dostawało się ciotce Irenie i Jadwini, które brały czynny udział w przebieraniu wujka Morka.

Wielką pasją wujka Morka był brydż. Nie daj Boże, jeśli partnerowała mu jego żona i zdarzało się jej popełnić jakiś błąd. Wujka wyprowadzało to z równowagi na tyle, że nie mógł powstrzymać się od wymyślenia jej od pni, siekier, a nawet durniów jadowitych. Wszyscy wujowie oraz ciotki grały z upodobaniem w brydża, jedynie moja matka grała w preferansa i nigdy nie nauczyła się grać w brydża.

Pamiętam, że któregoś razu w charakterze opiekunki przyjechała do Banina niejaka panna Aniela. Brydż to właśnie sprawił, że się w ogóle nami nie opiekowała, bowiem bez przerwy uczono ją... grać w brydża, by zapewnić czwartego do drugiego stolika. Trwało to miesiąc. Potem wyjechała. Inne rozrywki wujów poza brydżem to jazda konna i wypadki do Sopotu na słynne przed wojną wyścigi konne lub do kasyna na ruletkę. Nie pamiętam żadnych tragedii związanych z przegrywaniem dużych sum pieniężnych. Witold i Zdzisław nie dysponowali pieniędzmi i tylko dzięki pomocy starszego rodzeństwa mogli studiować.

## 5. Życie codzienne w majątku cd.

Przed obiadem, utartym zwyczajem, wuj Stefan wysuwał z kredensu marmurowy blat, wyjmował tyle kieliszków, ilu mężczyzn zasiadało do stołu i z karafki, z której sterczały słomki żubrówki, nalewał wódkę. Pili tylko panowie i tylko po jednym kieliszku dla dodania apetytu. Po obiedzie dzieci i dorośli chodzili na spacer w pole albo do lasu. Często towarzyszyła nam Aza, która bezbłędnie i szybko odnajdowała chowaną przez wuja laskę. Aza była ulubienicą wuja. Dzieci chórem śpiewały piosenkę, której nauczyła nas ciotka Irena. Zapamiętałam tylko pierwsze słowa: „A ty żaczku wyuczony (nad innymi wyróżniony) powiedz, co jest jeden” – intonowała Mirka, a reszta odpowiadała: „Jeden syn Maryi, co w niebie króluje, a na ziemi Pan”. Po czym Mirka znowu śpiewała: „A ty żaczku wyuczony, powiedz, co jest dwa”. Reszta dzieci odpowiadała: „Dwie tablice mojrzeszowe, jeden syn Maryi, co w niebie króluje, a na ziemi Pan”. Dziesięć było tych pytań i za każdym razem odpowiedzi powtarzało się od początku. Obowiązkową profilaktyką „garbatych pleców” było wkładanie w poprzek pleców kijków lub listew, które należało przytrzymywać przedramionami. Ubocznym, lecz ważnym celem spacerów było poszukiwanie trawy żubrówki, z której robiono domową nalewkę. Trawa ta nie odróżniała się niczym szczególnym od zwykłej trawy. Należało odgryźć kawałek żdźbła i jeśli w chwilę później poczuło się przyjemny i aromatyczny smak w ustach, nie ulegało wątpliwości, że była to żubrówka. Sporo się trzeba było nachodzić, żeby łączyć kilkanaście trawek.

W niedzielne popołudnia, kiedy wuj Stefan chciał zrobić nam przyjemność, polecał fernalom przyprowadzić do parku najspokojniejsze konie i pozwalał dzieciom jeździć konno. Jeździło się naokoło gazonu pod czujnym okiem wuja i zainteresowanych członków rodziny. Jazda taka miała zasadniczą niedogodność. Derki, które zastępowały siodła w czasie jazdy zsuwały się to na jedną, to na drugą stronę. Dla utrzymania równowagi i uniknięcia upadku należało z całej siły łydkami ścisnąć boki konia.

Raz wuj Stefan wpadł na straszny pomysł i zapragnął, żeby Jacek również pojeździł konno. Po kilkukrotnym objechaniu gazonu podjechałam do schodów, wuj wziął na ręce Jacka i posadził go przede mną na koniu. Byłam przerażona. W trakcie jazdy Jacek kręcił się i podrygiwał, wołając na konia wio. Trzymałam Jacka, kierowałam koniem, a całą uwagę miałam skupioną na tej nieszczęsnej derce, by nie zsuwała się na boki, bo to groziło upadkiem nam obojgu. Nigdy nie byłam tak zdenerwowana jak wtedy, dodatkowo bałam się skompromitować przed surowym wujem Stefanem i okazać się niegodną jego zaufania. Z całej siły ścisnęłam boki konia, żeby tylko nie stracić równowagi. Do dziś pamiętam uczucie ulgi, gdy dojechałam do schodów, a oczekujący tam wuj zdjął Jacka z konia. Na pożegnanie Banina odbywaliśmy także konne wycieczki wzdłuż granicy majątku. Razu pewnego zabraliśmy ze sobą Malifkę, wuj uznał, bowiem, że jest na tyle duża, iż może wziąć udział w wyprawie. Jazda odbywała się stępą i na tych nieszczęsnych derkach. Malifa jechała między wujem a ciotką, co miało strzec ją przed upadkiem. I tu zaczął się cały komizm sytuacji. Kiedy tylko Malifa niebezpiecznie zsuwała się na stronę ciotki, wuj pociągał ją za nogę doprowadzając do pionu. Cały czas to wuj, to ciotka pociągali biedną Malifę za nogę, co dość śmiesznie wyglądało. Żeby było ciekawiej, Malifa miała najspokojniejszego konia z całej stajni, nazwanego przez fernali Pijanym. Z ulgą wracaliśmy wtedy do domu.

## 6. Pisklaki, myszki, małe puchacze i Wojtek

Jak wcześniej wspomniałam, sąsiadami Banina zostali nowi Niemcy. Wuj i Herr Lipke bardzo dobrze się znali, natomiast z nowym właścicielem było grzecznie i z daleka. Razu pewnego Krysia, Malifka i ja przechodziłyśmy koło ogrodu nowych właścicieli. Ku naszemu zaskoczeniu po ogrodzie spacerowała samotnie wystrojona dziewczynka, mniej więcej w naszym wieku. Zaskoczenie było obopólne. Obserwowałyśmy się dyskretnie nawzajem, z wielkim jednak zainteresowaniem. Na drugi dzień ciotka Maryśka odebrała telefon od matki Mimi (tak miała na imię dziewczynka), która zapraszała nas na podwieczorek. Ubrano nas czysto i ruszyłyśmy we trzy na proszony podwieczorek do Mimi. I cała znajomość miałaaby jakiś dalszy ciąg, gdyby nie drobne, zdawałoby się, wydarzenie, które opiszę w tym miejscu. Przechodząc koło obory, zauważyłyśmy raptem leżące na ziemi trzy pisklaki, które wypadły z gniazda. Były brzydkie, gołe, z wypukłymi zamkniętymi oczami i dużymi żółtymi dziobkami. Popiskiwały cichutko, a więc żyły. Każda z nas wzięła po jednym pisklęciu do kieszeni i ruszyłyśmy w dalszą drogę, do Mimi. I mimo, że cała nasza uwaga skupiona była na lokatorach naszych kieszeni, to do głowy nam nie przyszło, żeby zrezygnować z proszonego podwieczorku. Gdyby nie pisklęta, na pewno pobawiłybyśmy się z Mimi – taki był cel tego spotkania. My natomiast zjadłyśmy po kawałku



Rys. 77. Krysia Kwiatkowska i Marysia Korzeniowska, Pierwsza Komunia, 1929 r. Gostynin.

ciasta, wypiliśmy kakao, podziękowałyśmy, a następnie wykonałyśmy pożegnalny dyg i ku zdumieniu Mimi i jej matki śpiesznie opuściłyśmy ich dom. Więcej już nas nie zaproszono. Pędziłyśmy przez park i ogród do wujka Morka, który coś majstrował przy altanie w asyście sikorek. Pokazałyśmy pisklęta i poprosiłyśmy o wskazówki, co należy robić, żeby je ratować. Rada była prosta. Wuj polecił umieścić ptaszki w pudełku z watą, karmić je bułką maczaną w mleku, a podawać ją na zaostrozonym kurzym piórze. Tak też zrobiliśmy. Małe miały świetne apetyty, otwierały szeroko dzioby i pochłaniały podawane im jedzenie. Opierzyły się i zaczęły trzepotać skrzydełkami, był to nieomylny znak, że są głodne. Dochowałyśmy je do końca wakacji i zabrałyśmy do domu. Stały się sensacją w naszym przedziale kolejowym. Dwa z nich nauczyły się latać i pewnego dnia po prostu wyfrunęły przez okno. Trzeci zginął tragicznie przez głupotę Malifki, zjadł go kot. Właściwie nie było wakacji w Baninie, żebyśmy nie miały do czynienia z młodymi zwierzątkami. Albo same je znajdowałyśmy, albo za kilka papierosów podciągniętych z biurka wuja Stefana, którymi wynagradzałyśmy fernali, ci dostarczali nam małe osieroczone zwierzątka do opieki. Przeważnie działo się to w okresie żniw.

Raz dostałyśmy małego zajączka. Umieszczony na oknie w klatce, wypadł w nocy przez drzwiczki i zabił się. Zrobiliśmy mu uroczysty pogrzeb. Spoczął w parku pod kasztanowcem. Leżał tam również jeden ze szczeniaków, który również zginął tragicznie pod kołami bryczki. Miał nawet zrobiony nagrobek z połówki stłuczonej różowej kompotierki. Następnie pochowane zostały dwie małe polne myszy. Przyniósł je któryś z fernali; wynagrodzenie wyniosło trzy papierosy. Myszkę ulokowane były w pudełku po gilzach „Dwuwatkach”. Gniazdo miały z waty, a w dwóch skorupkach od jajka było mleczko i bułeczka. Stoimy na podwórzu i trzymamy pudełko po „Dwuwatkach” w rękę. W tym momencie w drzwiach kuchennych ukazuje się gospodyni, panna Anna, i pyta: „Co tam macie dziewczynki?”. Podchodzi do nas bliżej, ja podaję jej pudełko z myszkami, ona bierze je odruchowo do ręki i gdy widzi już, z czym ma do czynienia, jak nie wrzaśnie dziko ze strachu a może z obrzydzenia, rzuca pudełko na ziemię. Z ziemi podniosłyśmy dwie martwe myszki, które pochowałyśmy koło zajączka pod kasztanowcem. Któregoś lata, na drugi dzień po przyjeździe znalazłyśmy w alei kasztanowej dwa młode puchacze. Wypadły z gniazda i musiały być bardzo wygłodzone, bo jak się później okazało, kilka dni wcześniej wuj Stefan zastrzelił ich matkę, która tak głośno hukała po nocach w parku, że mieszkańcy dworu po prostu nie mogli spać. Przynieśliśmy maleństwa do domu i za radą wuja Morka zaczęłyśmy karmić wyżebranym w kuchni siekanym mięsem. Ledwo udało się otworzyć im dziobki i wepchnąć trochę pokarmu. Nasz trud na wiele się nie zdał, bo na drugi dzień obydwaj zdechły. Były śliczne, przypominały dwa kłębuszki jasnopopielatej angorskiej wełny. Cmentarz pod kasztanowcem znów się powiększył.

Najciekawsza była jednak historia Wojtka. Pewnego dnia jeden z fernali przyniósł do dworu małego jelonka. Z wielką troskliwością zajęła się nim ciotka Maryśka. Zaczęła naturalnie od karmienia butelką. Jelonek szybko się oswoił, stając się ulubieńcem domowników i atrakcją dla gości. Chodząc po dywanach, zachowywał równowagę. Gorzej było po wypolerowanej podłodze, kopytka mu się rozjeżdżały i często się przewracał. Wydzielono spory kawałek trawnika w ogrodzie, ogrodzono go siatką i przeznaczono na wybieg dla Wojtka. Stelmach zrobił Wojtkowi obszerny domek i paśnik na siano i owies. Wojtek został przeniesiony do ogrodu, gdzie mógł swobodnie się poruszać. Opiekowała się nim nadal ciotka Maryśka, nosząc mu siano, koniczynę i owies. Z konieczności to z nią Wojtek był najbardziej oswojony. Minęły dwa lata. Z małego jelonka wyrósł dorodny samiec. Z czasem zrobił się nawet agresywny i tolerował tylko ciotkę. Wchodziła bez obaw do jego zagrody i sypała mu do koryta owies. Aż tu pewnego dnia, byłam wtedy pięcioletnią dziewczynką, stałam akurat w kuchni przy oknie i przyglądałam się, jak ciotka Maryśka otwiera bramkę do wybiegu Wojtka. Ledwo zdążyła wejść, a tu Wojtek pochylił głowę, nastawił rogi i zaczął szarżować na ciotkę. Narobiłam krzyku, na co pokojówka i kucharka wyjrzały przez okno i widząc, co się dzieje, złapały szczotki i tak uzbrojone ruszyły w sukurs ciotce. W tym czasie ciotka, jak mogła, broniła się przed agresją Wojtka, zasłaniając się metalowym pudełkiem z owsem. Kucharka i pokojówka zaczęły szczotkami odganiać rozjuszone zwierzę. Nikt nie poniósł szwanku na ciele, ale było to ostrzeżenie.

Koniec życia Wojtka był tragiczny. Nie wiadomo jak było dokładnie, ale pewnej nocy do zagrody Wojtka dostały się psy stróża nocnego i zagryzły go. Nic nie pomogły żale ciotki Maryśki, musiała pogodzić się ze smutną prawdą.

Rzeczywistość była taka, że wujostwo wydali ogromne przyjęcie zapraszając okolicznych ziemian. Głównym daniem była pieczeń sarnia i pasztet z dziczyzny.

Krysia i Malifa były córkami ciotki Feli Kwiatkowskiej, siostry mojej matki Amelii. Malifka była ode mnie o trzy lata młodsza, więc trzymałam się z Krysią, młodszą ode mnie o osiem miesięcy.

Do Banina w okresie letnim zjeżdżali również młodszy bracia Stefana: Witold i najmłodszy z rodzeństwa Zdzisław. Witold był studentem rolnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim, Zdzisław studiował na Uniwersytecie Warszawskim prawo. Szczególnie dobrze pamiętam Witolda, zręcznego uwodziciela kobiet. Chodził zwykle z przewieszoną przez ramię dubeltówką i już rano udawał się na polowanie. Nigdy nic nie ustrzelił, natomiast z całą pewnością upolował młodą pokojówkę z sąsiedniego majątku. Spotykał się z nią systematycznie i jeszcze wiele lat po wojnie wspominał słodkie chwile spędzone w lesie z Moniką.

Obydwaj młodzi wujowie lubili jeździć konno. Łapali też ryby w stawie. Co mizerniejsze sztuki wrzucali z powrotem do źródła tuż obok stawu. Kiedy przychodzili następnego dnia, ryb nie było. Postanowili przyłapać złodzieja i zaczęli się o świcie w krzakach, niedaleko źródła. Nie musieli długo czekać. W pewnym momencie zauważyli nadlatującą czapłę, która najspokojniej w świecie wyłapała wszystkie pozostawione w źródle ryby.

Pewnego dnia zakupiono nowy powóz i postanowiono wypróbować, czy nie ma usterek. Ciotka Maryśka i ciotka Irena, żona wuja Morka, obie w białych kostiumach usadowiły się w powozie, by wziąć udział w próbnej przejażdżce. Witold skoczył na kozioł, by powozić. Żałosny był widok pań, które z niej wróciły i te białe kostiumy pochłapane błotem. Okazało się, że Witold nie ominął żadnej kałuży, a błoto zarzucane kopytami końskimi ochlapało nie tylko nowy powóz, ale i dwie niefortunne pasażerki. Sam mi to opowiadał po latach. Wieczorami obydwaj studenci oddawali się grze w brydża, czasem siedzieli przy stoliku do świtu.



## 7. Małpa i jej właścicielka, różnica zdań i sejf wuja Stefana

Wszystkie informacje dotyczące przyjazdu gości wujostwo utrzymywali przed nami w tajemnicy, rozmawiając na ten temat ze sobą po niemiecku. Zawsze jednak jakoś wydało się, że konie jadą po kogoś na stację do Osowy. Od czasu uruchomienia trasy kolejowej Śląsk – Gdynia nie korzystało się z dworca w Gdańsku. Jeśli wuj pozwolił i gdy przyjeżdżały jedna lub dwie osoby, to zabierałyśmy się z Krysią na spotkanie gości. Do Osowy prowadziła polna droga. Najpierw jechało się stępą przez las bardzo piaszczystą drogą. Jechało się na tyle wolno, że wyskakiwałyśmy z bryczki, a gdy bryczka oddaliła się, doganiałyśmy ją i po szprychach wspinałyśmy się, by za jakiś czas powtórzyć ten wyczyn. Cud jakiś, że żadnej z nas nie wkręciła się noga w koło, bo groziło to co najmniej połamaniem nóg. Bernard siedział na koźle niczym mumia i w ogóle nie reagował na to, co się dzieje za jego plecami, a my dosłownie szalałyśmy. Kiedy wyjeżdżało się z lasu, to niedaleko drogi stał dwór z tarasem, na którym przywiązana łańcuszkiem siedziała małpa. Na naszą prośbę Bernard zatrzymywał konie, a my wabiłyśmy małpę, by odwróciła się do nas przodem. Myślę, że Bernard był ciekaw, jak to dziwne zwierzę wygląda z przodu i chętnie zatrzymywał konie. Jednak nasze nawoływania i cmokania na nic się zdały. Małpa cały czas ostentacyjnie siedziała tyłem, tak jakby nas lekceważyła. Po kilku minutach beznadziejnego oczekiwania konie ruszyły dalej.

Muszę tu wspomnieć o przygodzie, jaką przeżyła właścicielka majątku i małpy, zapomniałam jak się nazywała, ale to nie istotne w tej historii. Pewnego razu wybrała się owa pani na spacer do lasu, prowadząc małpę na łańcuszku. W pewnym momencie małpa wskoczyła na drzewo i wyszarpnęła łańcuszek z ręki właścicielki. Zwierzę poczuło nagle swobodę i zaczęło skakać z drzewa na drzewo. Właścicielka trop w trop za nią, by tylko nie stracić jej z oczu, ledwo nadażała. W ten sposób przemierzyły spory kawałek lasu i znalazły się na jego skraju, od strony banińskich czworaków. Małpa, zmęczona, ostatecznie dała się złapać. Zrobiło się późno, zapadł wieczór. Właścicielka małpy zdecydowała się przyjść do dworu w Baninie. Miała bliżej niż do własnego domu, a i gonitwa z małpą bardzo ją zmęczyła. Jak wielkie było zdziwienie wujostwa, gdy do pokoju wkroczyła pani z małpą. Podano herbatę i końmi odesłano właścicielkę wraz z egzotycznym zwierzęciem do domu.

Moja mama dopiero po licznych namowach i usilnych prośbach wuja przyjechała do Banina. Był to ostatni pobyt razem z nami na wakacjach. Mama – osoba może nadmiernie religijna i bardzo wyczulona na punkcie wiary, miała do wujostwa Stefanów stosunek nacechowany pewną dezaprobatą, jako do osób niepraktykujących. Akurat wuj Stefan wrócił z zagranicznej wycieczki nowo zbudowanym transatlantykiem „Puławski”. Program wycieczki obejmował kraje skandynawskie. Po obiedzie, gdy dorośli pozostali przy stole dyskutując na różne tematy, w pewnym momencie moja matka zapytała wuja: „Co najbardziej Stefku podobało ci się za granicą?”. Wuj odpowiedział szybko i złośliwie: „Kluby nudystów i krematoria”. Odpowiedź była tak celna, że moją mamę jakby piorun strzelił. Zatrzęsła się z oburzenia i zaczęła się ostra wymiana zdań. Przez jakąś chwilę każdy bronił swoich racji, jednak w końcu moja matka poczuła się tak dotknięta, że poprosiła o konie i gotowa była natychmiast wyjechać z Banina. Na drugi dzień wuj przeprosił mamę i każdy został przy swoim zdaniu. Stosunki między nimi do końca pobytu w Baninie były grzeczne i poprawne. Mama dowiedziawszy się, że nie jesteśmy wożone w niedzielę do kościoła, zażyczyła sobie, byśmy bywały w każdą niedzielę na mszy św. Wuj Stefan dotrzymał słowa i w niedzielę pod opieką pokojówki i kucharki udawałyśmy się końmi do kościoła w Żukowie. Wujostwo jako niepraktykujący nie mieli w prezbiterium swojej ławki, jak inni ziemianie, więc stałyśmy w kościele jak zwykłe śmiertelniczki, co nam wcale nie przeszkadzało. Byłyśmy już wtedy dużymi dziewczynkami, zdałyśmy wtedy do gimnazjum.

Ciotka Maryśka udostępniła nam swoją bibliotekę z okresu, gdy była panienką. Potoki łez wylewałyśmy nad „Chatą wuja Toma”. Były tam takie książki, jak „Władzio nad morzem”, „Robinson Crusoe” oraz nasza ulubiona książka „Elżunia i jej siedmiu kuzynków”. Pewnego razu Krysią i ja wychodząc z kościoła zobaczyliśmy panienkę, może czternastoletnią, w towarzystwie pięciu chłopców, jej rówieśników. Wszyscy wsiadali do oczekującego na nich powozu. Chłopcy jeden przez drugiego nadszkwili dziewczynce, wyraźnie konkurowali między sobą o jej względy. Byłyśmy z Krysią zafascynowane tą sceną i orzekłyśmy, że tak musiała wyglądać nasza Elżunia z opowieści. Zdarzało się, że z książek zapożyczałyśmy pomysły do zabaw. Urządzałyśmy też przedstawienia – były to scenki albo recytacje krótkich wierszy. Scena znajdowała się w holu, a wujowie i ciotki w pokoju stołowym stanowili publiczność. Nie przypominam sobie już treści tych przedstawień, w pamięci pozostała mi tylko Mirka recytująca wiersz o muszce i chrabąszczu żółto brzuszku. Mirka ubrana była w strój krakowski, uwagę zwracał aksamitny serdaczek wyszywany bogato cekinami. Taki sam strój miała jej starsza siostra Hanka. Ubrania krakowskie siostr stanowiły przedmiot naszej cichej zazdrości, nigdy jednak nie dałyśmy poznać tego po sobie.

Pewnego dnia bawiłam się sama w rogu dziecinnego pokoju. W pewnym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju z widocznym pośpiechem wszedł wuj Stefan. Zbliżył się do ściany, na której wisiała makatka przedstawiająca gałązki jarzębiny. Odsunął ją i kluczykiem otworzył ukryte tam drzwiczki. Ze schowka wyjął plik pieniędzy w banderoli. Był to ukryty sejf domowy do przechowywania pieniędzy i biżuterii. Wuj zamknął sejf, makatka wróciła na swoje miejsce, i szybko opuścił pokój, nie zwróciwszy na mnie uwagi. Byłam na tyle dyskretna, że nikomu nie powiedziałam o sejfie.

Po jakimś czasie wyszłam na taras i zobaczyłam powóz, do którego wsiadł wuj. Jak się później okazało pojechał do Sopot, do kasyna. Zbliżały się żniwa i potrzebna była kosiarka. Wuj w kasynie grał tak długo, aż udało mu się wygrać tysiąc guldenów. Wtedy zgarnął pieniądze i wstał od stołu. Tysiąc guldenów była to cena kosiarki. Kilka dni później przetransportowano do Banina nową kosiarkę. Stała pod zadaszeniem, gdzie zgromadzone były rozmaite maszyny rolnicze, a ona raziła swą nowością. Została włączona do prac żniwnych jeszcze tego lata.

Wuj Stefan był człowiekiem czynu i silną indywidualnością. Miał dar wygłaszania przemówień na każdy temat i w różnych okolicznościach, bez kartki, z pamięci. Był popularny wśród miejscowej społeczności. Jednym z jego powiedzeń było: „Pieniądze leżą na drodze, trzeba umieć je tylko podnieść”. I wuj Stefan to właśnie najlepiej umiał. Należał do różnych organizacji, w których był aktywny. Miał swoje zdanie i odwagę cywilną, by krytykować głośno rozmaite posunięcia. Przemawiał w czasie różnych publicznych uroczystości. Wygłaszał mowy powitalne i pożegnalne z okazji wizyt różnych, mniej i bardziej ważnych dostojników państwowych. Raz nawet witał prezydenta Mościckiego i zabrał na tę okoliczność Krysię, żeby podawała kwiaty. W jakich to było okolicznościach i gdzie – tym się nie zainteresowałam, bo gdy ma się siedem lat, takie rzeczy umykają uwadze. Wszyscy bracia Bukowscy odznaczyli się dużą elokwencją i sami chętnie rwali się do przemawiania przy różnych okazjach. Tych okazji było sporo przy tak dużej rodzinie, a to imieniny, to znów ślub, to pogrzeb.

Po żniwach urządzono w Baninie dożynki. Korowód dożynkowy złożony z całej służby folwarcznej przekraczał bramę parku, obchodził gazon i zatrzymywał się przed schodami tarasu, na którym stał wuj Stefan z żoną i pozostali członkowie rodziny. Najpierw śpiewano pieśń dożynkową, następnie wręczano gospodarzowi bochenek chleba z noworocznego zboża oraz składano wieniec dożynkowy. Potem przystępowano do odśpiewania ułożonych na tę okazję rymowanych przyspiewek, dotyczących pana, pani oraz członków rodziny. Gdy chór umilkł, zabierał głos wuj Stefan, dziękując wszystkim za trud włożony w uzyskanie tych dobrych plonów. Na zakończenie przemówienia wuj zapraszał wszystkich

zebranych na poczęstunek. Korowód ruszał do bramy parku, by udać się na przyjęcie dożynkowe, które odbywało się na polanie przy lasku. Często jeździliśmy z wujem w to miejsce, żeby dopilnować prac związanych z budową stołów i ław oraz podłogi do tańca. Pomędzy drzewami rozciągnięte były sznury, na których wisiały kolorowe lampiony. Zabawa zwykle przeciągała się do późnej nocy, tak że oświetlenie było konieczne. Pamiętam, że na poczęstunek składały się wędliny, gorąca kiełbasa, piwo, chleb, ciasto, reszty nie pamiętam. W trakcie uczyty organizowane były różne konkursy, jak na przykład wyścigi w workach lub wyścigi z jajkiem na łyżce do zupy, trzymanej w zębach. Nie pamiętam szczegółów, ale raz w czasie przyjęcia dożynkowego musiał zająć jakiś poważny wypadek, bo telefonowano do Kartuz po rodzinnego lekarza, dra Niklasa, który dość szybko przyjechał swoim samochodem. Nowy wieniec dożynkowy wieszano na miejscu starego, w przedpokoju. W tym samym przedpokoju na koźle było przechowywane siodło ciotki Maryśki.

Siodło wuja Stefana przechowywano w wozowni. Każdego ranka chłopak stajenny podprowadzał pod wejście od strony kuchni osiodłanego ogiera, na którym wuj zwykł jeździć w pole. Koń był ostry i trudno było przewidzieć jego reakcje.

Razu pewnego wuj, jak zwykle konno, wyjechał w pole. Po godzinie koń wrócił do stajni bez jeźdźca. Natychmiast dano znać ciotce Maryśce. Cała służba folwarczna została włączona do poszukiwań. Upłynęła godzina, kiedy jeden z fernali przybiegł z wieścią, że odnalazł pana, który jest żywy, ale ranny i nie jest w stanie o własnych siłach wrócić do domu. Zaraz wysłano wóz, wymoszczony słomą i kocami i przywieziono wuja. Był mocno poturbowany, ubranie na piersi miał poszarpane, koszulę zakrwawioną. W międzyczasie nadjechał wezwany telefonicznie dr Niklas. Okazało się, że ogier nie dość, że zrzucił wuja, to jeszcze boleśnie pogryzł mu klatkę piersiową. Po pewnym czasie rany oczywiście się zagoiły, a uparty wuj znów dosiadł nieszczęsnego ogiera.

Wuj w ogóle lubił ryzyko, nie tylko gdy w sopockim kasynie siadał do stolika, ale kiedy sam ujeżdżał młode konie cugowe. I wszystko byłoby dobrze, gdyby na te niebezpieczne jazdy nie zabierał mnie i Krysi, które nie zdając sobie sprawy z zagrożenia bardzo chętnie siadałyśmy koło wuja na tylnym siedzeniu bryczki. Wuj sadowił się między nami, zapierał się nogami o przednie siedzenie, a nam kazał trzymać się za poręcz bryczki z jednej strony i za jego rękaw z drugiej. Delikatnie podcinał konie i kierował je w stronę bramy wyjazdowej. Trudno dziś opisać zachowanie tych młodych koni. Poruszały się jak w diabelskim tańcu. Wuj co i rusz ścigał lejce powstrzymując ich nieskoordynowany bieg. Chwilami nawet przysiadły na zadach, a gdy się uspokajały, wjeżdżaliśmy na szosę Gdańsk – Kartuzy. Chodziło bowiem nie tylko o to, by nauczyły się iść w zaprzęgu, ale także by oswoiły się z autobusami i samochodami, których piekielnie się bały. Konie nawet czasami łapały rytm, ale raptem robiły skręt i ni stąd, ni zowąd wjeżdżały na skarpę, stanowiącą pobocze. Bryczka przybierała niebezpieczne nachylenie i lada chwila groziło nam wywrócenie lub wypadnięcie z bryczki. Na widok nadjeżdżającego autobusu konie były tak wystraszone, że najpierw chciały rwać do przodu, ale ściągnięte lejcami stawały dęba. Pyski miały całe w pianie i nerwowo poruszały szczękami, by pozbyć się wędzidla. Cośmy użyły, to nie daj Boże. Pod koniec wyprawy było nieco lepiej, konie zgrywały nieco swój bieg i tak szczęśliwie dojeżdżaliśmy do domu. Co za szczęście, że ani moja, ani Krysi matka nie wiedziały o tej zwariowanej wyprawie. My nie pisnęłyśmy im ani słówka, ale już więcej nie skorzystałyśmy z podobnej propozycji.

Cała służba folwarczna i domowa składała się z rodzimych Kaszubów. Najlepiej pamiętam kucharkę, pokojówkę i stangreta Bernarda. Był to chłopak 22-23 letni, bardzo postawny, o ładnej twarzy. Bardzo dobrze prezentował się na koźle, w liberii dostosowanej do pory roku. Zapamiętałam niektóre nazwiska, jak Zielonka, Płotka, Kąkol. Ten ostatni był karbowym, do jego obowiązków należało dzwonienie w

lemiesz wiszący na spichlerzu, na przerwę obiadową i koniec pracy. Cała służba folwarczna mieszkała w czworakach, po drugiej stronie szosy.

Wuj po obiedzie miał zwyczaj siadać w fotelu, w holu, nakładał słuchawki małego kryształkowego radia i słuchał wiadomości lub muzyki z rozgłośni gdańskiej. Było to w roku 1926, kiedy wuj usłyszał wiadomość, że Nobile swoim sterowcem będzie niedługo przelatywał nad Gdańskiem. Wuj nie wiele myśląc skrzyknął nas wszystkich i poszliśmy w pole, by drzewa w parku i zabudowania gospodarcze nie zasłaniały nam horyzontu. Rzeczywiście, po jakimś czasie, na bardzo jasnym niebie zobaczyliśmy dość wysoko sterowiec, w kształcie cygara z podwieszoną małą gondolą, zmierzający w kierunku Gdańska. Była to zapowiadana wcześniej wyprawa Nobilego – podróżnika polarnego na biegun północny. Sterowiec nazywał się Italia. Wyprawa ta była w owym czasie sporą sensacją.

Na terenie majątku był staw rybny, ale tak zaniedbany, że nie było w nim większych sztuk, które nadawałyby się do konsumpcji. Czasem, dla rozrywki, łowili w nim ryby Witold i Zdzisław oraz wujek Morek. Okazy złowionych ryb raczej nadawały się dla czapli lub kota, nie na stół. Pewnego lata wuj Stefan postanowił zająć się racjonalnie stawem. Spuszczono wodę na łąkę, oddzieloną od stawu groblą. Ja i Krysia wraz z wujkiem Morkiem wybraliśmy przyjrzeć się całej akcji. Wody w stawie sporo ubyło. Została niewielka warstwa, w której rzucały się małe i średniej wielkości ryby, które zaczęto wylapywać i sortując wrzucać do napełnionych wodą beczek. Nie wiem, co wujowi Stefanowi przyszło do głowy, ale wpadł na pomysł, byśmy we trójkę przemierzili staw od brzegu do brzegu. Wziął nas za ręce i weszliśmy do stawu. Na początku było jako tako, ale później im dalej, tym gorzej – pod warstwą wody był gęsty muł, a im dalej się posuwaliśmy, błoto zmieszane z wodą podchodziło nam do piersi. Byliśmy wystraszone, obawiając się, że lada chwila stracimy grunt pod nogami. Chcieliśmy wracać, ale wuj oświadczył, że najgorsze za nami i nic już nam nie grozi. Z duszą na ramieniu dobrnęliśmy na drugi brzeg stawu. Wyglądałyśmy okropnie, utyłane po pachy w błocie. Nigdy nie zapomnę tej okropnej przeprawy i czarnej mazi, w której mogłyśmy się całe pogrążyć. Przez następne dwa tygodnie, dzień w dzień, jadło się na obiad ryby pod różnymi postaciami, najczęściej była to zupa rybna lub kotlety. Wszyscy mieli po dziurki w nosie ryb, nie tylko goście, dzieci i domownicy, ale również kucharka, pokojówka i Jadwinia. No cóż, nie mogło się zmarnować. Wszystko to, co produkowało się w majątku było podstawą wyżywienia. Piekło się raz na tydzień prawdziwy wiejski chleb, który miał taką właściwość, że nigdy nie był czerstwy. Masło i sery wyrabiane były z mleka odstawionego do pobliskiej mleczarni. Ciotka hodowała kury zielononóżki – były więc jaja i kurczaki. Na kolację starsi, a potem i my, jedliśmy zsiadłe mleko z kartoflami lub grochem polanym stopioną słoninką. W ogóle jadło się skromnie, prosto i zdrowo. Przez cały okres mojego pobytu w Baninie tak szczęśliwie się złożyło, że żadne dziecko nie zachorowało, ani nie uległo wypadkowi – może dlatego, że nikt z nami nie chodził i nie pilnował.

## 8. Jacek

Był rok 1931. Przyjechaliśmy jak zwykle we trzy pod opieką ciotki Feli na wakacje w Baninie. Przydzielono nam pokój gościnny na górze. Sądziłyśmy, że jesteśmy już na tyle duże, że dano nam osobny pokój. Później okazało się, że przyczyna zmiany lokalu leżała zupełnie gdzie indziej.

Jak już wspomniałam, wujostwo Stefanowie byli bezdzietni. Nikt nie przypuszczał, że twardego człowieka, jakim był wuj Stefan, nie opuszcza wielkie pragnienie posiadania własnego dziecka.

Na drugi dzień po przyjeździe, gdy zjadłyśmy śniadanie i stało się zadość tradycji – zostałyśmy zmierzone i zważone, wybiegłyśmy przez hol na taras, by zbiec po schodach do parku. Zatrzymałyśmy się na tarasie zaskoczone niezwykle widokiem. Naszym oczom ukazał się mały drabiniasty wózek zaprzężony w dobermana Turmiego. Prowadził go na smyczy nikt inny, tylko nasza dawna niania. Zbiegłyśmy po schodach, by się z nią przywitać. Niania i my bardzo cieszyłyśmy się z tego nieoczekiwanego spotkania. W wózku siedział może dwuletni malec. Miał kręcone blond włosy i niebieskie oczy. Wreszcie zapytałyśmy się niani, kto to jest to dziecko w wózku.

- To Jacek – odpowiedziała niania.
- Jaki Jacek? – spytałyśmy.
- Syn wuja Stefana – wyjaśniła.

Trochę byłyśmy zaskoczone tym nagłym pojawieniem się w domu sporego dziecka. Nie dociekałyśmy, skąd się ten Jacek wziął, przechodząc nad tym do porządku dziennego. I na tym by się skończyło, gdyby w czasie okupacji nie zamieszkała z nami siostra mojej mamy, Stacha. Ona to właśnie opowiedziała historię Jacka, którą w skrócie przytoczę, jako dość wyjątkową.

Wuj Stefan postanowił, że będzie miał syna. Najpierw wszedł w kontakt z nauczycielką z sąsiedniej miejscowości, ale odmówiła mu, dodając podobno, że jeżeli miałyby urodzić dziecko, to tylko dla siebie. Wtedy wuj postanowił wybrać pokojówkę, pracującą u wujostwa w Baninie. Była to młoda, dorodna i zdrowa dziewczyna. Doszedł z nią do porozumienia i oczekiwał następstw. Zrozumiałam wtedy, dlaczego dwa lata wcześniej ważyła się z nami w spichlerzu. Klara rzeczywiście zaszła w ciążę i gdy zaczęło to być zbyt widoczne, wuj porozmawiał z ciotką Wandą, swoją siostrą, która mieszkała w Warszawie, by zabrała ją do siebie i zaopiekowała się do chwili rozwiązania. Tak też się stało. Wyobrażam sobie radość wuja, gdy dowiedział się, że urodził mu się syn. Początkowo dziecko było pod opieką matki. Jak Jacek miał kilka miesięcy, wuj postanowił oddać dziecko do Zakładu dla Sierot księdza Boduena. Jacek miał tam specjalną opiekunkę, opłacaną przez wuja. Częste wizyty wuja w zakładzie oswoiły dziecko z ojcem, które z czasem nauczone zaczęło do wuja mówić „Tata”.

Ciotka Maryśka, natomiast, jeździła do Krynicy bezskutecznie zalewając się bocianówką. Wuj widząc, że te kuracje nie rokują żadnych nadziei, zaczął urabiać odpowiedni grunt, sugerując ciotce adoptowanie dziecka z jakiegoś zakładu dla sierot. Tymczasem Jacek rósł i gdy jego ojciec pojawił się w Zakładzie sam wołał „Tata”. Grunt więc był dobrze przygotowany. Wuj Stefan wraz z żoną ruszyli do Warszawy w celach adopcyjnych. Najpierw złożyli wizytę ciotce Wandzie, pośredniczącej w całej sprawie, od której zresztą dowiedział się, że sprawa jest dopięta na ostatni guzik. Potem na z góry umówioną godzinę wujostwo Stefanowie pojechali taksówką do Zakładu ks. Boduena. Tam opiekunka z Jackiem na ręku stała na pierwszym miejscu w szeregu prezentowanych do adopcji dzieci. W momencie, kiedy wuj z ciotką wkroczył na salę, Jacek radośnie wykrzyknął „Tata” i wyciągnął rączki w kierunku wuja Stefana. Ach, jaki miły chłopczyk – zwrócił się wuj do ciotki Maryśki, podchodząc do Jacka. „Po co szukać



dalej, weźmy tego chłopczyka” – powiedział następnie wuj Stefan – „ma nawet kręcone blond włosy i niebieskie oczy, jak ty”. „Dobrze” – miała odrzec ciotka Maryśka „bierzemy tego małego, mnie też się podoba”. I tak Jacek został przywieziony do Banina. Klara tam się więcej nie pojawiła. Otrzymała jako rekompensatę magiel elektryczny i wyprowadziła się do Warszawy.

W 1939 roku, gdy wojenne losy rzuciły wujka wraz z żoną i Jackiem do Warszawy, Klara nie mogła odmówić sobie odwiedzenia wujostwa. Siadywała w kuchni, częstowano ją kawą i kanapkami. Jacek, duży chłopczyk wpadał czasem do kuchni prosząc służącą o herbatę. Ani przez chwilę nie pomyślał, że ta kobieta, siedząca nad filiżanką herbaty, to jego rodzona matka i nigdy nie dowiedział się o tym. Zginął w 16 roku życia w Powstaniu Warszawskim w 1944 r.

Na czas moich pobytów wakacyjnych w Baninie przypadała rozbudowa portu w Gdyni, jak również i samego miasta. Wuj potrafił to wykorzystać. Kupił w Gdyni plac, postawił na nim budynek, w którym była stajnia, magazyn na paszę dla koni oraz pomieszczenia dla fernali. Wysłał z majątku cztery pary koni roboczych wraz z wozami i furazem dla koni oraz czterech fernali do pracy w porcie. Po tygodniu ciężkiej pracy konie wraz z ludźmi wracały do Banina, by wypocząć, a na to miejsce szły inne cztery pary koni wraz z obsługą.

Pamiętam, że przy korcie tenisowym był duży obszar zarośnięty trawą, który graniczył ze zdziczałą częścią parku. Tam przypędzano konie, które wróciły z Gdyni i mogły swobodnie paść się w parku. Na twarzy wujka malowało się zadowolenie, kiedy obserwował pasące się konie.

Wuj bardzo dbał o to, by dzieci nie były świadkami strzelania do gołębi, które hodowano w celach konsumpcyjnych, zabijaniu drobiu, obcinaniu uszek i ogonków u małych dobermanów, krycia klaczy i krów.

Życie wakacyjne w 1931 r. toczyło się normalnie, a my nie przeczuwaliśmy, że to nasze ostatnie wakacje w Baninie. We wrześniu 1932 r. – okresie światowego kryzysu gospodarczego – wuj Stefan sprzedał Banin prostemu chłopu, który pieniądze na kupno otrzymał ze sprzedaży ziemi pod port w Gdyni. W tym też roku 32 wuj przeniósł się do Gdyni. Bardzo duży był to zawód dla nas dzieci, spędzających każde wakacje w majątku.

W Gdyni wuj Stefan zakłada własne przedsiębiorstwo – hurtową sprzedaż paszy i produktów zbożowych. Interes idzie dobrze przed wojną, wuj staje się jednym z zamożniejszych ludzi w Gdyni.

## 9. Zakończenie

Kończąc te wspomnienia pragnę podkreślić, że jestem jedyną żyjącą osobą, która spędzała wakacje w Baninie. Nikt by nie wiedział, o Baninie ani też o osobach, które tam bywały, gdyby nie zachęta i prośba mojej siostrzenicy, a wnuczki ciotki Feli, Agaty Kossek.

Zastanawiam się, ileż jeszcze rzeczy mogłabym napisać o każdym z jedenaściorga rodzeństwa **BUKOWSKICH**. Wszyscy byli na swój sposób oryginałami i indywidualnościami. Tą refleksją kończę moje wspomnienia.

Maria Sarnawska

Warszawa, kwiecień 1998 r.



Rys. 78. Wojciech Kossak: Ułani eksportujący jeńców na leśnej drodze, [Public domain, via Wikimedia Commons](#).

## Część trzecia

**Rafał Bukowski**  
**211 Pułk Ułanów**  
**w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r.**

Sopot, marzec 2021 r.

## 1. Wstęp

Dnia 18 marca 2021 roku minęła 100 rocznica podpisania Traktatu Ryskiego kończącego wojnę polsko-bolszewicką. Wojna ta rozpoczęła się bez jej wypowiedzenia. Spowodowana została spotkaniem wojsk polskich z Armią Czerwoną, która zajmowała stopniowo terytoria opuszczone przez oddziały niemieckie po zakończeniu wojny światowej w 1918 roku. Obrona Wilna przed tą armią w dniach 4-5 stycznia 1919 rok uważana jest przez niektórych historyków za początek wojny polsko-bolszewickiej.

Walki polsko-bolszewickie trwały do października 1919 roku. Przerwały je rozmowy pokojowe prowadzone najpierw w Moskwie, później w Mikaszewiczach na Podolu. Nie przyniosły one żadnego rezultatu. Lenin w tym czasie planował zbrojną ofensywę na Polskę wiosną 1920 roku. Piłsudski był o tych planach informowany przez wojskowy wywiad. Pragnął za wszelką cenę tę ofensywę uprzędzić. 25 kwietnia 1920 roku jedna dywizja ukraińska i dziewięć polskich dywizji, pod osobistym dowództwem Piłsudskiego, rozpoczęły na Ukrainie ofensywę przeciw bolszewikom.

Ofensywa przebiegała pomyślnie i już 7 maja polskie i ukraińskie siły wkroczyły do Kijowa.

Rosyjski kontratak rozpoczął się tydzień później, 14 maja. Armią Czerwoną dowodził Michał Tuchaczewski. Atak planowany przez niego miał na celu zdobycie Warszawy, pokonanie Polski, ekspansję komunizmu do Niemiec i zachodniej Europy. Wspierała go armia konna Budionnego atakując Polaków pod Lwowem. III Korpus Konny Gaj-Chana miał za zadanie opanować północne Mazowsze i po przekroczeniu dolnej Wisły zaatakować Warszawę od zachodu. Po 3 miesiącach walk, nieustannym nacieraniu bolszewików i cofaniu się wojsk polskich, Armia Czerwona znalazła się na przedpolach Warszawy.

Generał Józef Haller, główny inspektor armii ochotniczej, wezwał Polaków do ochotniczego wstępowania do wojska. Na ten apel odpowiedziało 105 714 ochotników.

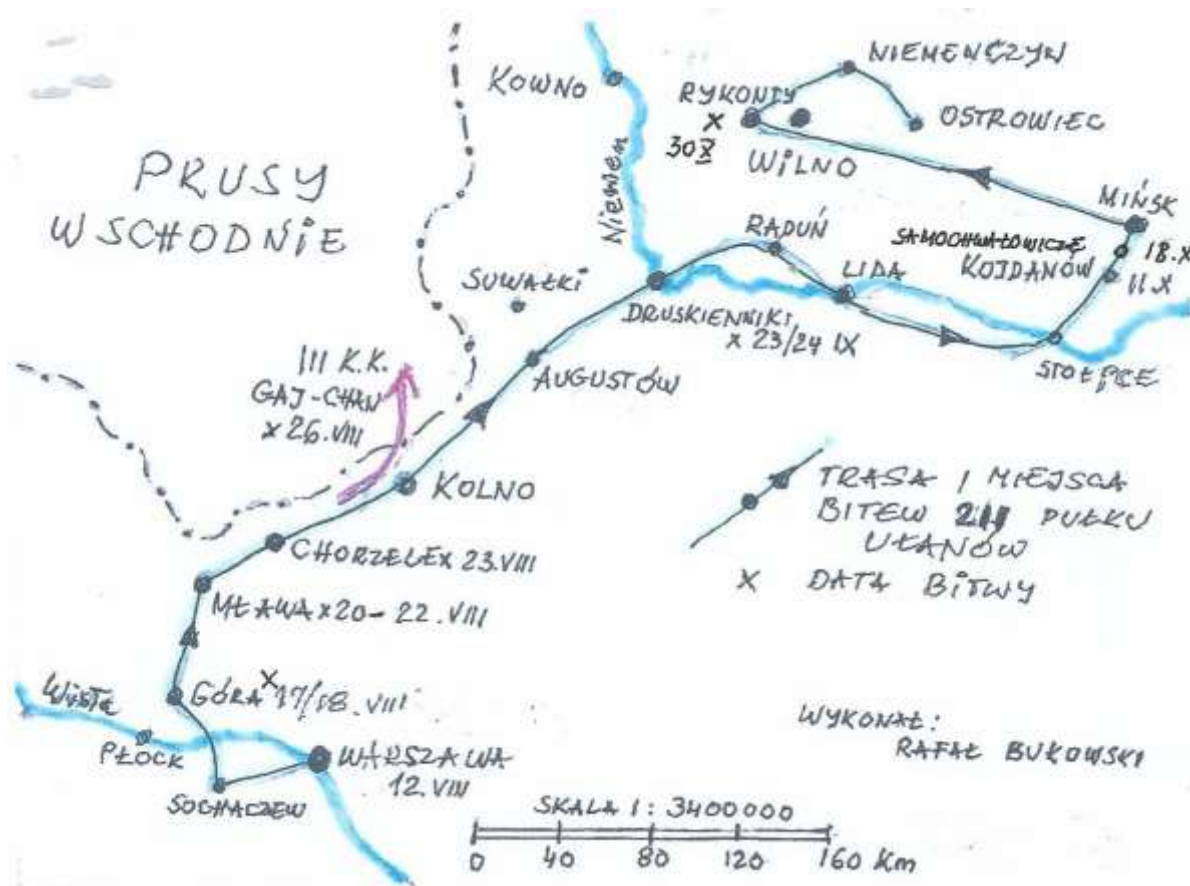
Jednym z nich był mój ojciec, Mieczysław Bukowski, urodzony w 1894 roku. Miał 26 lat kiedy zgłosił się do wojska 11 sierpnia 1920 roku i został przyjęty do formującego się na Polach Mokotowskich Warszawy 211 Pułku Ułanów.

Następnego dnia, 12 sierpnia, pułk wyruszył na szlak bojowy. Dowódcą pułku był major kawalerii Władysław Dąbrowski, a zastępcą jego brat rotmistrz Jerzy Dąbrowski.

Drugi i czwarty szwadron tworzyli ułani ochotnicy a dowódcami byli: drugiego p.por. Kazimierz Ertman, a czwartego por. A. Sztejnige.

Pułk w sile 380 szabel został skierowany na teren działań 5 Armii W.P. pod dowództwem generała Wł. Sikorskiego. Armia ta broniła części północnej frontu od Działdowa, przy granicy pruskiej, do twierdzy w Modlinie.

## 2. Szlak bojowy 211 Pułku Ułanów



Rys. 79. Szlak bojowy 211 Pułku Ułanów.

Pułk podążając przez Sochaczew i Wyszogród kierował się, zgodnie z rozkazem generała Osikowkiego, na Płock atakowany przez Trzeci Korpus Kawalerii Gaj Chana. Do celu dotarł po pięciu dniach od wyruszenia z Warszawy i w dniu 17 sierpnia stoczył pierwszą bitwę. W kronice pułku tak ją opisano:

### BÓJ POD WSIĄ GÓRĄ

Pierwsza walka nowo zorganizowanego pułku była jedną najpomyślniejszą dla pułku. Było to pod wsią Góra, ziemi płockiej, w noc z dnia 17 na 18 sierpnia 1920 roku. Pułk tutaj w walce z kawalerią korpusu Gaja, opanowując tę wieś, energicznym, kombinowanym konnym i pieszym atakiem zdobył 11 karabinów maszynowych i zagarnął 109 jeńców. Naliczono z górą 100 zabitych nieprzyjaciół, rannych zaś znacznie więcej. Prowadzili do walki, zachęcając i pociągając własnym przykładem, major i rotmistrz Dąbrowscy. Szczególnie odznaczyli się: dowódca pierwszego szwadronu porucznik Franciszek Zasadzki, dowódca drugiego szwadronu podporucznik Kazimierz Ertman i młodszy oficer drugiego szwadronu podporucznik Józef Skrzypkowski. Wszyscy wymienieni oficerowie za odwagę wykazaną w tym boju odznaczeni zostali orderem *virtuti militari* V klasy. Niestety, jeden z najbardziej mężnych oficerów pułku, porucznik Franciszek Zasadzki, przepłacił odwagę swym zdrowiem, gdyż ranny wówczas w obie nogi pozostał kaleką – inwalidą.



Po zdobyciu wsi Góra, pułk zluzowany przez brygadę generała Kosteckiego ( 4 i 10 pułk ułanów ), został wysłany dla ubezpieczenia lego południowego jej skrzydła.

Popołudniu tegoż 18 sierpnia kawaleria nieprzyjaciela natarła ogromnie przygniatającą liczbą na brygadę generała Kosteckiego i wyparła ją ze wsi Góra. Przez tą wieś posuwały się główne siły korpusu Gaja. Należało więc zdobywać wieś powtórnie. Otrzymały to zadanie brygada generała Kosteckiego, która miała wykonać manewr oskrzydłający i 211 pułk ułanów, który miał wiązać nieprzyjaciela z frontu. I tu pułk natarł energicznie tak, że wieś tą zdobył nim brygada wykonała manewr. Nieprzyjaciel jednak zdążył się wycofać, pozostawiając jedynie 4 jeńców.

#### POŚCIG NA MŁAWĘ – CHORZELE – KOLNO

W trakcie tych walk Naczelnny Wódz uderzeniem z nad Wieprza na przedpole Warszawy kompletnie rozbił główne siły sowieckie, zmuszając wroga do panicznego odwrotu na północny wschód.

Konnemu korpusowi Gaja wraz z częścią 4-tej armii sowieckiej, najdalej zapędzonym na zachód, zagroziło odcięcie. Torując sobie drogę szablami, korpus Gaja rozpoczął ucieczkę na wschód. Kawaleria polska rzuciła się do pościgu, który trwał aż do chwili przejścia ściganych oddziałów sowieckich do Prus Wschodnich pod Kolnem.

211 pułk ułanów posuwał się przez Mławę na Chorzele, gdzie trwała walka zagrażającą drogę nieprzyjacielowi syberyjską brygadą strzelców. Wprawdzie pułk przybył za późno, kiedy Gaj już zdążył sobie otworzyć przejście, zadawszy duże straty syberyjskiej brygadzie, lecz zdołano jeszcze odbić z górą 100 jeńców – Polaków ( w tym dużo oficerów ), zdobyć wielkie stado bydła, które Kozacy pędzili z sobą, tabory, oraz zmusić tylne straże nieprzyjaciela do porzucenia baterii armat bez koni, lecz z przodkami i jaszczami.

#### SZARŻA POD DRUSKIENNIKAMI

Po przegranej bitwie pod Warszawą Rosjanie zebrali swe armie nad Niemnem, szykując nową ofensywę w serce Polski.

Naczelnny Wódz postanowił wroga uprzedzić i natrzeć na zebrane w obszarze Niemna siły sowieckie, jednocześnie z tak zwaną „grupą skrzydłową”, wykonując głęboki obchód północnej flanki nieprzyjacielskiej z obszaru Augustowa, przez Druskienniki na Lidę.

Zadaniem kawalerii było: zagonem uchwycić nieuszkodzony most w Druskiennikach, aby umożliwić manewr „grupy skrzydłowej”.

Należało więc zdobyć ten most przez zaskoczenie. Odpowiednie rozkazy otrzymał II dywizjon 211 pułku, pod dowództwem rotmistrza Wąsowskiego.

Zaskoczenie jednak nie powiodło się, gdyż Litwini spostrzegli podchodzących Polaków i rozpoczęli ogień z karabinów maszynowych. Nasuwała się obawa, że Litwini mogą most spalić. Wówczas drugi szwadron, pod osobistym dowództwem rotmistrza Dąbrowskiego, śmiałą szarżą po szosie wprost na most szóstkami uderzył na zdumionych Litwinów, zdobył most, a potem miasto, pędząc zdezorientowanych Litwinów na przestrzeni 4 kilometrów. W szarży tej szczególnie się odznaczyli wachmistrze: Michałowski i Mączyński, obydwoj pędzący w pierwszej szóstce szwadronu.

Należy zaznaczyć, że w szarży tej wzięli udział ksiądz kapelan Józef Próchnicki i lekarz pułkowy, kapitan dr Jankowski, którzy, jadąc w szyku razem z rotmistrem Dąbrowskim przed drugim szwadronem, gdy nadszedł moment szarży, zostali pociągnięci ogólnym zapalem i rzucili się na wroga w pierwszym szeregu szwadronu.

*Dalej, ścigając cofających się Litwinów, pułk maszeruje w składzie czwartej brygady jazdy na Okielniki – Raduń ( gdzie toczy małą potyczkę już z Rosjanami ) i dalej do obszaru Lidy.*

#### WALKI NAD NIEMNEM

*Manewr powiódł się w zupełności. Krocząc tuż za kawalerią dywizje: pierwsza legionowa i pierwsza litewsko-białoruska wyszły na tyły sowieckie, zmuszając Rosjan do panicznej ucieczki na wschód i nad górny Niemen.*

*Kawaleria przechodzi do pościgu z obszaru Lidy nad Niemen.*

*Podczas marszu na Niemen, niedaleko wsi Owieczki, pułk stoczył bardzo udaną utarczkę. Podporucznik Dymitr Wywłykin, z plutonem liczącym około dwudziestu kilku ułanów, dwukrotnie szarżował półkompanię sowiecką, zdobywając jeńców i karabiny maszynowe. Doskonale również spisał się nad Niemnem pierwszy szwadron, pod dowództwem podporucznika Ertmana; mianowicie – powstrzymał natarcie prawie całego batalionu sowieckiego, a nawet w końcu nieoczekiwanie odrzucił batalion wroga za rzekę Niemen. Stamtąd pułk ruszył na wschód przez Kojdanów- Samochwałowicze na Mińsk. Podjazdy i patrole pułku dotarły do Mińska. Zawieszenie broni w dniu 18 października 1920 roku zastaje pułk zakwaterowany swymi głównymi siłami w Samochwałowiczach z patrolami w Mińsku.*

#### NA LITWIE ŚRODKOWEJ

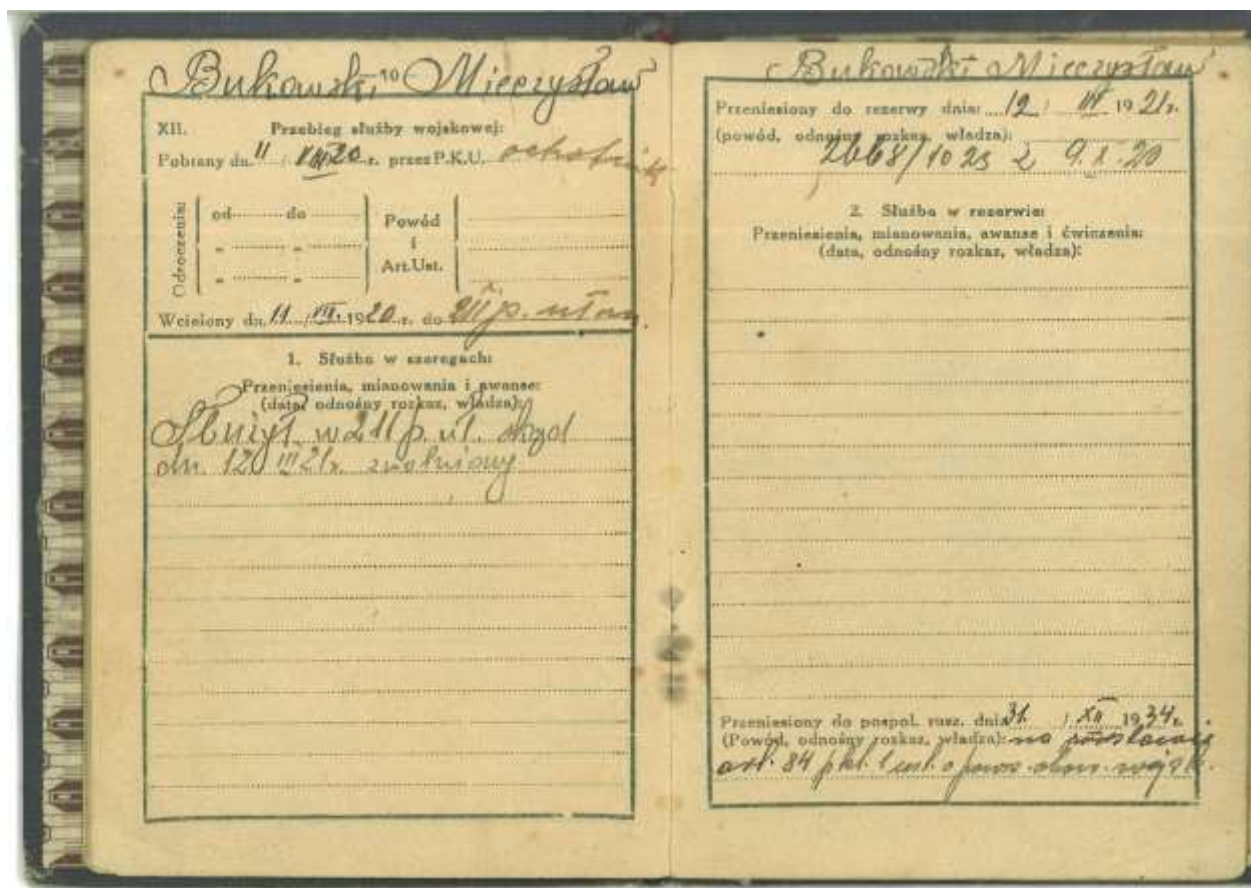
*Po opanowaniu Wilna przez generała Żeligowskiego, kiedy Litwini z furią rzucili się do ataków, aby odebrać to miasto – 211 pułk ułanów porzuca front sowiecki, gdzie już nie było dlań co robić i pomnąc na pochodzenie swych żołnierzy, śpieszy na obronę ukochanego Wilna. Po zameldowaniu się u generała Żeligowskiego wysłano pułk na północ dla opanowania wsi Rykonty. Pod tą wsią pułk startł się z piechotą litewską. W walce tej zginął doskonały i odważny podoficer z karabinów maszynowych, wachmistrz Szaleniec, który bardzo dobrym działaniem karabinów maszynowych znakomicie przyczynił się do sforsowania Wilii i zdobycia wsi Rykonty.*

*Po rozejmie z Litwinami pułk po raz pierwszy zostaje zwolniony na odpoczynek do obszaru Niemenczyna, a potem w lutym 1921 roku przesunięty do wsi Ostrowiec-Kowale. Przedtem jeszcze, w końcu stycznia 1921 roku pułk, liczący się dotychczas, jako formacja ochotnicza, otrzymuje nazwę 23 Pułk Ułanów Nadniemeńskich.*

Powyższe informacje znajdują się na stronach od 42 do 46 „Zarysu historii wojennej pułków polskich 1918-1920, Pułk Ułanów Grodzieńskich”, Warszawa 1930 rok, opracowanego przez majora Franciszka W. Karasseka.

Zarys pułku został opracowany przez wojskowego w randze majora. Opis jest zwięzły, autor używa często zwrotów typowych dla języka wojskowego, dla nas niekiedy trudnych do zrozumienia.

Szukałem jeszcze innych opracowań dotyczących historii 211 Pułku Ułanów, ale nie znalazłem. Pytałem o takie materiały w Wojskowym Biurze Historycznym w Warszawie, nie mają. Wikipedia podaje krótką informację ograniczoną do podstawowych faktów.



Rys. 80. Książeczka wojskowa mojego Ojca, Mieczysława Bukowskiego.

Ojciec mój, Mieczysław Bukowski, był ułanem 211 Pułku do dnia 12 marca 1921 roku (dane z książeczki wojskowej). Powrócił do majątku Osiny, gmina Grabów w powiecie Łęczyckim, na to samo stanowisko rządcy tego majątku, jakie pełnił przed wojną.

Sześć dni później, 18 marca 1921 roku, został podpisany Traktat Pokojowy w Rydze. Wojna polsko-bolszewicka oficjalnie i formalnie została zakończona.

### 3. Zakończenie

Granica między Polską, a Rosją Sowiecką ustalona w Traktacie Ryskim w roku 1921 pokrywała się, z małymi zmianami na korzyść Polski, ze wschodnią granicą drugiego rozbioru Polski w 1793 roku.

Polska obroniła wolność, zaledwie kilkanaście miesięcy wcześniej odzyskaną po 123 latach zaborów, powstała wolna Polska, II Rzeczpospolita.

To było pierwsze zwycięstwo Polski nad komunizmem.

18 lat później, następca Lenina, Stalin, bez wypowiedzenia wojny, wydał rozkaz Czerwonej Armii, aby przekroczyła tę granicę w dniu 17 września 1939 roku. Wschodnia połowa Polski znalazła się pod sowiecką okupacją.

50 lat później po tej agresji, bez wypowiedzenia wojny, bez jednego wystrzału, w 1989 roku, Solidarność w Polsce obaliła ustrój komunistyczny.

To było drugie i ostateczne zwycięstwo Polski nad komunizmem.

Wróciła wolna Polska, powstała III Rzeczpospolita.

Początkiem tych dwóch zwycięstw Polski nad komunizmem była wojna polsko-bolszewicka w 1920 roku, uznana jako 18 decydująca w dziejach świata. Z bolszewikami walczyło 360 tysięcy polskich żołnierzy, przeciwnik był prawie trzykrotnie liczniejszy. W wir tej wojny został włączony, między innymi, Pułk nr 211 w liczbie 380 ułanów, w tym 200 ochotników, jednym z nich był mój ojciec Mieczysław.

Kapelanem 211 Pułku Ułanów był ksiądz Józef Pruchnicki. Kapelan i mój Ojciec byli rówieśnikami, obaj urodzili się w 1894 roku. Mało tego, los tak chciał, że umarli też w tym samym roku, 1963, przeżywszy 69 lat.

Ksiądz Józef Pruchnicki jest stryjem, czyli bratem ojca, Małgorzaty Pruchnickiej. Małgosia jest żoną mego brata stryjecznego, Janusza.

Po zakończeniu służby w pułku drogi kapelana i mego Ojca się rozeszły, nigdy potem nie spotkali się. Natomiast potomkowie ich rodzin, czyli Małgosia i ja, spotkaliśmy się i stanowimy jedną rodzinę.

Teraz możemy powiedzieć, że dwóch ochotników z naszej rodziny – jeden jako kapelan pułku, drugi w randze ułana – walczyło z bolszewikami w 1920 roku służąc w 211 Pułku Ułanów.

Opracował:

Rafał Bukowski

Sopot, kwiecień 2021 r.

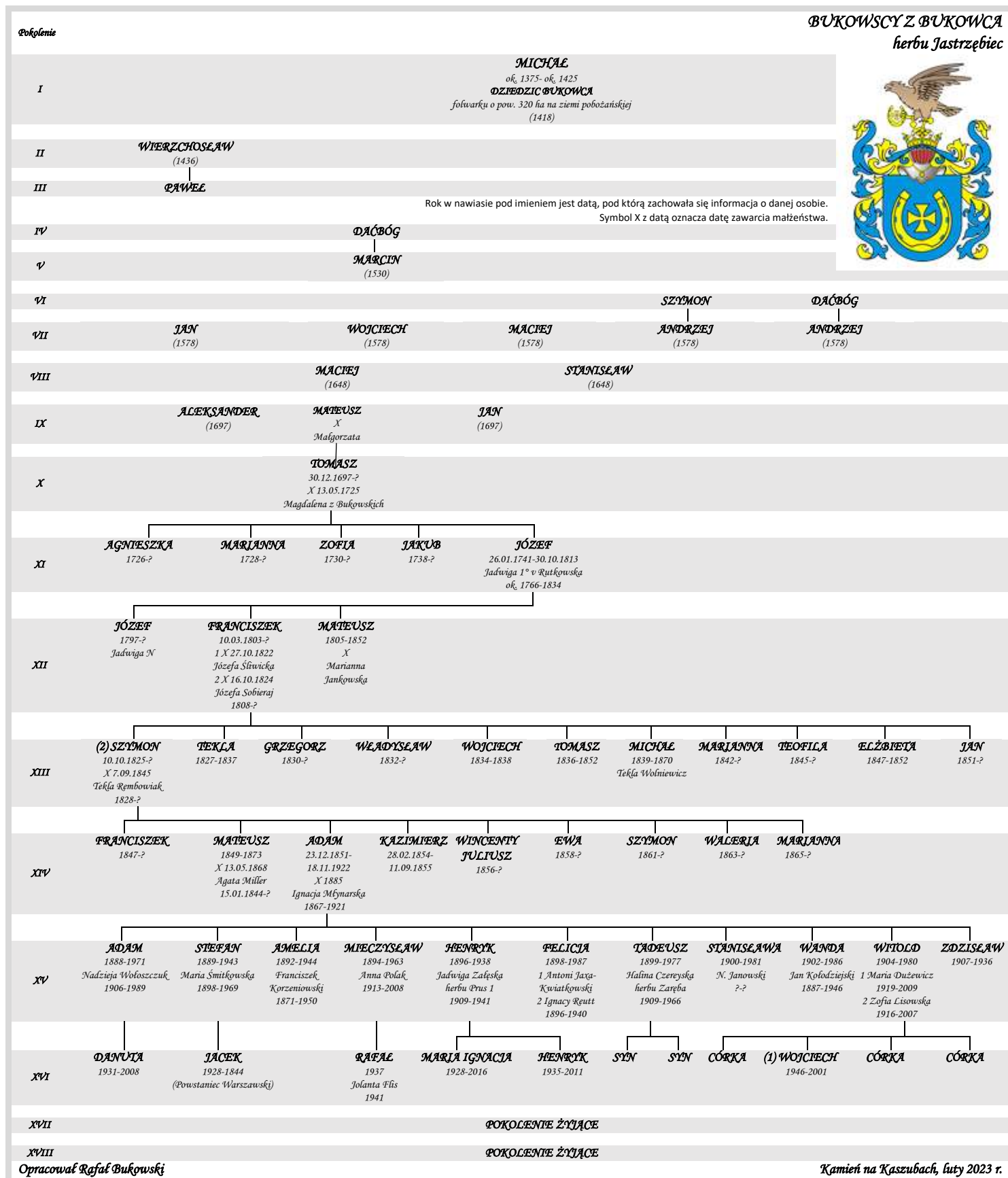


Rys. 81. Drzewo genealogiczne. Źródło: [Popular Graphic Arts \[Public domain\]](#).

## Część czwarta

### Rafał Bukowski Drzewo genealogiczne Bukowskich herbu Jastrzębiec





Rys. 82. Drzewo genealogiczne Bukowskich herbu Jastrzębiec.

## Nota o autorze

**Rafał Bukowski** urodził się 23 grudnia 1937 r. w Gdyni. Dzieciństwo spędził w majątku Ktery pod Kutnem, gdzie jego ojciec był rządcą.

Po zdaniu matury w Liceum Ogólnokształcącym w Gdyni-Orłowie w 1956 r. rozpoczął studia na Politechnice Gdańskiej na Wydziale Budownictwa Wodnego, którą ukończył w 1961 r., uzyskując stopień magistra inżyniera urządzeń sanitarnych.

Po kilku latach pracy na budowach zajął się projektowaniem.

W 1981 r. wyjechał do pracy do Afryki, gdzie projektował i nadzorował budowy ujęć wodnych, sieci wodociągowych i oczyszczalni ścieków. W Afryce pracował przez 12 lat w kilku krajach: Tanzanii, Zambii, Malawi, Południowej Afryce i Botswanie.

Pracę zawodową zakończył w roku 2000 na stanowisku attaché technicznego Konsulatu Polskiego w Chicago.

Będąc już na emeryturze w 2007 r. zajął się genealogią swego rodu. Rezultat tej pracy to opracowanie „Bukowscy herbu Jastrzębiec z Bukowca Małego”. Zbieranie danych zajęło mu 10 lat żmudnych poszukiwań na parafiach i w archiwach, a także w dokumentach rodzinnych.

Od roku 1994 stale mieszka w Sopocie, ale miłość do przyrody wyniesiona z dzieciństwa na wsi powoduje, że większość czasu spędza w domku – przez siebie zaprojektowanym i wybudowanym – na Kaszubach.



Rys. 83. Autor – Rafał Bukowski. Fot. Jolanta Flis-Bukowska.

## Dwa łyki Afryki

Jestem inżynierem. Do pracy zagranicą wyjechałem 7 października 1981 roku, skierowany tam przez POLSERVICE. Krajem docelowym była Tanzania. Podjąłem pracę w biurze projektów NEDCO z siedzibą w stolicy Tanzanii, Dar es Salaam. Później dołączyła do mnie żona, która wyjechała z kraju tydzień przed wprowadzeniem stanu wojennego. Po kilku miesiącach pracy zachorowałem na malarię. Choroba typowa dla klimatu tropikalnego, zastosowano rutynowe w tej chorobie leczenie. U mnie nie przynosiło żadnej poprawy. Czułem się coraz gorzej. W tej sytuacji lekarz przyznał się, że jest bezradny i zaproponował mi powrót do kraju z nadzieją, że tam mnie wyleczą. Byłem przerażony, bo nie po to wyjechałem na "saksy", aby po paru miesiącach wracać do domu finansowo "goły" i do tego chory.

Z pomocą przyszli polscy misjonarze, księża salwatorianie, którzy mieli kilka misji w różnych częściach Tanzanii. Zaproponowali mi szpital prowadzony przez amerykańskich lekarzy na południu Tanzanii, przy granicy z Mozambikiem i blisko ich misji w Masasi. Natychmiast tę propozycję przyjąłem. Między Dar es Salaam i tamtym miejscem na południu (odległość w prostej linii ok. 500 km) kursował mały samolot pasażersko-towarowy. W dniu startu tego samolotu misjonarze przyjechali po mnie. Byłem tak słaby, że nie mogłem siedzieć, położyli mnie na platformie pick-upa i zawieźli na lotnisko. W samolocie były cztery miejsca dla pasażerów oraz przedział bagażowy. Byłem jedynym pasażerem, więc mogłem się położyć na wolnych miejscach.

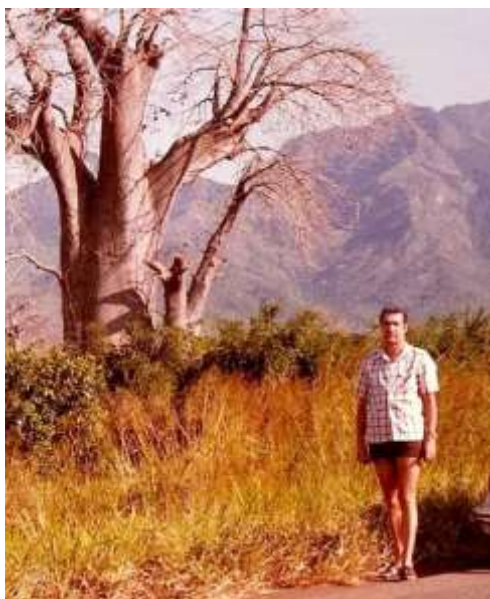
Po wylądowaniu misjonarze w ten sam sposób, czyli w pozycji leżącej, przewieźli mnie do szpitala. Przyjęcie w szpitalu rutynowe: wywiad o przebiegu choroby, pobranie krwi, i oddanie moczu do badania. Następnego dnia pyta mnie lekarz czy ostatnio byłem w Azji. Zaskoczony tym pytaniem, odpowiedziałem, że nie. Okazało się, że będąc w Afryce, zachorowałem na malarię azjatycką i stąd to pytanie. W szpitalu mieli, na szczęście, lekarstwo na ten typ malarii i po kilku dniach kuracji zostałem wyleczony. Misjonarze zabrali mnie na misję i wieczorem, z okazji wyzdrowienia, wydali kolację. Po każdym wypitym toaście „na zdrowie” czułem się gorzej. Podziękowałem za miłe przyjęcie, poszedłem do gościnnego pokoju, padłem na łóżko i natychmiast zasnąłem. Sen przerywany miałem kilka razy "jazdą do Rygi". Rano, bez śniadania, pożegnałem gościnnych misjonarzy i ich pick-upem, ale tym razem na siedzeniu w kabinie, zostałem odwieziony na miejsce startu samolotu lecącego do Dar es Salaam. Wracałem takim samym małym samolotem.

W czasie lotu samolot często wpadał w turbulencję. Opróżniony w nocy żołądek w takich momentach przesuwał mi się do gardła, ale nie wymiotowałem. Nie mniej podróż ta była torturą. Żona powiadomiona przez misjonarzy przyjechała na lotnisko powitać zdrowego męża. Zdziwiona zobaczyła wysiadającego z samolotu szaro-zielonego, chwiejącego się na nogach ludka, to byłem ja, jej mąż. Pod opieką troskliwej żony nabierałem sił. Za przeloty samolotem, pobyt i leczenie w szpitalu nic nie płaciłem. Po kilku miesiącach pracy nie miałem żadnych oszczędności. Pokryli wszystkie te koszty księża misjonarze. Dziękowałem im za to wtedy, pamiętam teraz i jeszcze raz dziękuję. Drobnym moim rewanżem były pomiary geodezyjne wykonane przeze mnie i moją żonę w nowej misji polskich misjonarzy w miejscowości Puchapucha na południu Tanzanii. My używaliśmy spolszczonej nazwy Pucia-pucia. Zamiast tyczek mierniczych, których nie było, używaliśmy tyczek do pomidorów. W oparciu o te pomiary wykonaliśmy plan misji oraz projekt przyszłej rozbudowy. Plan ten został wysłany do Rzymu do zatwierdzenia.

Po zakończeniu kontraktu w Tanzanii, podjąłem pracę razem a żoną w biurze projektów w Zambii. W czerwcu 1986 roku znowu zachorowałem. Objawy choroby typowe dla malarii.

Lekarz przepisał lekarstwa stosowane w leczeniu tej choroby. Lekarstwa, jak cztery lata wcześniej, nie pomagały. Ponowne badanie, bardziej szczegółowe niż poprzednio, wykazało, że mam na plecach zaczerwienione ślady po ukąszeniach kleszcza. Po tym badaniu diagnoza: tick fever, kleszczowe zapalenie opon mózgowych. Kilka dni wcześniej pojechałem z żoną do osiedla zamieszkałego przez Szwedów sprawujących nadzór nad elektrownią przy zaporze wodnej na rzece Kafue niedaleko Lusaki. Na kortach tenisowych grała żona, a ja w cieniu, pod drzewem, położyłem się na ławce. Tam prawdopodobnie ukąsił mnie kleszcz. Po nowej diagnozie zmiana lekarstw. Przepisane do prawidłowo zdiagnozowanej choroby, zaczęły przynosić efekty.

Zdrowie wracało. W czasie rekonwalescencji żona wyjechała do Tanzanii i weszła na najwyższy szczyt w Afryce Kilimandżaro, na wysokość 5895 m, czyli osiągnęła Uhuru Peak.



84. Autor – Rafał Bukowski w Afryce. Fot. Jolanta Flis-Bukowska.

Pobyt w Afryce to nie tylko praca i choroby, to również wyjazdy turystyczne, takie jak, do Rift Valley w Tanzanii, Garden Route w Południowej Afryce, wędrowki po Górach Smoczych, kąpiele w Oceanie Indyjskim, spływ rzeką Zambezi poniżej wodospadu Wiktorii i wiele innych atrakcji. Z Afryki wróciliśmy do kraju po 12 latach, w 1993 roku.

Po osiemnastu latach od powrotu z Afryki, na początku 2011 roku dopadła mnie dziwna choroba. Pojawiły się ataki wysokiej temperatury, dochodzące do 40 stopni C. Leczenie przez lekarza domowego nie przynosiło poprawy. Otrzymałem skierowanie do szpitala. Leżałem przez dwa tygodnie w szpitalu na Zaspie w Gdańsku. Przeszedłem tam szczegółowe badania, łącznie z badaniem przy pomocy tomografu komputerowego. Ataki wysokiej gorączki często się powtarzały. Leczone mnie głównie kroplówkami. Wykluczono malarię i boreliozę. Kiedy wyzdrowiałem, w wypisie ze szpitala napisano: choroba nierozpoznana. Lekarz na pożegnanie

powiedział, że w leczeniu mnie zastosowano „antybiotykową bombę atomową”. Brzmi to dziwnie, bomba uratowała mi życie, a te moje niedomaganie to może jakiś mutant afrykańskiej choroby?

Rafał Bukowski

Kamień na Kaszubach

30 grudnia 2022 r.

## Spis ilustracji

Rys. 1. Dworek Dziewiętnia. Fragment litografii Napoleona Ordy. Źródło: Napoleon Orda „Album widoków historycznych Polski”, Warszawa 1880. ....	6
Rys. 2. Folwarki – własność / współwłasność BUKOWSKICH herbu Jastrzębiec. Koniec XVIII w. (Mapa nr 1).....	9
Rys. 3. Majątki ziemskie BUKOWSKICH. Początek XIX w. (Mapa nr 2).....	10
Rys. 4. Adam Bukowski.....	25
Rys. 5. Podpis Adama Bukowskiego.....	25
Rys. 6. Ignacja Bukowska. ....	26
Rys. 7. Grób Ignacji z Młynarskich Bukowskiej, jej syna Stefana Bukowskiego oraz symboliczny grób Jacka Bukowskiego, 2014 r. ....	27
Rys. 8. Adam Bukowski.....	30
Rys. 9. Bracia Bukowscy: od lewej Stefan, Tadeusz, Henryk i Adam. Gdynia, ul. Świętojańska. 1936 r. ....	31
Rys. 10. Stefan Bukowski. ....	32
Rys. 11. Stefan przekazuje dane dotyczące swojego syna Jacka Annie Bukowskiej. 31.08.1939 r. ....	32
Rys. 12. Firma braci Stefana i Tadeusza w Gdyni przy ul. Toruńskiej. Pierwszy z prawej Tadeusz, czwarta z prawej Anna Polakówna. 1931 r. ....	33
Rys. 13. Bracia Stefan i Mieczysław na bulwarze nadmorskim w Gdyni. 1936 r. ....	34
Rys. 14. Jacek, Anetka, Maryśka, Stefan w Gdyni na ul. 10 Lutego. 1936 r. ....	36
Rys. 15. Życzenia dla Anny Bukowskiej (Anidzi) od Jacka Bukowskiego, 1941 r. ....	36
Rys. 16. Amelia Korzeniowska. ....	40
Rys. 17. Amelia z córką Marysią, która zdała do 1 klasy gimnazjalnej. Gostynin 1931 r. ....	41
Rys. 18. Amelia. Gostynin 1936 r. ....	41
Rys. 19. Marysia z Amelią, pół roku przed śmiercią matki. 1944 r. ....	42
Rys. 20. Mieczysław Bukowski. ....	43
Rys. 21. Fotografia, na której od lewej widoczni są: Mieczysław, Tadeusz, Henryk, Głuchów 1917 r. ....	43
Rys. 22. Parada wojskowa, Leszno, 1936 r. ....	44
Rys. 23. Dedykacja dla Mieczysława Bukowskiego na odwrocie zdjęcia parady wojskowej, 1936 r. ....	44
Rys. 24. Opinia Józefa Bogusławskiego, właściciela Łęcznej, woj. lubelskie, wystawiona Mieczysławowi Bukowskiemu. 1934 r. ....	47
Rys. 25. Mieczysław na koniu w majątku Łęczna. 1929 r. ....	48
Rys. 26. Jadwiga Krawczyk (Jadwisia). ....	49
Rys. 27. Żona Mieczysława Anna z synem Rafałem, Ktery, 1941 r. ....	49
Rys. 28. Ktery, kaplica zbudowana z inicjatywy Mieczysława w maju / czerwcu 1945 r. ....	50
Rys. 29. Szyld firmy Rolnik należącej do Mieczysława i Tadeusza Bukowskich. ....	51
Rys. 30. Henryk Bukowski.....	55
Rys. 31. Fotografia, na której stoją od lewej: NN, Dziunia i Henryk.....	55
Rys. 32. Koperta adresowana do Henryka Bukowskiego.....	57
Rys. 33. Tadeusz Bukowski. ....	58
Rys. 34. Tadeusz Bukowski w trakcie służby wojskowej. ....	58
Rys. 35. Praca w majątku (prawdopodobnie fotografia dotyczy Tadeusza lub Mieczysława Bukowskich). ....	59
Rys. 36. Tadeusz Bukowski. Gostynin 1926 r. ....	59
Rys. 37. Młoda para, Halina i Tadeusz Bukowscy, niedługo po ślubie. ....	60
Rys. 38. Halina Czereyska w czasie studiów. ....	60
Rys. 39. Tadeusz Bukowski z żoną Haliną, synem i teściami, 1941 r. ....	60
Rys. 40. Tadeusz Bukowski z żoną Haliną i synem, 1941 r. ....	61
Rys. 41. Magazyn firmy Rolnik w Gdyni-Orłowie, lata czterdzieste XX wieku. ....	62
Rys. 42. Tadeusz z synami na plaży w Gdyni-Orłowie w 1949 r. ....	63
Rys. 43. Fotografie przedstawiające Tadeusza Bukowskiego.....	64
Rys. 44. Witold Bukowski.....	65
Rys. 45. Bracia: Witold i Mieczysław Bukowscy, Gdynia 1936 r. ....	65
Rys. 46. Zdzisław Bukowski. ....	68



Rys. 47. Bracia Stefana na koniach, od lewej: Witold, Mieczysław, Zdzisław. Łączna (majątek Józefa Bogusławskiego, w którym Mieczysław był rządcą w latach 1927-1934), 1929 rok. ....	68
Rys. 48. Pogrzeb Zdzisława, Gdynia, kwiecień, 1936 rok. Na trumnie rogatywka oficerska Zdzisława. ....	69
Rys. 49. Kopia dokumentu dotyczącego Michała z Bukowca z roku 1418. ....	72
Rys. 50. Kopia dokumentu z 1436 roku dotyczącego zamiany gruntów pomiędzy właścicielem Bukowca Wierzchosławem z synem Pawłem a Iwanem ze Szczepkowa. ....	73
Rys. 51. Kopia metryki urodzenia Tomasza dnia 30 grudnia 1697 r. ....	74
Rys. 52. Kopia metryki ślubu Tomasza z Magdaleną z Bukowskich dnia 13 maja 1725 r. ....	74
Rys. 53. Metryka urodzenia Józefa z dnia 26 stycznia 1741 r. (1a i 1b) i akt zgonu Józefa z dnia 30 października 1813 r. (2a i 2b). ....	75
Rys. 54. Najstarszy pisany dokument dotyczący Bukowskich z Łaniet: Metryka Chrztu Franciszka z 10 marca 1803 r. ....	76
Rys. 55. Metryka urodzenia Szymona z dnia 10.10.1825 r. ....	77
Rys. 56. Metryka urodzenia Adama z dnia 23.12.1851 r. ....	78
Rys. 57. Fotografia, na której stoją od lewej: Zdzisław, Witold, Mieczysław, Henryk. Siedzą od lewej: Wanda, Adam, Tadeusz, Stanisława, Stefan, Felicja, Amelia. ....	80
Rys. 58. Fotografia, na której od lewej stoją: N.N., Tadeusz, Mieczysław, Stefan, Henryk, Adam, Zdzisław. Siedzą: Wanda, ich dawna niania nieznanego imienia, Stanisława. ....	82
Rys. 59. Amelka i Mietek niosą wieniec na grób Ojca. ....	84
Rys. 60. Przemówienie Tadka nad grobem Ojca. ....	84
Rys. 61. Heniek i Stefan niosą wieniec na grób Matki. ....	85
Rys. 62. Grób Matki (synowie Henryk i Stefan). ....	85
Rys. 63. Heniek i Stefan niosą wieniec na grób Matki. ....	85
Rys. 64. Sprawozdanie Zarządu Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich (str. 1). ....	87
Rys. 65. Sprawozdanie Zarządu Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich (str.2). ....	88
Rys. 66. Rozliczenie Kasy Samopomocy Rodzeństwa Bukowskich. ....	89
Rys. 67. Statut „Wspólnoty” Rodziny Bukowskich (str. 1). ....	90
Rys. 68. Statut „Wspólnoty” Rodziny Bukowskich (str. 2). ....	91
Rys. 69. Miejsce zjazdu w Konstancinie. ....	92
Rys. 70. Powitanie rodziny na wspólnej kolacji 18.09.2010 r. ....	93
Rys. 71. Nagrobek Adama Bukowskiego, Ignacji z Młynarskich Bukowskiej i Stefana Bukowskiego. ....	95
Rys. 72. Potomkowie rodzeństwa Bukowskich przy grobie dziadka. Radzymin, 19.09.2010 r. ....	96
Rys. 73. Pajęczyna w obiektywie Rafała Bukowskiego. ....	97
Rys. 74. Autorka wspomnień, Maria Sarnawska. Portret z roku 1998. ....	98
Rys. 75. Bracia Stefana, od lewej: Witold, Mieczysław, Zdzisław. ....	100
Rys. 76. Stefan i Maria Bukowscy, właściciele majątku Banino, lata 1924 – 1932. ....	103
Rys. 77. Krysia Kwiatkowska i Marysia Korzeniowska, Pierwsza Komunia, 1929 r. Gostynin. ....	108
Rys. 78. Wojciech Kossak: Ułani eksportujący jeńców na leśnej drodze, Public domain, via Wikimedia Commons. ....	118
Rys. 79. Szlak bojowy 211 Pułku Ułanów. ....	120
Rys. 80. Książeczka wojskowa mojego Ojca, Mieczysława Bukowskiego. ....	123
Rys. 81. Drzewo genealogiczne. Źródło: Popular Graphic Arts [Public domain]. ....	125
Rys. 82. Drzewo genealogiczne Bukowskich herbu Jastrzębiec. Data w nawiasie pod imieniem wskazuje na istnienie informacji dotyczących danej osoby. Symbol X z datą oznacza datę zawarcia małżeństwa. ....	126
Rys. 83. Autor – Rafał Bukowski. Fot. Jolanta Flis-Bukowska. ....	127
84. Autor – Rafał Bukowski w Afryce. Fot. Jolanta Flis-Bukowska. ....	129

Wszystkie fotografie użyte w tekście, jeśli inaczej nie zaznaczono, pochodzą z Archiwum Rodziny Bukowskich.

---

Redakcja: Iwona Flis

Fundacja im. Stanisława Flisa „Archiwa Pomorskie”

Copyright: CC BY-NC-SA Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Na tych samych warunkach.

